Wszystkie kłopoty Trumpa • Którędy do partii centrum • Kościół, prawica, milczenie
Manewry z prawem jazdy • Co poprawiają sobie Polacy • Odszkodowania od sociali?

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 16 (3560), 15.04–21.04.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Węgry wracają

Magyar zmiótł Orbána, ale to dopiero początek

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 16>
Wydanie w sprzedaży do 21.04.2026

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®

www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl c085a3b354

12
Niszczyciel cywilizacji

© ALEX BRANDON/AP/GETTY IMAGES

Tematy tygodnia

8 Aleksander Kaczorowski **Węgry po nowemu**
11 Łukasz Wójcik **Szachy w Iranie**
12 Tomasz Zalewski **Urojone zwycięstwa Trumpa**

Polityka

15 Rafał Kalukin **Mityczne centrum**
18 Michał Piedziuk, Wojciech Szacki **Wojenki na prawicy**
21 Jakub Halcewicz **Kościół w Polsce: czy wymiana kadr coś zmieni?**
24 Rozmowa z prof. **Dariuszem Stolą** o pamięci i antysemityzmie przed rocznicą powstania w getcie warszawskim

Społeczeństwo

28 Zbigniew Borek **Prawo jazdy: manewrowanie i oblewanie**
32 **Jerzy Jankau** o operacjach plastycznych, czyli o tym, co sobie poprawiają Polki i Polacy
35 Agnieszka Sowa **Wielka akcja chipowania zwierząt**
38 Paweł Walewski **Rząd chce ograniczyć diagnostykę – co nas czeka**

Rynek

42 Marcin Piątek **Przepłacani piłkarze**
45 Cezary Kowanda **Chińszczyzna atakuje**

Świat

48 Mariusz Zawadzki **Media społecznościowe uzależniają – czy teraz za to zapłacą?**
51 Paweł Reszka, Timur Olevskiy ROSJA **Putin wziął się za internet**
54 Jędrzej Winiecki SŁOWENIA **Jak izraelscy szpiedzy mieszali w wyborach**
56 **Charles Hecker** o tym, czy i kiedy możliwy będzie reset z Rosją

Nauka/projektpulsar.pl

60 **Harvey Whitehouse** o rytuałach, religijności i tym, jak rolnictwo i wojna napędzały rozwój społeczeństw
63 Andrzej Hołdys **Jak dowiedzieliśmy się, ile lat ma Ziemia**

Historia

66 Tomasz Targański **Burzliwe dzieje Zatoki Perskiej**
69 Przemysław Urbańczyk **Eryk Pomorski: polski król Grenlandii**

Kultura

76 Jakub Demiańczuk **100 lat Polskiego Radia: 10 wydarzeń, które ukształtowały jego wizerunek**
80 Piotr Sarzyński **Brâncuși w Berlinie: rzeźbiarz rewolucjonista**
83 Ola Salwa **Kristen Stewart: w nowej roli**
86 Bartek Chaciński **Angine de Poitrine: zaskoczenie w czasach algorytmów**

Ludzie i style

94–97 • **Pułapki samorozwoju** • **Strava po polsku** • **Nowe menty** • **Chorwackie wyspy** • **Kariera Cavy**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz • **88** Sulej • **89** Orliński • **90** Chutnik i Plebanek • **91** Hartman • **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

© OKŁADKA: FACEBOOK.COM/MAGYARTISZA

eprasa.pl c085a3b354

Brawo, Bratanki!

Jerzy Baczyński

Nie pomogło wsparcie Donalda Trumpa, podróże do Budapesztu wszystkich liderów europejskich prawic, łącznie z Karolem Nawrockim; nie pomogła brutalna kampania wyborcza, akcje służb specjalnych, ciche wsparcie Kremla i jego trolli – po 16 latach sprawowania władzy Viktor Orbán i jego Fidesz przegrali wybory. Opozycja, zjednoczona przez Pétera Magyara pod szyldem Partii Szacunku i Wolności Tisza, odniosła miażdżące zwycięstwo, uzyskując większość konstytucyjną. To było najistotniejsze pytanie wieczoru wyborczego, gdy już zanosiło się na przegraną Orbána – czy Tisza zdobędzie ponad 133 mandaty niezbędne, aby rządzić państwem zabetonowanym ustawami i konstytucją napisaną przez i pod Fidesz. Zdobyła 138 miejsc. Tak jak w Polsce 15 X 2023 r., wygrana opozycji była tak znacząca i przy tak olbrzymiej frekwencji, że Orbán szybko zadeklarował pokojowe przekazanie władzy. Inaczej zostałby pewnie wyrzucony na ulicę.

Sam Orbán jednak nie wycofuje się z polityki i zapewne liczy na powrót do władzy, bo zostawia następcom kraj w stanie głębokiego kryzysu gospodarczego, budżetowego, instytucjonalnego, moralnego; podzielony, skłócony, zmanipulowany propagandą. Przez 16 lat to było jego prywatne państwo. Viktor Orbán, trzeba mu oddać, był prekursorem, politycznym wynalazcą, twórcą technologii przekształcenia liberalnej demokracji w „nieliberalną", przejęcia wszystkich kontrolnych instytucji państwa, rozprawy z niezależnymi sądami i mediami, budowy systemu – tu padało wiele określeń – autokracji, kleptokracji, klientelizmu, oligarchii, państwowej mafii.

Towarzyszyła temu ochrona ideologiczna oparta na scentralizowanej, intensywnej propagandzie. Siebie i swoją partię obsadził w roli jedynych obrońców – zagrożonej przez wrogów zewnętrznych i wewnętrznych – narodowej suwerenności, rodziny, wiary, czystości etnicznej. Każda z kolejnych wygranych kampanii wyborczych miała swojego centralnego wroga: homo- i transseksualiści, migranci, demoniczny Żyd Soros, teraz Ukraina z „terrorystą Zełenskim", popieranym przez Brukselę „dążącą do wojny z Rosją".

Przez lata jego skuteczność robiła wrażenie. Był idolem dla prawicowych, nacjonalistycznych formacji w całej Europie, także dla polskiego PiS, który w istocie był formacją na licencji węgierskiej. Po wielogodzinnych spotkaniach Kaczyńskiego z Orbánem w 2015 r. PiS drobiazgowo odtwarzał ścieżkę Fideszu, „marszu przez instytucje", poczynając od opanowania Trybunału Konstytucyjnego. Fidesz był też prawzorem dla ruchu MAGA – zresztą sam Orbán obiecywał, że „uczyni Węgry znowu wielkimi", także terytorialnie. Przez 16 lat te orbanowskie schematy działały. Ale w końcu coś się zacięło, coś się skończyło. Sprywatyzowane, skorumpowane państwo popadło w kryzys i marazm, Węgry zbiedniały, agresywna antyunijna polityka i jawna współpraca z Putinem zmarginalizowały Węgry w Unii, ograniczyły napływ funduszy i inwestycji. Ale zapewne nie przyniosłoby to politycznego przełomu, gdyby nie zjednoczyła się opozycja. To „cud Pétera Magyara".

Wyzwanie Orbánowi rzucił człowiek z wewnątrz systemu, który przez lata wraz z żoną Judit Vargą (minister sprawiedliwości w latach 2019–23) stanowił modelową „power couple Fideszu". Para rozwiodła się w 2023 r., Varga rok później odeszła z polityki (po skandalu z ułaskawieniem w aferze pedofilskiej), oskarżając zresztą byłego męża o przemoc domową i szantaż. Ale Péter już wszedł z impetem do polityki; zręcznie wykorzystywał media społecznościowe, ruszył w kraj, także na konserwatywną prowincję, odwiedzał węgierską diasporę, gromadził całe niezadowolenie i zmęczenie nieudolnymi rządami. I odniósł niebywały sukces o nieznanych jeszcze skutkach.

Nie wiadomo, kim są jego ludzie, których wprowadził do parlamentu, jaki ma szczegółowy program. Nie ma nawet pewności, choć są deklaracje, czy Magyar, jednak polityk prawicowy, wychowanek Fideszu, zaangażuje się w przywrócenie liberalnej demokracji, czy ograniczy się do przejęcia państwa, aparatu i elektoratu Fideszu? Na pewno, i dla nas to najważniejsze, wraz ze zmianą rządu na Węgrzech ten kraj przestanie być koniem trojańskim Putina w Unii, wetomatem, choć Magyar zapewne utrzyma asertywną (w stylu Tuska) postawę wobec „ekscesów brukselskiej biurokracji". Pojawia się jednak szansa na odblokowanie zawetowanych przez Orbána funduszy na pomoc Ukrainie; łatwiej będzie o konsens w unijnej polityce wobec Donalda Trumpa i NATO. To dużo.

Prezydent USA, który wszelkimi sposobami wspierał swojego „wspaniałego węgierskiego przyjaciela", ma teraz złą passę: niezrozumiała dla wyborców MAGA wojna z Iranem (z której strasznie trudno się wywikłać), rozchwianie rynku i cen paliw; powrót (także za sprawą Melanii Trump) afery Epsteina, kolejne dymisje w aparacie Białego Domu, rejterada popierających wcześniej Trumpa celebrytów itd. Cesarski wizerunek Trumpa kruszeje (s. 12), zmienia się w karykaturę. Sondaże wskazują na porażkę Republikanów w połówkowych wyborach. Dla elektoratu Trumpa wybory na Węgrzech nie mają znaczenia, ale dla globalnego trumpizmu, którego lokalnym europejskim liderem był Viktor Orbán, to jednak ciężka prestiżowa porażka. Także dla polskiej prawicy, która desperacko próbuje teraz wypierać się związków z Orbánem (i znajomości z Ziobrą).

Magyar zapowiedział, że pierwszą wizytę zagraniczną jako premier złoży w Warszawie. Dla Tuska to będzie polityczne święto, okazja, aby wyrazić nadzieję, że kiedyś „będzie Budapeszt w Warszawie". Ujawnianie sekretów skorumpowanych rządów Orbána przyda się też w polskiej kampanii wyborczej jako ostrzeżenie przed powrotem do władzy orbanowskiego PiS i prorosyjskiej antyunijnej prawicy. Przykład węgierskiej kampanii jest także wyraźną wskazówką dla polityków dzisiejszej koalicji rządowej, że wobec chwiejącego się prawicowego frontu (s. 18) tym bardziej trzeba zachować podstawową jedność, choćby w takiej wersji, o jaką Tusk apelował na kongresie KO, czyli „żeby się wzajem nie atakować". Wybory węgierskie to zła wiadomość dla Donalda Trumpa, europejskiej i naszej radykalnej prawicy – bardzo dobra dla Polski, Ukrainy, Unii Europejskiej, samych Węgier, które za pół roku obchodzić będą 70. rocznicę antysowieckiej, krwawo stłumionej rewolucji. Wtedy – w obronie węgierskiego marzenia o dołączeniu do Zachodu, odzyskania „szacunku i wolności". Brawo, Bratanki!

eprasa.pl c085a3b354

Albatros travel

Albatros 40 lat

USA – od wybrzeża do wybrzeża

Fantastyczna podróż przez USA od zachodniego po wschodnie wybrzeże z mnóstwem niezapomnianych wrażeń po drodze.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Los Angeles. Przejazd do Hollywood. **Dz. 2** Los Angeles: zwiedzanie miasta i wizyta w Getty Center lub Getty Villa. **Dz. 3** Los Angeles – miasto duchów Calico – pustynia Mojave – Las Vegas. Las Vegas nocą. **Dz. 4** Las Vegas – Zapora Hoovera – Las Vegas. **Dz. 5** Las Vegas – Seligman – Williams. **Dz. 6** Williams – Grand Canyon– Kanion Antylopy – Page. **Dz. 7** Page – Monument Valley – Grand Junction. **Dz. 8** Grand Junction – Golden – Denver – Cheyenne. **Dz. 9** Cheyenne – Fort Laramie – Rapid City. Mount Rushmore i pomnik Szalonego Konia. **Dz. 10** Rapid City – Park Narodowy Badlands – Sioux Falls. **Dz. 11** Z Sioux Falls do Chicago – przez Missisipi. **Dz. 12** Chicago – Lansing. **Dz. 13** Lansing – Wodospady Niagara. Rejs po stronie kanadyjskiej. **Dz. 14** Wodospady Niagara – Williamsport. **Dz. 15** Williamsport – Kraj Amiszów – Gettysburg – Waszyngton. **Dz. 16** Waszyngton DC. Zwiedzanie i czas wolny. Waszyngton nocą. **Dz. 17** Waszyngton – Filadelfia – Nowy Jork. **Dz. 18** Nowy Jork. Zwiedzanie miasta, rejs i czas wolny. **Dz. 19** Wylot z Nowego Jorku. **Dz. 20** Przylot do Polski.

NOWOŚĆ

20 dni | Wylot z Warszawy 22/09 2026

od **26.998,-**

OCENA GOŚCI 4,7/5

Wielki rejs na Antarktydę – Siódmy Kontynent

Prawdziwa ekspedycja morska nowoczesnymi statkami Ocean Albatros lub Ocean Victory.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Buenos Aires. Zwiedzanie miasta i kolacja. **Dz. 3** Buenos Aires – Ushuaia, przelot i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 4** Ushuaia. Czas do własnej dyspozycji, wejście na pokład statku. **Dz. 5–6** W drodze na Antarktydę. Kanał Beagle'a i Cieśnina Drake'a. **Dz. 7–10** Szetlandy Południowe i Półwysep Antarktyczny. Zejście na ląd obok siedlisk pingwinów. Wycieczka do wygasłego krateru oraz obserwacja ptaków, fok i delfinów. **Dz. 11–12** Cieśnina Drake'a. Powrót do Ushuaia w Argentynie. **Dz. 13** Ushuaia – samolotem do Buenos Aires, kolacja z degustacją wina i pokazem tanga. **Dz. 14** Wylot z Buenos Aires. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 10/11 2026, 25/02 2027, 11/01 2028 | od **49.998,-**

OCENA GOŚCI 4,6/5

Oslo, Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar – Lillehammer – Droga Trolli – Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen – Gudvangen – Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 16/07, 12/08, 18/08 2026

od **5.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL13**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl c085a3b354

Wojna pozycyjna o Trybunał

Czworo sędziów, których prezydent Nawrocki nie zechciał zaprosić do złożenia ślubowania, a także dwoje, od których je odebrał, złożyło w czwartek ślubowanie w sali kolumnowej Sejmu, w obecności marszałków Sejmu i Senatu, przedstawicieli samorządów zawodów prawniczych oraz byłych prezesów Trybunału (z wyjątkiem Julii Przyłębskiej). A także notariusza, który złożenie ślubowania każdemu sędziemu notarialnie potwierdził. Sędziowie rotę ślubowania poprzedzali frazą: „Zwracam się do prezydenta RP". I dodawali: „Ślubuję wobec prezydenta RP", aby podkreślić, że – jak każe ustawa o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego – ślubowali „wobec prezydenta".

Następnie zjawili się w siedzibie TK, aby podjąć obowiązki. Gabinety i przydzielone sprawy czekały tylko na dwoje sędziów – tych, od których prezydent osobiście odebrał przyrzeczenie. Z pozostałymi prezes TK Bogdan Święczkowski odbył indywidualne rozmowy, informując, że po to, by nawiązać z nimi stosunek służbowy, powinien dostać od prezydenta pisemne potwierdzenie złożenia przyrzeczenia. Przyznał, że nie wymaga tego prawo, ale dotychczasowy obyczaj. Następnego dnia sędziowie przynieśli więc notarialnie sporządzony protokół z odbytego ślubowania zaopatrzony w pieczęć Kancelarii Prezydenta, potwierdzającą, że dokument przyjęła. I domagali się przydzielenia im gabinetów i spraw.

Jeśli tak się nie stanie, zamierzają wystąpić do sądu pracy z pozwami o ustalenie istnienia stosunku służbowego. Z kolei prezydent, ustami szefa swojej Kancelarii, zapowiedział złożenie wniosku do TK o rozstrzygnięcie sporu kompetencyjnego pomiędzy prezydentem a marszałkiem Sejmu o to, kto odbiera od sędziów ślubowanie. Jeśli sprawa o spór kompetencyjny zawiśnie przed TK, sądy powinny zawiesić postępowania, które jej dotyczą, do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez Trybunał. A więc wniosek ma na celu uniemożliwienie sędziom dochodzenia ich praw w sądzie pracy. Ale przed zawieszeniem sprawy sąd powinien zbadać, czy ów spór kompetencyjny jest realny, czy może pozorny. A o tym, że jest pozorny, świadczy fakt, że prezydent unikał przyjęcia ślubowania, więc odbyło się ono zastępczo. I nie wobec marszałka Sejmu, tylko w jego obecności – jako gospodarza budynku. A samo ślubowanie skierowane było do prezydenta.

Sędziowie nie zamierzają odpuszczać i zapowiadają codzienne stawianie się w pracy. Co więcej, spór z prezesem Święczkowskim może się rozlać na dotychczasowych sędziów TK, zmęczonych świadczeniem usług orzeczniczych na rzecz PiS. (ES)

Rzeź w wielkim mieście

Wielkanocna rzeź dziczej rodziny na oczach mieszkańców **warszawskiego Mokotowa**, w tym dzieci, filmujących interwencję smartfonami, na długo zostanie zapamiętana władzom Warszawy. Zwłaszcza że kilka dni wcześniej na placu zabaw na Bemowie uśmiercono cztery lochy i 12 młodych. Pod bramą zamkniętego ogródka jordanowskiego do dziś palą się znicze i leżą kwiaty. W trybie nadzwyczajnym Rada Miasta zwołała posiedzenie komisji ochrony środowiska. A przeciwnicy zabijania dzików (w tym Koalicja Niech Żyją, Warszawski Ruch Antyłowiecki, Inicjatywa Nie Trzaskać Dzików, Inicjatywa Dziki Zostają i Kancelaria nad Wisłą Karoliny Kuszlewicz) wystosowali apel do Rafała Trzaskowskiego, a także marszałka Mazowsza, radnych, burmistrzów dzielnic oraz wojewody mazowieckiego o zaprzestanie zabijania dzików. 15 kwietnia odbędzie się wiec protestacyjny pod urzędem miasta.

– *Mamy związane ręce: odpowiadamy za bezpieczeństwo mieszkańców Warszawy* – tłumaczy Karol Podgórski, dyrektor Lasów Miejskich, skądinąd myśliwy. – *Chcieliśmy dziki odławiać i wywozić żywe do lasu, prezydent miasta wystąpił w tej sprawie do Ministerstwa Rolnictwa. Odpowiedziano, że zakaz relokacji nie zostanie zdjęty, chociaż od pięciu lat w Warszawie nie było ani jednego przypadku ASF. A przepędzić ich w środku miasta nie sposób. Pozostaje tylko uśmiercić.*

Podstawą prawną jest art. 45 ust. 3 prawa łowieckiego, dopuszczający uśmiercenie dzikich zwierząt „w przypadku szczególnego zagrożenia w prawidłowym funkcjonowaniu obiektów produkcyjnych i użyteczności publicznej". – *Ten przepis nie oznacza, że można uśmiercać z automatu* – mówi dr inż. Robert Skrzypczyński z Biura Urbanistyki Wielogatunkowej, który, choć Warszawiak, pomaga Gdyni, także zmagającej się z dziczym problemem. Powołuje się na analizę prawną mec. Karoliny Kuszlewicz, którą zrobiła właśnie dla tego miasta. Bo sama stolica takiego zespołu ekspertów nie powołała. – *Była propozycja radnej Miasto Jest Nasze, ale władze Warszawy w ogóle się do tego nie odniosły.*

Nie ma zatem prób opracowania długofalowej strategii radzenia sobie z problemem. Tymczasem w zeszłym roku zarejestrowano prawie 9 tys. zgłoszeń i 120 ataków na ludzi – dzików jest w stolicy ok. 3 tys. W ciągu pierwszego kwartału tego roku było już 1419 interwencji, z czego 34 skończyły się koniecznością uśpienia zwierząt. Trzaskowski obiecał, że uśmiercanie będzie się odbywało dyskretniej. Wszak zabijanie zwierząt kręgowych w obecności dzieci jest przestępstwem. (AS)

© PAP/RADEK PIETRUSZKA, AKTYWIŚCI DZIKI ZOSTAJĄ, DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl c085a3b354

Prawdziwy koniec cywilizacji

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator Instytutu Krytyki Politycznej

Miniony tydzień w polityce miał się zacząć zapowiadanym przez Donalda Trumpa końcem cywilizacji, a skończyć zapowiadanym przez sondaże końcem Viktora Orbána. Pierwszy koniec został odwołany przez gospodarza Białego Domu, co do drugiego, to w najlepszym razie dopiero początek końca. W obliczu takich geopolitycznych wydarzeń poniższa sprawa może i wydaje się drobna, błaha, jednak czasami to właśnie w takich mikrowydarzeniach najlepiej widać wektory wyznaczające bieg kluczowych procesów.

Trzy dni po świętach szefowa MEN Barbara Nowacka niespodziewanie ogłosiła, że od nowego roku szkolnego edukacja zdrowotna będzie przedmiotem obowiązkowym. Prawie obowiązkowym, bo nieobowiązkowy pozostanie moduł dotyczący wiedzy seksualnej. O tym, czy dziecko będzie uczestniczyło w tej części, zdecydują rodzice. Nowacka podkreśliła, że w ten sposób respektuje „presję" części środowisk, bo „szkoła potrzebuje spokoju".

Edukacja zdrowotna miała wejść do szkół już w ubiegłym roku. Pomysł od początku spodobał się ekspertom bijącym na alarm w związku z narastającymi zagrożeniami zdrowotnymi dzieci i młodzieży, w tym pogarszającą się kondycją psychiczną czy plagą otyłości. Niebezpieczeństwa będące m.in. efektem złych nawyków i braku elementarnej wiedzy z zakresu dietetyki lub higieny snu można ograniczać dzięki wczesnej edukacji. Rozwiązanie wydawało się proste jak renesansowa dewiza: „Człowiekiem jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce". Ale tylko do czasu, gdy okazało się, że przedmiot będzie też dotyczył edukacji seksualnej (w wymiarze ok. dwóch godz. w roku – *sic!*). Wówczas „część środowisk" (czyli z grubsza spektrum polityczne od Brauna po Kosiniaka-Kamysza) podniosło wrzask, że dostarczanie dojrzewającym nastolatkom rzetelnej wiedzy o cielesności i seksualności to przymusowa „seksualizacja". Pod taką presją niezłomny zwykle Donald Tusk zmusił Nowacką do zmiany formuły i przedmiot wszedł jako nieobowiązkowy.

Teraz miłościwie nam panujący liberałowie starają się przekonywać, że wykastrowanie przedmiotu z choćby elementów edukacji seksualnej to zdrowe ustępstwo, które pozwoli zająć się poważniejszymi problemami, jak wspomniane zdrowie psychiczne.

Nie wiem, jak pedagodzy chcą zająć się dobrostanem psychicznym dojrzewających nastolatków, pomijając wszelkie tematy dotyczące tegoż dojrzewania. Wiem natomiast, że nazywanie tchórzostwa i asekuranctwa mądrym kompromisem to zwykła blaga. Odbierając młodzieży szansę na rzetelną edukację seksualną, pozwalamy, aby wiedzę na ten temat czerpały z sieci. Tej samej, która – dzięki postawie tychże środowisk – ma pozostać wolna od jakiegokolwiek nadzoru. Próby postawienia tamy plagom pornografii, hejtu, mowy nienawiści są odrzucane jako rzekome zagrożenia wolności słowa. Rządzący zaś zamiast piętnować hipokryzję i przeciwstawiać wiedzę kołtuństwu, zmieniają się w obłudników i pozwalają wystawiać dzieci na zagrożenie rzeczywistą seksualizacją. Nie po raz pierwszy, tłumacząc się polityczną taktyką i troską o sondaże, strona liberalna gubi wartości i nie zauważa, że porzucając renesansowe dewizy i oświeceniowe rozwiązania, oddaje pole nowemu średniowieczu.

Autostradą do kasy

Wraz z początkiem kwietnia wzrosły opłaty za przejazd autostradą A4 Kraków–Katowice. Podwyżka nie jest duża, przekonuje spółka Stalexport Autostrada Małopolska, kontrolowana przez włoską grupę kapitałową Mundys. Kierowcy samochodów osobowych, którzy za przejazd całej trasy liczącej 60,9 km płacili wcześniej 34 zł, płacą teraz 36 zł, czyli ok. 0,6 zł za kilometr. Spółka tłumaczy to wzrostem kosztów remontów oraz utrzymania trasy i przekonuje, że to mniej, niż dopuszcza umowa koncesyjna. Delikatnie przypomina też, że udział w dochodach z eksploatacji autostrady ma Skarb Państwa, który w ub.r. zainkasował ok. 1 mld zł.

Kierowcy są jednak poirytowani, bo autostrada, choć obciążona ruchem (ponad 50 tys. pojazdów na dobę), jest jednocześnie nieustannie remontowana, co ogranicza komfort podróży. Te remonty się nie skończą, bo za rok wygasa koncesja, a SAM ma obowiązek oddać państwu trasę w dobrym stanie technicznym. Po jej przejęciu przez Generalną Dyrekcję Dróg Krajowych i Autostrad znikną bramki, na których pobierane są opłaty. Pozostanie tylko elektroniczny system opłat e-TOLL, których samochody osobowe nie płacą.

Kilka tygodni przed podwyżką na A4 podobną decyzję podjęła spółka Autostrada Wielkopolska SA (należąca do francuskiego funduszu inwestycyjnego Meridiam), koncesjonariusz autostrady A2 Nowy Tomyśl–Konin. Trasa dzieli się na trzy 50-kilometrowe odcinki; auto osobowe za każdy odcinek płaci 40 zł. Na przejazd przez całą trasę trzeba więc wydać 120 zł, co daje 0,8 zł za km i czyni ją jedną z najdroższych autostrad w Europie. Podwyżka oczywiście także została uzasadniona rosnącymi kosztami utrzymania. I na razie nie ma szans na rychłą zmianę, bo koncesja wygaśnie dopiero w marcu 2037 r.

Natomiast najtańszą płatną polską autostradą pozostaje AmberOne A1 Gdańsk–Toruń, zarządzana przez Gdańsk Transport Company SA. Tu za przejazd samochodem osobowym 152-kilometrowego odcinka zapłacimy 29,90 zł, co daje ok. 0,2 zł za km. Ta niska cena wynika z faktu, że autostrada została wybudowana w modelu partnerstwa prywatno-publicznego i to państwo decyduje o wysokości opłat pobieranych na bramkach, a czasem wręcz z nich zwalnia. Trzy płatne polskie autostrady to pamiątka po latach 90., pionierskim przedunijnym okresie, kiedy panowało przekonanie, że prywatny kapitał może nam zapewnić nowoczesną sieć drogową. Okazało się to nie takie proste i dopiero napływ środków z UE umożliwił nadrobienie cywilizacyjnego zapóźnienia. (AG)

eprasa.pl c085a3b354

Péter Magyar i jego zwolennicy świętują po ogłoszeniu częściowych wyników w Budapeszcie

Węgry wracają

Péter Magyar na czele opozycyjnej partii Tisza wygrał wybory na Węgrzech. Jego ugrupowanie zdobyło konstytucyjną większość i zamierza rozmontować system Viktora Orbána.

ALEKSANDER KACZOROWSKI Z BUDAPESZTU

Spełnił się najbardziej optymistyczny scenariusz opozycji. Nowy rząd będzie mógł zmienić konstytucję, zdemontować system Viktora Orbána i uczynić Węgry na powrót krajem praworządnym i demokratycznym. A wszystko to dzięki niezwykłej charyzmie lidera opozycji, wyjątkowej mobilizacji społeczeństwa, zwłaszcza młodych wyborców, i rekordowej, niemal 80-procentowej frekwencji. Węgry wracają do Europy. Orbán już w niedzielę wieczorem uznał swoją porażkę i pogratulował Magyarowi. „Będziemy służyć naszemu krajowi nawet w opozycji" – powiedział w centrum konferencyjnym Bálna na lewym brzegu Dunaju. Wcześniej rzecznik prasowy jego rządu Gergely Gulyás stanowczo odrzucił sugestie, jakoby rząd miał się sprzeciwić woli narodu, a związany z Fideszem prezydent Tamás Sulyok oświadczył, że wybory przeprowadzono prawidłowo. – *Polski ekspres dojechał na Węgry* – mówi mi znany komentator polityczny András Vágvölgyi. – *Mamy Warszawę w Budapeszcie.*

Tisza będzie mieć 138 posłów w 199-osobowym parlamencie, Fidesz zaś – 55. Do parlamentu weszła też skrajnie prawicowa Moja Ojczyzna (Mi Hazánk), która zdobyła 6 mandatów. Premierowi nie pomogło poparcie ze strony Trumpa ani ubiegłotygodniowa wizyta wiceprezydenta USA J.D. Vance'a w Budapeszcie. – *Węgrzy nie interesują się sprawami zagranicznymi, a Trump nie jest dla nich żadnym autorytetem* – uważa Vágvölgyi. Zdaniem wielu ekspertów poparcie Waszyngtonu wręcz zaszkodziło Orbánowi.

eprasa.pl c085a3b354

Zwolennicy Magyara już kilka godzin przed zamknięciem urn zgromadzili się na stołecznym Placu Batthányego. Po zmroku atmosfera niedzielnego pikniku przerodziła się w wiec wyborczy z udziałem kilkudziesięciu tysięcy uczestników wymachujących węgierskimi flagami. Lider opozycji w pierwszym powyborczym wystąpieniu nawiązał do referendum europejskiego sprzed 23 lat: „Wtedy zdecydowaliśmy o przystąpieniu Węgier do Unii Europejskiej. Dziś ponownie zdecydowaliśmy o naszej przyszłości".

Tysiące Węgrów świętowało zwycięstwo opozycji na największych placach i arteriach stolicy. Czuć było atmosferę radosnego oczekiwania na werdykt wyborczy. – *Jestem pewna, że wygramy* – powiedziała mi Kriszta Bódis, doradczyni Magyara, psycholożka i autorka filmów dokumentalnych o węgierskich Romach, którą spotkałem przy stacji metra na Placu Rakoczego. A jednak skala triumfu wyborczego Tiszy zaskoczyła nawet przywódcę opozycji.

45-letni polityk dokonał niemożliwego. W ciągu zaledwie dwóch lat, w państwie niemal całkowicie kontrolowanym przez Fidesz, wbrew woli Donalda Trumpa stworzył ruch społeczny, który zmienił Węgry. – *Początkowo byłem sceptyczny wobec Magyara, to nie jest człowiek z mojej bajki* – mówi mi Attila Ara-Kovács, były europoseł i do niedawna wiceprzewodniczący lewicowej Koalicji Demokratycznej. – *Zmieniłem zdanie, widząc, jak dojrzewa do nowej roli, jak wyrasta na męża stanu. Dawni działacze opozycji, tacy jak ja, powinni usunąć mu się z drogi. Czas na zmianę pokoleniową w węgierskiej polityce.*

Viktor Orbán już w niedzielę wieczorem uznał swoją porażkę i pogratulował Magyarowi

Za sprawą werdyktu wyborczego Magyar stanął w obliczu wyzwań, przy których demontaż państwa PiS to drobnostka. Ma jednak w ręku instrumenty i kredyt zaufania wyborców (oraz instytucji europejskich), by móc przywrócić rządy prawa i rozbić mafijne kryptopaństwo Orbána.

Tego przede wszystkim oczekują jego sympatycy. – *Liczę na to, że pierwszą decyzją premiera Magyara będzie przystąpienie Węgier do Prokuratury Europejskiej i rozliczenie malwersacji finansowych Orbána i jego najbliższych współpracowników* – mówi András Fekete-Győr, lider liberalnej partii Momentum, której kandydaci wycofali się z udziału w wyborach, by zwiększyć szanse Tiszy na uzyskanie konstytucyjnej większości.

Podobnego zdania jest Vágvölgyi, który poznał Orbána jeszcze pod koniec lat 80. – *Chciałbym zobaczyć go, jak zeznaje przed europejską prokurator generalną* – mówi. – *Tak się składa, że prokurator Laura Codruța Kövesi jest Rumunką z Siedmiogrodu i doskonale orientuje się w węgierskich realiach.*

Péter Magyar już w sobotni wieczór, podczas zamykającego kampanię wyborczą wiecu w Debreczynie, zapowiedział, że Węgry pod jego przywództwem przystąpią do Prokuratury Europejskiej. Obiecał też, że obłoży specjalnym podatkiem miliarderów, którzy dorobili się za rządów jego poprzednika dzięki wartym setki milionów euro zamówieniom rządowym i rozdzielanym pod stołem dotacjom z Unii Europejskiej.

Orbán był mistrzem w pozyskiwaniu środków unijnych, Węgry były ich największym beneficjentem na głowę mieszkańca w całej UE. Pieniądze unijne były dla Fideszu tym samym, czym dla satrapii z Zatoki Perskiej są złoża ropy naftowej i gazu.

Problemy zaczęły się po poprzednich wygranych przez partię Orbána wyborach w 2022 r. Gdy Bruksela zablokowała wypłatę pieniędzy, system przestał je redystrybuować, a tym samym utracił najważniejszą legitymację do sprawowania władzy. Gospodarka pogrążyła się w stagnacji, a galopująca inflacja zaczęła pożerać oszczędności obywateli. Odblokowanie środków unijnych i szybka poprawa sytuacji gospodarczej będą więc głównym zadaniem zwycięzców. „Odzyskamy 8 bln forintów (18 mld euro) środków unijnych zablokowanych przez Komisję Europejską", zapowiedział Magyar w ostatnim przedwyborczym numerze dystrybuowanej w setkach tysięcy egzemplarzy gazetki wyborczej.

Zgodnie z przedwyborczymi zapowiedziami Magyar w pierwszą podróż zagraniczną uda się do Warszawy, a następnie do Wiednia i Brukseli. – *Najpierw jednak musi się pozbyć skompromitowanych dyplomatów, takich jak szef MSZ Péter Szijjártó* – uważa liberalny polityk András Fekete-Győr. Zgadza się z nim Attila Ara-Kovács, były europoseł lewicy. I dodaje, że nie mniej ważna będzie wymiana nominowanych na 12-letnie kadencje sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Z tym może być problem, gdyż sędziów nie można odwołać. Magyar, z wykształcenia prawnik, syn i wnuk prawników, prawdopodobnie będzie się starał nakłonić sędziów, by sami zrezygnowali z zajmowanych stanowisk.

Nowy rząd powinien powstać najdalej za miesiąc. Wiadomo, że poza Magyarem najważniejszymi postaciami w jego gabinecie będą przyszły minister finansów István Kapitány, do niedawna wiceprezes koncernu Shell, oraz Anita Orbán, przyszła szefowa dyplomacji, niespokrewniona z byłym premierem specjalistka ds. bezpieczeństwa energetycznego Europy Środkowej.

Magyar w swoim powyborczym wystąpieniu ani słowem nie wspomniał o Ukrainie, lecz ani on sam, ani jego elektorat nie jest antyukraiński. Można się spodziewać, że polityka wschodnia nowego gabinetu będzie znacznie bliższa stanowisku Warszawy wobec Moskwy. Z całą pewnością Budapeszt będzie dużo bardziej krytyczny wobec Kremla niż dotychczas. Czescy i słowaccy obserwatorzy obawiają się wręcz, że ich kraje, rządzone przez prorosyjskich polityków, Andreja Babiša i Roberta Ficy, zostaną zmarginalizowane przez nowy polsko-węgierski tandem. Doświadczeni węgierscy dyplomaci i znawcy Europy Środkowej studzą jednak te obawy, wskazując na pragmatyzm i deklarowaną przez Pétera Magyara chęć wskrzeszenia współpracy w ramach Grupy Wyszehradzkiej.

Magyar zapowiedział już śledztwo przeciwko skompromitowanemu szefowi MSZ Péterowi Szijjártó. Na poniedziałkowej konferencji powiedział też, że Szijjártó od 10 rano niszczy kompromitujące dokumenty w siedzibie MSZ. Ponoć archiwa płoną również w innych kluczowych ministerstwach. Rychłej dymisji może się spodziewać również Zsolt Hernadi, szef koncernu naftowego MOL, który kierował firmą zgodnie z oczekiwaniami i prorosyjską polityką poprzedniego rządu. ▶

© MARTON MONUS/REUTERS/FORUM, SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl c085a3b354

▶ Swój finał w sądzie znajdzie sprawa ułaskawienia związanego z Fideszem wicedyrektora sierocińca skazanego za tuszowanie przestępstw pedofilskich swego zwierzchnika. To właśnie ta afera z 2023 r. wywołała największe protesty podczas 16-letnich rządów Viktora Orbána, ostatecznie pogrążyła jego gabinet i wyniosła do władzy Pétera Magyara. – *Z perspektywy czasu wydaje się oczywiste, że to był punkt przełomowy* – powiedział mi publicysta András Vágvölgyi. – *Nowa arystokracja Fideszu poczuła się całkowicie bezkarna. Uważała, że wszystko ujdzie jej płazem, że może zrobić cokolwiek. Ale do jasnej cholery nie żyjemy przecież w monarchii!*

Oczekiwania wobec nowego rządu są naprawdę ogromne. – *Taka zmiana systemu zdarza się raz, najwyżej dwa razy w życiu* – mówi mi Éva Karádi, emerytowana wykładowczyni filozofii, związana przed 1989 r. z węgierską opozycją demokratyczną. Coraz głośniej mówi się o możliwym złożeniu urzędu przez obecnego prezydenta Tamasa Sulyoka. Jego następcę wybrałby parlament zdominowany przez Tiszę. Magyar podczas poniedziałkowej konferencji prasowej nazwał prezydenta Sulyoka marionetką i wezwał go, by niezwłocznie zwołał nowy parlament.

W ciągu ostatnich miesięcy Magyar zjeździł Węgry wzdłuż i wszerz; podczas pięciu ostatnich dni kampanii wyborczej odwiedził 29 miejscowości. Zakończył ją sobotnim wiecem w 200-tysięcznym Debreczynie, drugim największym mieście Węgier, uchodzącym za bastion Fideszu. Na Węgrzech nie ma ciszy wyborczej, więc kandydaci agitowali do ostatnich chwil przed zamknięciem lokali wyborczych.

Nawet wyjątkowo niemrawy w tej kampanii Orbán w ubiegły czwartek odwiedził Debreczyn, w piątek Székesfehérvár, gdzie dorastał i ukończył liceum, a w sobotę przemówił do zwolenników na zamku w Budapeszcie. Nie na wiele się to zdało. – *Orbán od dawna nie może liczyć na więcej niż 20, najwyżej 25 proc. głosów w stolicy* – uważa Timea Szabó, wiceprzewodnicząca ugrupowania Dialog-Partia Zielonych, z której wywodzi się burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony. Ona też, jak wielu innych kandydatów opozycji, zrezygnowała z udziału w wyborach, by umożliwić zwycięstwo partii Magyara. Tych, którzy postanowili kandydować, jak popularny poseł z Budapesztu Ákos Hadházy, spotkała sromotna klęska. Tisza zgarnęła wszystkie 18 mandatów z Budapesztu.

Największym zgromadzeniem opozycji był piątkowy koncert rockowy na Placu Bohaterów. Wzięło w nim udział kilkunastu popularnych wykonawców, protestujących przeciwko rządowi przy aplauzie ponad 100 tys. młodych słuchaczy. Do udziału w wyborach zachęcała również liberalna partia Momentum, która zorganizowała akcję „Pół miliona" – tylu młodych Węgrów pierwszy raz wzięło udział w wyborach.

Punktem kulminacyjnym kampanii i niedzielnego wieczoru było przemówienie Pétera Magyara, wygłoszone na Placu Kossutha przed neogotyckim gmachem parlamentu. Magyar podziękował młodym, że nie okazali strachu przed władzą, i seniorom – że nie uwierzyli w kłamstwa rządowej propagandy. Na zakończenie zebrani odśpiewali hymn węgierski i utwór grupy Queen „We Are the Champions".

Węgierskie wybory przyciągnęły uwagę mediów z całego świata. Komentatorzy zgodnie obwieścili porażkę trumpowskiej międzynarodówki i odwrócenie brunatnej fali zalewającej Europę. Orbán uchodził dotąd w USA za „Trumpa przed Trumpem" (tak nazwał go czołowy ideolog ruchu MAGA Steve Bannon). Teraz jego gwiazda nieuchronnie zgaśnie.

Już na kilka dni przed wyborami requiem dla premiera Węgier zamieścił w „The Washington Post" Johan Norberg, ekonomista związany z libertariańskim Cato Institute. Jego zdaniem idol populistycznej prawicy zapowiadał odnowę gospodarki, dzietności i wartości chrześcijańskich, lecz po 16 latach rządów pogrążył kraj w kryzysie gospodarczym, demograficznym i moralnym. Jedyne, co mu się udało, to zniszczyć państwo prawa. I być użytecznym idiotą jednocześnie w Mar-a-Lago i w Moskwie.

Orbánowi nie pomogły nieudolne sabotaże rosyjskich służb specjalnych, fake newsy i kłamstwa kremlowskiej propagandy. Tydzień przed wyborami w pobliżu ropociągu Turkish Stream na terenie Serbii znaleziono materiały wybuchowe. Serbowie zaprzeczyli jednak rozpowszechnianej przez węgierską propagandę rządową i Kreml wersji, jakoby Kijów miał cokolwiek wspólnego z tą próbą sabotażu. Tym samym moskiewski plan spalił na panewce.

W ostatnim tygodniu kampanii pojawiły się za to kompromitujące rewelacje na temat związków szefa węgierskiej dyplomacji Pétera Szijjártó z jego rosyjskim odpowiednikiem Siergiejem Ławrowem. Sam Orbán, według ustaleń agencji Bloomberg, podczas rozmowy telefonicznej z Putinem w październiku 2025 r. zadeklarował się jako zawsze gotów do usług klient Kremla.

Ponadto na jaw wyszła treść podpisanej w grudniu 2025 r. rosyjsko-węgierskiej umowy rządowej, przewidującej nawiązanie ścisłej współpracy politycznej, gospodarczej i kulturalnej; jest tam nawet przywodzący na myśl czasy sowieckie passus o zwiększeniu liczby godzin nauki języka rosyjskiego w węgierskich szkołach i otwarciu na oścież bram węgierskich uczelni przed wykładowcami z Rosji.

Orbán osiągnął tyle, że zapomniane hasło z czasów antysowieckiego powstania węgierskiego z 1956 r. „Rosjanie do domu!" (Ruszkik, haza!) znów rozbrzmiewa na ulicach Budapesztu. Słyszę je nawet teraz, gdy piszę te słowa, skandowane późno w nocy na jednej z głównych alei Budapesztu, wśród śpiewów, radosnych okrzyków tłumu i dźwięków klaksonów. – *Węgrzy pokazali, co myślą o Rosji Putina* – mówi Attila Ara-Kovács, były wiceprzewodniczący lewicowej Koalicji Demokratycznej. – *Magyar ożywił węgierską dumę narodową.*

Politycy PiS i Konfederacji oraz prawicowi publicyści licznie przybyli na Węgry, by wesprzeć swego ulubieńca. Zapewne mieli się z pyszna po ogłoszeniu wyników wyborów, a jeszcze bardziej, słysząc skandowane na zmianę antyrosyjskie i antyorbanowskie hasła. I to najgłośniejsze: Europa! Europa!

ALEKSANDER KACZOROWSKI

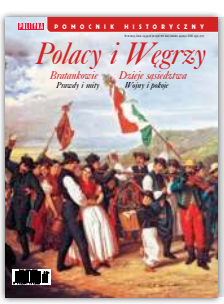

Polak i Węgier to „dwa bratanki, i do szabli, i do szklanki". Po wygranej Petera Magyara okazuje się, że i do wyborów. A jak wyglądały nasze relacje i związki w przeszłości? Zapraszamy do lektury Pomocnika Historycznego **„POLACY I WĘGRZY"**. Do nabycia w sklepie internetowym POLITYKI: **sklep.polityka.pl** oraz w ramach subskrypcji cyfrowej **polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl c085a3b354

Ormuz podwójnie zablokowany

Choć rozpoczęte 7 kwietnia zawieszenie broni wciąż się utrzymuje, to sytuacja wokół Iranu jest coraz bardziej skomplikowana.

ŁUKASZ WÓJCIK

Trwające przez całą sobotę i kawałek niedzieli rozmowy amerykańsko-irańskie w Pakistanie zakończyły się niczym. W odpowiedzi prezydent Donald Trump założył amerykańską blokadę na zablokowaną już przez Irańczyków cieśninę Ormuz, co wywindowało znów cenę baryłki ropy naftowej do ponad 100 dol. I przy okazji zaatakował Leona XIV, bo papież skrytykował wojnę. Z kolei Izrael – pod presją Waszyngtonu – ograniczył nieco bombardowania Libanu, ale zginęło tam już więcej ludzi niż podczas całego konfliktu w Iranie.

Teraz po kolei. Do zawieszenia broni doszło w zeszłym tygodniu, chwilę przed zapowiadanym przez Trumpa „końcem (perskiej – przyp. red.) cywilizacji". Wcześniej prezydent USA groził, że zniszczy wszystkie irańskie mosty i elektrownie, jeśli Teheran natychmiast nie odblokuje Ormuzu. Nie odblokował, ale Trump ogłosił, że znów wygrał i tak rozpoczęło się dwutygodniowe zawieszenie broni (do 22 kwietnia), w trakcie którego ma być wynegocjowane długofalowe porozumienie.

Pierwszym krokiem w tym kierunku miało być amerykańsko-irańskie spotkanie w Pakistanie – pierwsze na tak wysokim szczeblu od islamskiej rewolucji 1979 r. Amerykańskiej delegacji przewodniczył wiceprezydent J.D. Vance, o co prosili Irańczycy po tym, jak uznali Jareda Kushnera i Steve'a Witkoffa za „amatorów bez notatek w służbie Izraela". Stronie irańskiej przewodził szef tamtejszego parlamentu Mohammad Baker Kalibaf, uważany dziś za najsilniejszą postać w reżimie.

21-godzinne rozmowy w Pakistanie zakończyły się bez rezultatu, czego można było się spodziewać, gdyż dotyczyły spraw, które administracja Baracka Obamy negocjowała z Irańczykami przez dwa lata (2013–15). Dominowały trzy tematy. Po pierwsze, program nuklearny – Iran nie chce oddać około 440 kg wysoko wzbogaconego uranu, który poukrywał gdzieś w okolicy Isfahanu, nie zamierza też wyrzekać się cywilnego programu nuklearnego. Po drugie, aż do zawarcia pełnego pokoju nie chce słyszeć o odblokowaniu Ormuzu, cieśniny łączącej Zatokę Perską z Oceanem Indyjskim, przez którą przepływa piąta część światowych węglowodorów.

Tu ważne wtrącenie w sprawie Ormuzu. Teoretycznie nie jest on zamknięty – Irańczycy wymagają tylko, aby każdy przepływający statek wystąpił o zgodę od irańskiej armii i uiścił stosowną opłatę, prawdopodobnie jednego dolara za przepływającą baryłkę. Jeśli ruch w cieśninie wróci kiedyś do poziomu przedwojennego, będzie to oznaczać dla Iranu dochód nawet 90 mld dol. rocznie. Co ciekawe, prezydent Trump w pierwszej reakcji na to irańskie myto zapowiedział, że Stany Zjednoczone mogłyby utworzyć z Iranem spółkę joint venture i razem pobierać opłaty.

Potem prezydent USA zmienił zdanie i od poniedziałku wprowadził blokadę na blokadę – teraz to amerykańskie jednostki mają pilnować, aby ani kropla irańskiej ropy nie przepłynęła przez Ormuz, co już wywołało panikę na azjatyckich rynkach wybitnie zależnych od tego surowca. Za tą podwójną blokadą stoi pokrętna logika, że jeśli Irańczycy nie puszczają ropy przez cieśninę, to Amerykanie jeszcze bardziej nie będą jej puszczać, licząc na to, że Teheran – pozbawiony dochodów ze sprzedaży ropy – w końcu ugnie się pod presją. Problem w tym, że Iran pozbawiony tych dochodów jest już od 28 lutego i nic to nie zmieniło w jego postawie.

Wracając do Pakistanu. Negocjujący z Irańczykami Vance, jak sam przyznał, w trakcie rozmów kilkakrotnie konsultował się z Trumpem. Tylko nie wiadomo, czy prezydent USA cokolwiek usłyszał, bo w tym samym czasie przebywał na gali sportów walki w Miami. Na zdjęciach widać, jak towarzyszący mu sekretarz stanu Marco Rubio próbuje przekrzyczeć kibiców i tłumaczy coś prezydentowi.

Trzecią, ostatnią sprawą negocjowaną w Pakistanie był front libański. Irańczycy i pakistańscy pośrednicy przekonywali, że zawieszenie broni z 7 kwietnia dotyczy również południowego Libanu, gdzie trwają izraelskie bombardowania (od 2 marca) i inwazja lądowa (od 16 marca), co jest odpowiedzią na atak Hezbollahu na Izrael w ramach solidarności z zaatakowanym Iranem. Premier Beniamin Netanjahu, któremu dostało się w kraju, bo nie był obecny przy rozmowach o zawieszeniu broni, przekonuje, że dotyczy ono tylko ataków na Iran, a południowy Liban to odrębna sprawa. Z kolei Iran twierdzi, że jeśli Izrael nie wstrzyma ataków w Libanie, w wyniku których zginęło już ponad 2 tys. osób, a ponad milion musiało opuścić domy, zawieszenie broni przestanie obowiązywać.

Izrael nie ukrywa swoich planów w Libanie. Armia zapowiada „permanentne bazy" aż do linii rzeki Litani i jednocześnie systematycznie niszczy tam cywilną infrastrukturę, w tym mosty. Część izraelskich polityków otwarcie mówi o przyszłej okupacji tego terenu, aby zabezpieczyć północny Izrael od rakietowych ataków Hezbollahu. A „New York Times" rekonstruuje ostatnie chwile przed rozpoczęciem amerykańsko-izraelskiego ataku na Iran. Według gazety Netanjahu przekonał Trumpa, że ten atak ostatecznie zniszczy irański program nuklearny, a społeczeństwo szybko obali reżim. Przeciwko atakowi mieli ostro protestować szef CIA i Rubio. Ale było już za późno. ■

© STRINGER/REUTERS/FORUM

eprasa.pl c085a3b354

Niszczyciel cywilizacji

Donald Trump po serii krajowych porażek odniósł kolejne „zwycięstwo" – tym razem nad Iranem. Nawet bliscy sojusznicy zaczynają się od niego odwracać.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Donald Trump 5 kwietnia zażądał od Iranu odblokowania cieśniny Ormuz. I zagroził, że jeśli tego nie zrobi, do wieczora następnego dnia zbombarduje wszystkie irańskie elektrownie i mosty. „Otwórzcie pier...ą cieśninę, szalone sk... syny, albo czeka was piekło! Niech będzie pochwalony Allah". 6 kwietnia oświadczył na Truth Social: „Cała cywilizacja dzisiaj zginie". Nie jest jasne, czy Trump miał przez to na myśli liczącą kilka tysięcy lat cywilizację perską, czy 47-letnie rządy w Iranie „cywilizacji" szyickiego islamu. Można sobie jednak wyobrazić, jak przyjęły jego tyradę 93 mln Irańczyków i miliony muzułmanów na całym świecie.

W USA słowa prezydenta wywołały szok. Pojawiły się głosy, że Trump jest mentalnie niezrównoważony. Kilkudziesięciu Demokratów i kilkoro Republikanów wezwało, by usunąć go z urzędu na mocy 25. poprawki do konstytucji, która umożliwia pozbawienie władzy prezydenta fizycznie lub umysłowo niezdolnego do pełnienia obowiązków. Nie jest to dziś realne, bo wymagałoby zgody wiceprezydenta i większości gabinetu, na co trudno liczyć. Biały Dom twierdzi, że wybuch Trumpa to tylko retoryka mająca jak zawsze przygotować grunt pod negocjacje, a mówiąc prościej: przestraszyć Irańczyków. No to zobaczmy, kto wygrał tę *chicken game*. Zobaczymy, kto pierwszy powie: *pas*.

7 kwietnia wieczorem prezydent oznajmił, że zawiesza zapowiadane bombardowania na dwa tygodnie, bo Iran obiecał Ormuz otworzyć. Ogłoszenie rozejmu spowodowało zniżkę cen ropy i zwyżkę na giełdzie. Ale wkrótce okazało się, że statki będą mogły przepływać przez cieśninę tylko „w koordynacji" z irańskim reżimem. Żegluga tamtędy zawsze była swobodna, więc gdyby Waszyngton

© TOM WILLIAMS/CQ-ROLL CALL, INC/GETTY IMAGES

eprasa.pl c085a3b354

zgodził się, by ajatollahowie sprawowali nad nią kontrolę, nie byłoby to nawet przywrócenie status quo, tylko cofnięcie się – amerykańskie ustępstwo. A z dotychczasowych sygnałów wynika też, że Irańczycy żądają więcej: zniesienia sankcji, zachowania posiadanych jeszcze 440 kg wysoko wzbogaconego uranu – paliwa do budowy broni atomowej oraz reparacji wojennych za zniszczenia swego kraju.

I wcale nie jest pewne, że Trump odrzuci wszystkie te żądania. Podobno rozważa na przykład, czy nie wynegocjować z Teheranem wspólnej kontroli nad cieśniną, za przejście którą oba kraje – USA i Iran – pobierałyby myto. Oznaczałoby to kompromitującą porażkę dla Ameryki. Ale wydaje się, że amerykański prezydent tak bardzo pragnie zakończyć tę wojnę – głównie z obawy o polityczne skutki zwyżki cen ropy i inne implikacje zaburzeń globalnej gospodarki – że gotów jest zgodzić się na wszystko, aby tylko ogłosić sukces.

Niezależnie od wyniku wojna ta przejdzie do historii jako jeden z największych błędów Ameryki. Zniszczenie nawet większości arsenału militarnego Iranu przy pozostawieniu u władzy reżimu, który może go odbudować przy pomocy Rosji, nie usprawiedliwia śmierci tysięcy Irańczyków, kilkudziesięciu Izraelczyków i kilkunastu Amerykanów ani poniesionych kosztów dla krajowego budżetu idących w dziesiątki miliardów dolarów. Zwyżka światowych cen ropy wywołuje ogromne zaburzenia globalnej gospodarki, zapowiada spowolnienie wzrostu, grozi globalną recesją, a przedłużające się bombardowania zapowiadają pogłębianie chaosu i destabilizacji na całym Bliskim Wschodzie.

Z wojny najbardziej skorzystała Rosja dzięki podwyżce cen ropy i marnowaniu przez Amerykę swych zasobów. Zagrożona przez Władimira Putina Europa przeczuwa fatalne reperkusje wojny dla więzi transatlantyckich. Trump, wściekły na sojuszników za odmowę pomocy w odblokowaniu Ormuzu i w całej kampanii, zagroził wycofaniem Ameryki z NATO. Formalny US-exit nie jest raczej prawdopodobny – ustawa Kongresu zabrania prezydentowi takiego kroku bez zgody dwóch trzecich Senatu, na którą w przewidywalnej przyszłości nie może liczyć.

Jednak inwazja bez konsultacji z sojusznikami w połączeniu z obrażaniem ich wypowiedziami, że Ameryka „nie potrzebuje" NATO, chociaż po atakach z 11 września 2001 r. sojusz przyszedł jej z pomocą w Afganistanie, i niedorzeczne enuncjacje, że to „papierowy tygrys", podzieliły NATO i osłabiły jak nigdy dotąd. Jak podał „Wall Street Journal", trumpiści szukają teraz sposobów „ukarania" krajów sojuszu, które odmówiły wsparcia. Rozważa się podobno wycofanie z nich wojsk amerykańskich i przemieszczenie ich do krajów, które wojnę poparły. M.in. do Rumunii, która pozwoliła na użycie swych baz przez amerykańskie samoloty, oraz do Litwy, Grecji – i Polski.

Wojna wreszcie to także ostateczny cios zadany od dawna osłabianej przez Trumpa amerykańskiej *soft power*. Retoryka wojny totalnej, eskalacja wulgaryzmów i publiczna zapowiedź nieliczenia się z konwencjami genewskimi sprawia, że stereotyp „szpetnego Amerykanina", popularyzowany podczas zimnej wojny przez wrogów Ameryki, odżywa i może zawładnąć wyobraźnią milionów – staje się bezcenną bronią propagandową współczesnych tyranii.

Co kierowało Trumpem, kiedy postanowił napaść na Iran? Poza sojusznikami prezydenta wszyscy przyznają, że jest to wojna z wyboru, bo Ameryce – zgodnie z ustaleniami własnego wywiadu – nie groziło ze strony Iranu żadne zbliżające się niebezpieczeństwo. Zagrożony mógł się czuć Izrael, więc perswazji premiera Beniamina Netanjahu trudno nie uznać za jeden z głównych motywów decyzji Trumpa. Komentarze w USA akcentują jednak inną przyczynę – jego świadomość, że traci popularność i poparcie społeczeństwa, oraz pragnienie, by ten trend odwrócić.

Jego prezydentura stała się bowiem ciągiem potknięć, porażek i kompromitacji. Nawet walkę z nielegalną imigracją – początkowy atut Trumpa – większość Amerykanów ocenia źle, bo okazało się, że celem prowadzonych przez agentów ICE łapanek są osiadli od lat i pracujący w USA Latynosi i urodzone tam dzieci. Do piarowego fiaska tej kampanii przyczyniły się korupcja i fałsz wyjaśnień zabójstw manifestantów protestujących przeciw tej akcji, przez nadzorującą ją szefową Departamentu Bezpieczeństwa Kraju Kristi Noem, która w lutym zapłaciła za to dymisją.

Następną kulą u nogi prezydenta stała się afera Jeffreya Epsteina, zaprzyjaźnionego z nim finansisty pedofila. Jego kartotekę pod naciskiem Kongresu ujawniono opinii publicznej – ale tylko częściowo, co nie pozwala trumpistom ogłosić, że wszystko jest już OK. Tu z kolei zawaliła sprawę prokurator generalna Pam Bondi, bo opowiadając mediom o skandalu, kłamała, o ofiarach mówiła lekceważąco i przed komisją Kongresu krzyczała na przesłuchujących ją kongresmenów. W końcu Trump pozbył się Bondi, również dlatego, że nie zamknęła za kratkami prawników, którzy prowadzili przeciw niemu śledztwa.

Nie udają się też Trumpowi próby prewencyjnego przejęcia kontroli nad tegorocznymi wyborami połówkowymi do Kongresu. Wezwał do ich „federalizacji", czyli centralnego nadzoru, ale ich organizacja i dozór nad przebiegiem należą do kompetencji stanów, więc dominujący na Kapitolu Republikanie powiedzieli: nie. Ich liderzy nie zgodzili się również na zniesienie *filibuster* w Senacie, czyli wymogu uchwalania tam ustaw (poza budżetowymi) większością trzech piątych głosów, co praktycznie uniemożliwi przepchnięcie wymarzonych przez Trumpa ograniczeń prawa do głosowania (konieczność okazania dowodu tożsamości ze zdjęciem i amerykańskiego obywatelstwa).

Dążący do umocnienia swej władzy prezydent ma także problemy z Sądem Najwyższym. W lutym zdominowany przez konserwatystów sąd uznał za nielegalne podwyżki taryf celnych, uzasadniane zagrożeniem ekonomicznego bezpieczeństwa kraju. Obecnie rozpatruje wniosek Trumpa, by odebrać prawo do amerykańskiego obywatelstwa urodzonym w USA dzieciom nielegalnych imigrantów, przysługujące im na mocy 14. poprawki do konstytucji. Prezydent przyszedł na publiczne przesłuchania w tej sprawie, wywierając bezprecedensową presję na sąd, ale nawet mianowani przez niego konserwatywni sędziowie dali do zrozumienia, że nie chcą zmiany status quo, więc zanosi się na jego kolejną przegraną.

Opór Republikanów i Sądu Najwyższego przeciw autokratycznym planom Trumpa sugeruje, że demokracja amerykańska ma się wciąż nieźle. Aby powetować sobie te porażki, prezydent każe nazywać swoim imieniem coraz więcej obiektów ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ publicznych nieco w stylu północnokoreańskiego przywódcy Kim Dzong Una, z którym relacje określa zresztą nadal jako przyjazne. Najnowszy pomysł to zatwierdzona przez posłuszną Trumpowi komisję złota moneta na 250. rocznicę USA z jego podobizną, choć prawo zabrania umieszczania na amerykańskiej walucie portretów żyjących prezydentów.

Wojna z Iranem spycha w medialny cień porażki Trumpa w kraju. Sama jednak może się zakończyć jego kolejną klęską. Inwazja rozpoczęta bez żadnego planu, rachunku przewidywanych korzyści i strat miała przynieść szybkie zwycięstwo, podnieść słupki sondażowe i zapewnić przepustkę do historii. Ale na to się nie zanosi. Trump znalazł się w pułapce, bo rzeczywiste, choć niedeklarowane cele wojny – obalenie irańskiego reżimu i uniemożliwienie mu zbrojeń nuklearnych – byłyby osiągalne tylko w drodze lądowej inwazji. Ta jednak pociągnęłaby za sobą liczne amerykańskie ofiary, co byłoby gwoździem do jego politycznej trumny. Pozostaje teraz brnąć w kłamstwa, przekonując, że klęska w Iranie to zwycięstwo.

Poparcie dla Trumpa skurczyło się do 30–35 proc. To przede wszystkim twardy trzon MAGA – Amerykanie akceptujący cokolwiek by uczynił. Następna grupa to republikańscy politycy bijący mu pokłony ze strachu, że cofnie im poparcie w wyborach. Kolejna to republikańscy jastrzębie w Kongresie, jak senator Lindsey Graham, którzy twierdzą, że podziwiają Trumpa jako pierwszego prezydenta, który odważył się użyć siły przeciw ludobójczemu reżimowi. Jest wreszcie sprzymierzone z nimi lobby proizraelskie w obu partiach i są ewangelikalni protestanci, zapatrzeni w Izrael jako obietnicę drugiego przyjścia Chrystusa i traktujący kampanię irańską jako świętą wojnę z islamem.

Mimo to niechęć do wojny z Iranem jest dziś silniejsza niż przed jej rozpoczęciem. Praktycznie wszyscy niezależni od administracji eksperci wystawiają prezydentowi miażdżącą ocenę za ten atak. Podobnie Demokraci w Kongresie, poza garstką legislatorów z proizraelskiego lobby. Prezydenta odważa się też krytykować coraz więcej Republikanów na Kapitolu; oprócz rutynowej opozycji w osobach senatorów Toma Tillisa, Lisy Murkowski i Todda Younga wojnę krytykują dziś także popierający dotąd Trumpa senatorowie Ron Johnson, John Curtis

Projekt monety z podobizną Trumpa na 250. rocznicę USA

oraz kilkoro republikańskich członków Izby Reprezentantów.

Z największą pasją atakują jednak dziś Trumpa jego niedawni fani z MAGA z izolacjonistycznego skrzydła tego obozu, którzy nie darują mu, że złamał przyrzeczenie nierozpoczynania wojen. „Prezydent obiecuje użyć amerykańskich wojsk do zniszczenia cywilnej infrastruktury innego kraju, czyli popełnić zbrodnię wojenną" – powiedział prawicowy komentator telewizyjny Tucker Carlsson, który zaatakował go też za wtrącenie do wpisu w sieci sarkastycznej pochwały Allaha. „Nikt przyzwoity nie kpi sobie z religii innego narodu". Z kolei była kongresmenka Marjorie Taylor Greene napisała: „Każdy w jego administracji, kto uważa się za chrześcijanina, musi błagać Boga o wybaczenie, przestać czcić prezydenta i interweniować w sprawie jego szaleństwa".

Rysy w trumpistycznym monolicie poparcia wojny dostrzeżono na jej początku w samej administracji. Największe wątpliwości mieli wiceprezydent J.D. Vance i szefowa służb specjalnych, odsunięta od wojennych narad Tulsi Gabbard, której raporty o braku bezpośredniego zagrożenia ze strony Iranu Trump zignorował. Ważnym sekundantem wyruszającego do boju prezydenta miał być Marco Rubio, kameleonowaty sekretarz stanu i doradca ds. bezpieczeństwa narodowego. Naczelnym podżegaczem był jednak wicedyrektor prezydenckiej kancelarii Steven Miller, fanatyczny czyściciel Ameryki z imigrantów, który ma dostęp do jego ucha także w kwestiach międzynarodowych.

Sekretarz wojny Pete Hegseth wciąż relacjonuje przebieg wojny jako pasmo epokowych triumfów. Wcześniej przeprowadził w Pentagonie czystkę, wyrzucając kilkudziesięciu dowódców podejrzanych o nielojalność lub lewicowość. Podczas wojny wysłał na przymusową emeryturę szefa sztabu wojsk lądowych gen. Randy'ego George'a, dlatego że ten protestował przeciw skreśleniu z listy awansów generalskich kobiet i Afroamerykanów. Jego briefingi dla mediów są kabaretem pompatycznego samochwalstwa, dewocyjnej frazeologii religijnej i powtarzanych za Trumpem kłamstw. Przesadził jednak w trąbieniu o unicestwieniu irańskich arsenałów i obwinia się go podobno o wprowadzanie w błąd prezydenta. Jeśli więc wojna zakończy się katastrofą, prawdopodobnie straci posadę, poświęcony na ołtarzu kultu Trumpa.

Operetkowa postać Hegsetha to najlepsze uosobienie degrengolady administracji Trumpa. Co kilka dni Biały Dom urządza żenujące widowisko – otwarty dla mediów początek posiedzenia rządu prezydenta. Po jego monologu złożonym z entuzjastycznych autorecenzji członkowie gabinetu kolejno składają mu hołd, prześcigając się w komplementach. Jak na zebraniu politbiura w Chinach lub Korei Północnej. Na konferencjach prasowych rzeczniczka Białego Domu Caroline Leavitt zaprzecza faktom i beszta dziennikarzy, kiedy zadają jej kłopotliwe pytania. Kierownictwo administracji, złożone z samych potakiewiczów i pochlebców, żyje coraz bardziej we własnej bańce. Ale kiedy ceny benzyny i innych dóbr rosną, Trump, jego rodzina i koledzy miliarderzy realnie pomnażają swoje majątki.

Amerykanie to widzą i mają wyraźnie dość rządów Trumpa. Niechęć do prezydenta przenosi się na popierających go Republikanów. Wyniki niedawnych wyborów uzupełniających do władz stanowych i lokalnych, przegrywanych przez republikańskich kandydatów, dowodzą zdecydowanej zmiany preferencji wyborców. Sondaże i prognozy politycznych bukmacherów wskazują, że w wyborach połówkowych do Kongresu Demokraci na bank zdobędą większość w Izbie Reprezentantów. A po inwazji na Iran przewiduje się, że mogą nawet przejąć kontrolę nad Senatem, gdzie niedawno nie dawano im szans.

Do wyborów zostało jeszcze siedem miesięcy. Nie wiadomo, jak ostatecznie zakończy się wojna w Iranie, od której wyniku wiele zależy. Zwycięstwo Demokratów oznaczałoby w każdym razie perspektywę ogromnych kłopotów dla Trumpa i jego administracji.

TOMASZ ZALEWSKI

© CAP/PLF/CAPITAL PICTURES/FORUM

eprasa.pl c085a3b354

Wyścig do środka

Mateusz Morawiecki

Coraz bardziej radykalizująca się polityka teoretycznie powinna sprzyjać zwiększonemu popytowi na rozsądek i umiarkowanie. Dlatego i dzisiaj nie brakuje chętnych na zajęcie miejsca bliżej środka sceny, a być może pojawią się kolejni. Czy mają czego szukać w politycznym centrum?

RAFAŁ KALUKIN

O potencjale „mitycznego centrum", którego „niby nie ma", ale „w istocie daje władzę" przekonywał niedawno w wywiadzie dla Wirtualnej Polski szukający dla siebie miejsca po prawej stronie Mateusz Morawiecki. W obozie koalicyjnym wyznawcą podobnej filozofii tradycyjnie pozostaje wicepremier i szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, którego formacji również zagraża marginalizacja. Nic dziwnego, że ich wspólna debata w Jasionce napędziła pogłoski o sojuszu wyborczym ludowców z „harcerzami" Morawieckiego jako przełamującym dotychczasowy podział.

Chociaż to tylko intelektualna spekulacja, gdyż na razie żaden z nich nie ma interesu w przekraczaniu linii frontu. Więcej w tym wszystkim badania gruntu, a trochę też zwykłego mydlenia oczu. I z podobną rezerwą należy zapewne potraktować krążące uparcie po Warszawie plotki o rychłym pojawieniu się zupełnie nowego ruchu politycznego, którym zainteresowane mają być bliżej nieokreślone biznesowe elity. Miałby on zająć miejsce pomiędzy biegunami sceny jako politycznie umiarkowana i pragmatyczna reprezentacja przedsiębiorców ukierunkowana przede wszystkim na odebranie Konfederacji mniej zideologizowanych wyborców celem przeciągnięcia ich na demokratyczną stronę.

Zapewne nie jest przypadkiem, że centrowych wyborców najczęściej próbują nęcić politycy znajdujący się w opałach bądź debiutanci. Ci realnie walczący o władzę albo po prostu będący akurat na fali wolą dociskać pedał gazu, gdyż radykalizacja w obrębie korzystnie sprofilowanego podziału najzwyczajniej im się opłaca. Zazwyczaj niewiele ma to wspólnego z ich realnymi poglądami. Polaryzujący scenę od dwóch dekad ▶

Władysław Kosiniak-Kamysz

© PAP/DAREK DELMANOWICZ

eprasa.pl c085a3b354

▶ Donald Tusk i Jarosław Kaczyński nie urodzili się politycznymi radykałami. Po prostu grali coraz ostrzej, gdyż utrwalenie podziału PO–PiS gwarantowało im dominację po własnej stronie. Dzięki temu nabierali wyrazistości i zdolności odróżnienia się od konkurencji.

Ale równie dobrze ilustrują tę prawidłowość polityczne losy Morawieckiego, który meldował się w swoim obozie jako technokrata i fachowiec od polityki rozwojowej. Dosyć szybko awansowany na premiera, gdyż Kaczyńskiemu chwilowo potrzebny był ktoś wygładzony, żeby uspokoić nastroje społeczne oraz udobruchać Brukselę po burzliwej pierwszej fazie rozprawy z liberalnymi instytucjami państwa. Ale gdy już PiS umocnił się u władzy, a sam Morawiecki obrósł w piórka i stał się twarzą swojego obozu w dwóch kolejnych kampaniach wyborczych, poszedł z radykalnym prądem. Odtąd mógł robić wrażenie polityka umiarkowanego co najwyżej na tle jeszcze radykalniejszych ziobrystów.

Bo choć nie miał temperamentu wiecowego, wchodził w najostrzejsze zwarcia z opozycją, nie stroniąc też od konfliktów kulturowych. Zarazem popierał wszystkie najbardziej szalone pomysły Kaczyńskiego: rozprawę z sądami, wybory kopertowe, ustawowe kneblowanie TVN, całkowity zakaz aborcji. Jeśli ktoś stawał czasem okoniem, to nie udający dziś umiarkowanego Morawiecki, tylko Andrzej Duda albo Jarosław Gowin. Owszem, na koniec premierowania zdążył zawrzeć pragmatyczny kompromis z Brukselą w sprawie „kamieni milowych" KPO, co mu się na prawicy często wypomina. Dostał na to jednak glejt od swego patrona Kaczyńskiego, któremu zależało na odblokowaniu unijnych funduszy. Do czego ostatecznie nie doszło.

Dopiero po przegranych wyborach zebrało się Morawieckiemu na odwagę, kiedy oświadczył, że złożenie wniosku do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji jednak było błędem, a sam jest od lat zwolennikiem „kompromisu aborcyjnego". Tyle że został już wtedy odstawiony do partyjnego kąta, gdyż nie pasował Kaczyńskiemu do nowego etapu, kiedy trzeba było brać się za bary w rosnącą dalej na prawo konkurencją. Ale to właśnie postępująca radykalizacja PiS z wyeksponowanym na przedzie Przemysławem Czarnkiem tak naprawdę zrobiła z Morawieckiego centroprawicowego gołąbka. Żeby się odróżnić, musiał zaproponować odmienną logikę. Zresztą ruchliwość Czarnka jak dotąd nie przekłada się na sondażowe zwyżki. Poszukujący „mitycznego centrum" Morawiecki oferuje więc Kaczyńskiemu alternatywę, której co prawda nie sposób dzisiaj zweryfikować, ale za to można jej używać do rozliczania partyjnego konkurenta z braku efektów i odbudowy własnej pozycji.

Trzeba zresztą Morawieckiemu przyznać, że rozgrywa tę partię dosyć sprawnie. Pomimo dobiegających z Nowogrodzkiej pomruków niezadowolenia, a ostatnio nawet zawieszenia jednego z ludzi byłego premiera, nie daje się zastraszyć. Jest aktywny i ochoczo wychodzi poza pisowską bańkę, odnawiając wizerunek politycznego eksperta w debatach z takimi politykami, jak Adrian Zandberg, Krzysztof Bosak, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz bądź ostatnio Władysław Kosiniak-Kamysz. Nie zapominając wszakże o konsolidowaniu własnego środowiska, czego kolejnym etapem ma być teraz powołanie stowarzyszenia. To rzecz jasna sposób na policzenie się, a jeżeli niechętny emancypacji byłego faworyta Kaczyński otrzyma potwierdzenie jego realnej siły w partii, zapewne będzie zmuszony zaakceptować jego samodzielność. A gdyby nawet było inaczej i doszło do przesilenia, mając już realnie funkcjonującą strukturę, łatwiej będzie poszukać nowej formuły pozostania w polityce.

Ale czy akurat w sojuszu z PSL, jak obstawiają niektórzy komentatorzy? To wydaje się wątpliwe, choć nie z powodu politycznych różnic. Morawiecki już raz przekraczał linię podziału z wdziękiem kameleona, z kolei ludowcy przyjmą z pocałowaniem ręki niemal każdego partnera z paroprocentowym potencjałem, dzięki któremu mogliby przekroczyć próg wyborczy. Problem w tym, że taki układ należałoby skonstruować z odpowiednim wyprzedzeniem, żeby oswoić wyborców, którzy przecież powinni dostać kierunkowy sygnał, po której stronie znajduje się przełamująca schemat inicjatywa. Bo sam tylko ekspercki żargon obu liderów to jednak trochę za mało, żeby się uwiarygodnić.

Morawiecki musiałby więc sam porzucić PiS, do czego się nie pali, gdyż wciąż ma nadzieję odzyskać czołową pozycję we własnej formacji. Zapewne też zdaje sobie sprawę, że prawicowy wyborca na ogół ceni lojalność i rzadko wybacza rozłamowcom. Już lepiej więc zostać wyrzuconym, tylko że Kaczyński jest zbyt doświadczonym wygą, żeby popełnić głupi błąd i eliminować Morawieckiego w trakcie kadencji. Jeżeli nawet dojrzewa dzisiaj w prezesie taki plan, niemal na pewno zrealizuje go w ostatniej chwili, kasując ludzi byłego premiera z list wyborczych tuż przed ich zamknięciem. A wtedy pewnie będzie już za późno na szukanie nowych partnerów.

Ale też ogłaszający teraz swoisty casting na sojusznika ludowcy nie mają zbyt wiele czasu. Na razie nie mają w czym wybierać, ale pewnie liczą, że jeszcze otworzy się okno możliwości. Jeżeli faktycznie na rynku politycznym pojawią się jakieś debiuty – czyli partia przedsiębiorców, samorządowców albo coś jeszcze innego – jesienią powinny już wylecieć pierwsze jaskółki. Inna sprawa, czy znaleźliby się wówczas chętni do wiązania się z tak znoszonym partnerem jak PSL. Dobry wynik Trzeciej Drogi z 2023 r. mimo wszystko pokazał, że ludowcy są elastyczni i potrafią się dopasowywać do rozmaitych politycznych formuł. Tyle tylko, że nie mogą z tym czekać do ostatniej chwili, żeby im nie uciekł pociąg ostatniej szansy, czyli wspólny start z Koalicją Obywatelską. Opcja najmniej pożądana, bo do aliansu z wielkim partnerem zawsze łatwiej się wchodzi, niż z niego później wychodzi, niemniej w czarnej godzinie gwarantująca przetrwanie.

Historia PSL w długiej perspektywie zarazem jednak pokazuje pułapki centrowego myślenia. Stronnictwo realnie zachowywało bowiem podmiotowość, dopóki pozostawało partią klasową z oparciem w realnym elektoracie. Później utraconym w wyniku zmian strukturalnych na polskiej wsi, wskutek czego stało się partią trochę dla nikogo. Dzisiejszy centryzm PSL został wymuszony okolicznościami, gdyż ugrupowanie nigdy nie posiadało klarownej linii ideologicznej, dawniej skupiając się na reprezentowaniu interesów konkretnych grup wyborców, czemu służyła słynna w latach 90. „obrotowość" PSL.

Z czasem ludowcy zostali jednak zredukowani do roli wiecznych petentów nieumiejących stworzyć nowoczesnej tożsamości ani tym bardziej więzi z wyborcami. I jeżeli wytrwali tak długo na scenie, to bynajmniej nie dzięki centrowemu umiejscowieniu, tylko rozbudowanym w lepszych czasach partyjnym strukturom, które pozostają najważniejszym od lat atutem w negocjowaniu kolejnych wyborczych porozumień.

eprasa.pl c085a3b354

Regularnie przywoływane „mityczne centrum” to w znacznej mierze już tylko utrwalone echo polityki z lat 90. Była ona wtedy zupełnie inna od współczesnej. Angażowała typowo inteligenckie emocje, najczęściej wokół kwestii rozliczenia komunizmu. Temat lustracji potrafił wtedy rozgrzewać elity do białości, choć zasób argumentów po obu stronach pozostawał przez długie lata niezmienny. Przeważnie mijało się to z codziennym doświadczeniem szerokich warstw społecznych, które zmuszone były adaptować się do nowych realiów w trudnych warunkach transformacji.

Z ich perspektywy „podział postkomunistyczny” był oderwany od codziennego życia, pięknoduchowski i niefunkcjonalny. Nic dziwnego, że zainteresowanie polityką pozostawało relatywnie niskie, co odbijało się na frekwencji w wyborach. Przeciętny obywatel nie oczekiwał w tamtych czasach od klasy politycznej eskalowania ideologicznych konfliktów, tylko umiaru i współpracy ponad podziałami. Co najlepiej zrozumiał wprawiony w przerzucaniu pomostów na drugą stronę Aleksander Kwaśniewski, niewątpliwie największy polityczny bohater swojej epoki.

Wszystko zmieniło się w 2005 r., kiedy Kaczyński dokonał w kampanii wyborczej kolejnego epokowego odkrycia. Poszukując doraźnej płaszczyzny konfrontacji z sojuszniczą wtedy jeszcze PO, przeprowadził śmiały eksperyment, ordynując z dnia na dzień wycofanie podziału postkomunistycznego i zastąpienie go populistycznym, początkowo eufemistycznie określanym mianem starcia Polski solidarnej z liberalną. PiS sięgnął jednak po emocje, które solidarnościowe elity starały się dotąd izolować od polityki – społecznego gniewu na transformację oraz oddolnego tradycjonalizmu.

I tak zaczął formować i pogłębiać utrzymujący się do dziś populistyczny podział na lud i elity, podjęty następnie przez Tuska, który z kolei zręcznie odwołał się do pragnień aspirującej nowej klasy średniej. Polityka ostatecznie wylała się z inteligenckiej niszy, zaczynając wreszcie budzić powszechne emocje, na co miał również ogromny wpływ nowoczesny marketing oraz rewolucja komunikacyjna. Już nie była rozgrywką elit, tylko ludowymi igrzyskami.

Tak ceniony w poprzedniej epoce „centryzm” nagle stracił na wartości. Zrobił się mdły, gdyż nie nawiązywał do konkretnych emocji. Od tej pory najczęściej pełnił funkcję schronu dla politycznych outsiderów, uchodźców z wielkich partii, nieudanych rozłamowców. Wiele było takich efemerycznych inicjatyw na przestrzeni ostatnich dwóch dekad, choć ich szyldy (Polska Jest Najważniejsza, Polska Plus, Polska Razem) dawno poszły w zapomnienie. To nie obłym centrystom udawało się bowiem naruszyć logikę polaryzacji, lecz emocjonalnie rozwichrzonym ekscentrykom z oryginalnym pomysłem na siebie, takim jak Janusz Palikot, Paweł Kukiz i do niedawna Szymon Hołownia.

A polityka nadal przyspiesza i nawet wielkim liderom coraz trudniej jest dzisiaj zarządzać konfliktami. Jeszcze parę lat temu szczególnie PiS był w stanie kreować tematy, które żyły później w mediach całymi tygodniami. Dzisiaj większość wrzucanych do medialnego tygla wątków rozpływa się już po kilku godzinach, a zdobycie parodniowej atencji uchodzi za ogromny sukces. Nawet tak zasadnicza kwestia jak program SAFE, chociaż budziła tak wiele uzasadnionych emocji, parę tygodni później wydaje się jakby zamglona. To oczywiście przede wszystkim skutek ciągłego mnożenia się cyfrowych kanałów komunikacyjnych, powszechnego dostępu do narzędzi automatyzacji produkcji i dystrybucji treści, wreszcie pogłębiającej się ich segmentacji.

A do tego jeszcze dochodzi naturalne po dwóch dekadach wypalenie tradycyjnych antagonistów, których patenty są coraz bardziej ograne. W większym stopniu dotyczy to Kaczyńskiego, który na własne życzenie uwikłał się w konflikt z dużo młodszymi rywalami na prawicowym froncie, gdzie nietrudno się zatracić i popaść w sprzeczności. Totalny już atak na Unię Europejską i wszystkie jej kluczowe polityki pokazuje, że PiS jest już o krok do wjazdu do strefy oficjalnego już polexitu. Swoją drogą usłużni komentatorzy już zaczęli wyczuwać pismo nosem i powoli szykują grunt, podczas gdy partia na razie jeszcze dementuje.

Dla Tuska to oczywiście sytuacja korzystna i nieprzypadkowo tak często ostrzega przed polexitem. Dopóki bowiem Polacy pomimo mnożących się wątpliwości opowiadają się za pozostaniem w UE, dopóty można kalkulować, że wokół podziału europejskiego uda się zgromadzić polityczną większość. A przy okazji Tusk miałby argument, by wywrzeć presję na Lewicę i PSL w sprawie wspólnego bloku wyborczego, co akurat byłoby w obecnych okolicznościach, przy trwałym już podziale prawicy na trzy części, dużo bardziej sensowne niż w poprzednich wyborach.

Problem w tym, że oskarżanie PiS o chęć dokonania polexitu ma już długą tradycję i wielu wyborcom może się wydawać zanadto rytualne. Z drugiej strony koalicja tradycyjnie nie potrafi zbudować pozytywnego kontekstu dla własnej aktywności, co naraża ją na stały zarzut, że najlepiej wychodzi jej straszenie Kaczyńskim. PiS na tym jak zwykle korzysta, lansując hasła typu „Tak dla rozwoju”, tak jakby za obecnych rządów Polska przestała się rozwijać. Należałoby to jednak narracyjnie usystematyzować, ująć w czytelne symbole.

W efekcie trochę więc nie wiadomo, wokół czego kręci się dzisiaj polska polityka. Jeszcze kilka lat temu Hołownia był w stanie się wybić dzięki kontestacji „duopolu”, ale dzisiaj to emocja właściwie już martwa, odkąd prawa strona się rozhermetyzowała. Polska 2050 praktycznie już zresztą wypadła z gry i pozostaje pytanie, które jej resztki trafią do KO. Przywództwo Tuska wydaje się bardziej niż stabilne, chociaż i tutaj nie brakuje mimo wszystko pewnych znaków zapytania. Sporo może chociażby zależeć od wyniku referendum w sprawie odwołania prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego. Bo jeżeli inicjatorzy akcji dopną swego, z pewnością pojawi się cała seria podobnych wniosków w innych wielkich miastach. A wtedy nie można wykluczyć powstania fali oddolnego rozczarowania ze strony liberalnego mieszczaństwa, co zrodzi popyt na jakąś alternatywę dla „gnuśnej” i „bezideowej” KO, coś w rodzaju Nowoczesnej bis.

Z drugiej strony warto mimo wszystko pamiętać o coraz bardziej napiętej sytuacji międzynarodowej, która odciąga uwagę od krajowej polityki i ogranicza jej możliwości, obnażając realnie niewielką sprawczość lokalnych polityków, najczęściej bezbronnych wobec globalnych zawirowań. Jak ostatnio w kwestii kryzysu paliwowego. Teoretycznie sytuacja może więc nawet sprzyjać mniejszym ugrupowaniom albo potencjalnym debiutantom, którzy chcieliby znaleźć sobie miejsce gdzieś pomiędzy biegunami. W praktyce niewiele się dzieje, jeśli nie liczyć snucia dosyć jałowych spekulacji na temat „mitycznego centrum”. Co nie oznacza, że się nie zadzieje, gdyż do wyborów zostało jeszcze trochę czasu.

RAFAŁ KALUKIN

© PAP/DAREK DELMANOWICZ

eprasa.pl c085a3b354

Sławomir Mentzen trzyma w miarę równy dystans do PiS i KO. Krzysztofowi Bosakowi zdarza się krytykować PiS, ale może zawrzeć z nim koalicję.

Sześć frontów na prawicy

Prawica już szykuje się do objęcia władzy, ale daleko jej do porozumienia – dzieli ją wiele różnic ideologicznych i personalnych animozji. Czy uda się je zasypać?

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

Na półtora roku przed wyborami trzy partie prawicowe mogą liczyć na blisko 50 proc. głosów. PiS (średnia sondażowa w marcu według Polityki Insight – 26,4 proc.), Konfederacja (13,8 proc.) i Korona (8,5 proc.) według badań zdobyłyby dziś większość mandatów (i taką perspektywą mobilizuje swoich wyborców Donald Tusk).

PiS próbuje sprowadzić do parteru Koronę i ignoruje ataki Konfederacji. W Konfederacji coraz mniej łączy Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena; ze wspólnej partii został tylko szyld. W samym PiS pada zaś coraz więcej pytań o przyszłość Mateusza Morawieckiego. A skoro nie ma jednego obozu prawicowego, to i Karol Nawrocki nie jest tego obozu patronem; Konfederacja traktuje prezydenta jak polityka konkurencyjnego PiS. Przyjrzyjmy się z bliska najważniejszym frontom na prawicy.

PiS – Konfederacja: czekając na koalicjanta

Mało kto w PiS wierzy w zaklęcia o samodzielnej większości. Optymistyczny scenariusz z punktu widzenia Nowogrodzkiej to odzyskanie poparcia z 2023 r. (35 proc.) i Konfederacja z 12–14 proc. Takie wyniki powinny już wystarczyć do zdobycia większości. Partia Jarosława Kaczyńskiego cierpliwie znosi więc ataki Mentzena, w utarczki wdaje się z rzadka i bez zapału. Na zaczepki konfederatów niespecjalnie reaguje także Przemysław Czarnek, który był negatywnym bohaterem godzinnego filmu nagranego przez Mentzena.

Taka strategia PiS wynika także z przekonania, że retoryczne popisy nic by realnie nie zmieniły; podział elektoratu między PiS a Konfederację ma charakter pokoleniowy i wydaje się trwały. Kaczyńskiego popierają starsi, konfederatów – młodsi. Starszych jest znacznie więcej, więc PiS pozostanie dużo potężniejszy. Możliwości przepływu elektoratu są ograniczone i nawet nie w narzędziach komunikacji tkwi główna przeszkoda, lecz w tym, że młodzi prawicowcy mają inne potrzeby niż starsi. PiS – partia establishmentu i partia socjalna – nie ma klucza do 20- i 30-latków. I co przytomniejsi politycy PiS się z tym pogodzili. Jeśli coś martwi Nowogrodzką na tym odcinku, to niepewność co do Mentzena.

Bo Bosakowi zdarza się krytykować PiS, ale to lider Nowej Nadziei celuje w takich atakach. To Mentzen nazwał Kaczyńskiego „gangsterem politycznym" i to on hołduje zasadzie równego dystansu do PiS i KO. Przy okazji najnowszej odsłony sporu o Trybunał Konstytucyjny napisał: „Prezydent powinien przyjąć ślubowanie od sędziów wybranych przez Sejm. Koalicja nie powinna robić cyrku ze składaniem ślubowania w Sejmie. PO i PiS na potrzeby partyjnej nawalanki rozwalają kolejne instytucje naszego państwa. Mam dosyć jednych i drugich. Nie mogę się doczekać dnia, aż wyborcy was w końcu pogonią".

– *Bosak zawrze koalicję z PiS. Ale Mentzen to zagadka. Jeśli będzie miał tylu posłów, żeby dać większość Tuskowi, to może spróbować to zrobić* – ocenia polityk z otoczenia Kaczyńskiego.

PiS – Korona: próba marginalizacji

O partii Grzegorza Brauna poszczególni posłowie PiS mogą mówić lepiej lub gorzej, ale dla Kaczyńskiego Korona jest ugrupowaniem wrogim. I groźnym. „To jest mój obowiązek jako Polaka, jako polskiego polityka. O żadnych sojuszach z Braunem nie ma mowy. Kto chce zawierać albo głosować na Brauna, to głosuje w gruncie rzeczy na Tuska. To głosuje na Putina. To jest droga donikąd, droga do nieszczęścia dla Polski, skrajnego nieszczęścia" – mówił prezes PiS na jednym ze styczniowych wieców.

I to nie jest chyba tylko próba ucieczki przed Tuskiem, który straszy wizją sojuszu Kaczyńskiego z Braunem; Korona jest dla Kaczyńskiego autentycznym problemem. Braun jest nieakceptowalny dla USA, Braun odebrał PiS część elektoratu, Braun jest za polexitem, Braun jest kłamcą

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, GRZEGORZ WAJDA/REPORTER, PAP/PAWEŁ SUPERNAK

eprasa.pl c085a3b354

Relacje prezydenta Nawrockiego z konfederatami się skomplikowały. Popyt na skrajną prawicę nie maleje (na fot. Grzegorz Braun ze Stanisławem Tymińskim)**.**

oświęcimskim, jako koalicjant byłby tykającą bombą.

Znaczna część ostatniej aktywności PiS to próba zniszczenia prawicowego konkurenta, odebrania mu tlenu, zepchnięcia pod próg. Temu właśnie służyła nominacja Czarnka, który ma obsłużyć potrzeby elektoratu na pograniczu PiS i Konfederacji. Politycy PiS uderzają w wizerunek Brauna jako polityka katolickiego, przypominając, że w jego otoczeniu są neopoganie, pokazują jego prorosyjskość, atakują go za brak powagi, oskarżają o chęć prywatyzacji ochrony zdrowia. Ta wojna toczy się głównie poniżej radaru mediów, na spotkaniach z posłami PiS, ale jest intensywna i krwawa. Jeśli w kwietniu i maju potwierdzą się drobne spadki sondażowe Korony, to będzie znak, że PiS przynajmniej na tym froncie posunął się do przodu.

PiS – PiS: sztychy za kotarą

Wskazanie Czarnka jako kandydata na premiera miało położyć kres walkom wewnętrznym w PiS. Kaczyński żąda spokoju w partii, ale spokoju nie ma. Tuż przed Wielkanocą ukazał się duży wywiad z Morawieckim na portalu wp.pl, który szybko stał się głośny w PiS. Były premier pobłażliwie mówił o Czarnku jako o „retorycznie żywiołowym koledze", który potknął się, mówiąc „OZE-sroze", i teraz trzeba „pozwolić mu wstać". Morawiecki bagatelizował znaczenie nominacji Czarnka i ocenił, że wzrost sondażowy PiS wziął się z zakazu krytyki jego rządu, a nie pracy byłego ministra edukacji. Podzielił tezę europosła Piotra Müllera o „suwpolizacji PiS", czyli nieproporcjonalnego wpływu polityków związanych ze Zbigniewem Ziobrą na partię Kaczyńskiego. Komplementował Władysława Kosiniaka-Kamysza i mówił, że PiS musi pamiętać o wyborcach umiarkowanych, bo bez nich droga do władzy będzie zamknięta. I wreszcie ogłosił, że tworzy stowarzyszenie, które będzie skupiało „ludzi, którym coś nie pasuje w każdej z istniejących partii prawicowych".

Całość była rzecz jasna okraszona zapewnieniami, że Morawiecki nie zamierza odchodzić z PiS, ale plotki o rozłamie wróciły. Zwłaszcza że ludzie Morawieckiego zaczynają się wyłamywać z partyjnej dyscypliny; Paweł Jabłoński nie głosował przeciwko ustawie w sprawie SAFE, a Krzysztof Szczucki oznajmił, że prezydent powinien przyjąć ślubowanie od wszystkich wybranych przez Sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego, za co Kaczyński zawiesił go w prawach członka partii.

Partyjni przeciwnicy Morawieckiego chcieliby się go pozbyć, Kaczyński jest podobno coraz bardziej zirytowany, ale powstrzymuje się od gwałtownych ruchów, bo secesja groziłaby osłabieniem całej partii. A nikt tak naprawdę nie wie, co planuje Morawiecki, ale coraz bardziej oczywiste się staje, że wśród realnych scenariuszy jest założenie własnego ugrupowania.

Konfederacja – Nawrocki: stracone złudzenia

Relacje prezydenta z konfederatami stają się coraz bardziej nieoczywiste. Jak słyszymy, obaj liderzy – Mentzen i Bosak – mają otwarte drzwi do Pałacu Prezydenckiego, ale z tych spotkań niewiele wynika. – *Prezydent nie jest patronem prawicy, a tym bardziej jej liderem. Zachowuje się jak polityk PiS, regularnie i często spotyka się z kierownictwem tej partii, w tym z Jarosławem Kaczyńskim, a kluczowi ludzie w jego otoczeniu to politycy PiS. Pałac jest podporządkowany Nowogrodzkiej* – ocenia ważny polityk Konfederacji.

Na starcie prezydentury wydawało się, że może być inaczej. Nawrocki wiele wszak zawdzięcza Mentzenowi, który wsparł go na finiszu kampanii, dając mu do podpisania prostą i niezbyt dla Nawrockiego problematyczną „Deklarację toruńską". Przyszły wówczas prezydent przyszedł, pouśmiechał się do konfederackiego lidera, podpisał, co trzeba, a na koniec dostał to, czego chciał: poparcie. Nawet jeśli niewyrażone przez Mentzena wprost, to jednak dość jednoznaczne. Z Bosakiem z kolei wydawało się, że prezydent szybko nawiązał stosunki wręcz koleżeńskie. Lider narodowców towarzyszył Nawrockiemu w dniu jego zaprzysiężenia i to on czule witał prezydenta na listopadowym marszu narodowców w Warszawie.

Nawrocki w kampanii, zwłaszcza przed drugą turą, był czasem trudny do odróżnienia od konfederatów. A frontmeni narodowo-wolnościowego sojuszu długo jeszcze przypominali, że to ich wyborcy wynieśli prezesa IPN do najwyższego urzędu w państwie.

Problem w tym, że z miesiąca na miesiąc coraz mniej dostają od niego w zamian. Pierwszy raz konfederaci skrytykowali Nawrockiego w grudniu, gdy swoim podpisem zgodził się na wygaszenie w Polsce przemysłu futrzarskiego. Potem przyszedł prezydencki „SAFE 0 proc.". Po lekturze założeń projektu Mentzen i Bosak nie wsparli prezydenta i Adama Glapińskiego w walce o wyimaginowane zyski NBP. W sporze o SAFE wybrali nie do końca jasną trzecią drogę.

Ostatnio Nawrocki podpadł Konfederacji raz jeszcze, podpisując rządową nowelizację ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. Krótki szturm na prezydenta w sieci przypuściła szczególnie frakcja Nowej Nadziei. Mentzen stwierdził, że podpis pod ustawą „to krok w bardzo złym kierunku", konstatując, że „miało być inaczej, a wyszło jak zawsze". ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶Mentzen na jednym ze spotkań z prezydentem rozmawiał z nim o reformie wymiaru sprawiedliwości (Konfederacja ma przekonywać prezydenta do „resetu konstytucyjnego") i... pakcie senackim. Istotę relacji konfederatów z Nawrockim obrazuje dziś chyba właśnie ta druga sprawa. Mentzen od kilku miesięcy próbuje rozgrywać PiS, wykorzystując do tego głowę państwa. Chcąc namaścić Nawrockiego na patrona prawicowego paktu, stara się podminować pozycję Kaczyńskiego. Ale o żadnym pakcie na razie nie ma mowy.

Mimo okazjonalnej krytyki konfederaci wciąż dość przychylnie patrzą na Nawrockiego, ale są zarazem przekonani, że prezydent należy do konkurencyjnego obozu politycznego. Złudzenia – jeśli były – prysły.

Mentzen – Bosak: proste równoległe

Coraz ciekawiej robi się wewnątrz samej Konfederacji. W tym momencie trudno jeszcze stwierdzić, że związek wolnościowców i narodowców chyli się ku upadkowi, ale obie strony chyba powoli godzą się z postępującą separacją. Przykład od miesięcy idzie bowiem z góry: Mentzen i Bosak nie pokazują się razem, a bieżącą wymianę myśli dawno już scedowali na swoich najbardziej zaufanych współpracowników. Nie ma na razie planów wspólnej trasy wyborczej w 2027 r. Od jednego z ważnych polityków Konfederacji usłyszeliśmy nawet, że przed kolejnymi wyborami partia nie przedstawi jednego programu.

– *Zbyt dużo narosło różnic między Nową Nadzieją a Ruchem Narodowym: po co na siłę szukać wspólnych mianowników i tworzyć program, do którego zajrzy może kilku dziennikarzy?* – pyta. I rzeczywiście, jak słyszymy, Mentzen na sztandary chce wziąć postulaty dla przedsiębiorców i ograniczać kosztowne programy socjalne, narodowcy zaś skupią się na planach poprawy demografii i problemach małych miast i wsi.

Niedawno stosunki liderów na próbę wystawiła europosłanka Konfederacji Ewa Zajączkowska-Hernik, która opuściła frakcję Europy Suwerennych Narodów (do której należy partia Mentzena) i wstąpiła do Patriotów dla Europy (której częścią są narodowcy). Co zabawne, mentzenowcy i narodowcy w rozmowach z POLITYKĄ wytykają sobie wzajemnie co dziwniejszych i skrajniejszych sojuszników w europarlamencie, przekonując, że to oni są w tym „normalniejszym" towarzystwie.

Mentzen stwierdził, że tym ruchem Zajączkowska-Hernik „samowykluczyła" się z jego Nowej Nadziei. Dalszy los popularnej w prawicowym uniwersum Zajączkowskiej-Hernik nie jest przesądzony: jej akces do Ruchu Narodowego pozostaje niepewny. Chodzą słuchy, że myśli nad założeniem stowarzyszenia lub jakiejś formy instytucji, która pozwoliłaby jej powiększyć i zaktywizować już i tak liczne grono jej fanów. Do narodowców na pewno się jednak zbliżyła, a za rok chce wrócić na Wiejską, bo tu czuje polityczne życie – słyszymy.

Turbulencje między koalicyjnymi partnerami mogą się zacząć w drugiej połowie roku. To wtedy konfederaci spodziewają się ostatecznego wyroku Sądu Najwyższego w sprawie odebrania im subwencji. – *Pieniądze najpewniej stracimy. Liczymy na to, że jeszcze jedną lub dwie transze uda się wydębić* – mówi nam w Sejmie polityk Konfederacji. Odcięcie pieniędzy z budżetu byłoby dla partii dużym problemem, szczególnie w przyszłorocznej kampanii. Przed koalicjantami pojawią się więc spory o wykorzystanie i tak ograniczonych zasobów, w szczególności kiedy obie formacje w dużej mierze będą prowadzić osobne kampanie. Narodowcy wciąż nie ukrywają też swojego żalu do Nowej Nadziei: to członek jej partii jako skarbnik zawalił sprawę sprawozdania finansowego partii.

Bosak i Mentzen współpracują, bo to daje premię wyborczą – i tyle. Momentem próby może być rozgrywka po wyborach. Mentzen nie pali się do koalicji z PiS, sygnalizuje, że może jeszcze posiedzieć w ławach opozycji i poczekać na swój czas, a nawet – że mógłby porozumieć się z KO. Bosak koalicję z Tuskiem zdecydowanie wyklucza.

Dochodzi do tego jeszcze element rywalizacji osobistej. Mentzen podpatruje Kaczyńskiego i Tuska – i widzi się na ich miejscu; w tej wizji nie ma miejsca na drugiego lidera. Powyborcze losy Konfederacji mogą więc potoczyć się bardzo interesująco, a wiele będzie zależało od tego, ilu posłów wprowadzi Nowa Nadzieja, a ilu – Ruch Narodowy.

Konfederacja – Korona: cicha konkurencja

Korona Polska Grzegorza Brauna kolejny miesiąc z rzędu utrzymała notowania na poziomie 8 proc. Widać, że popyt na skrajną i wyrazistą prawicę nie maleje: gdy dodać do tego ok. 13 proc. Konfederacji, okazuje się, że co piąty Polak widziałby Brauna lub Mentzena/Bosaka w fotelu premiera. I może dlatego – przynajmniej publicznie – złej krwi między obiema partiami nie ma. Konfederaci wciąż ze spokojem podchodzą do angażujących uwagę mediów i konserwatywnych wyborców happeningów prawicowego rywala. Nie widzą też oznak odpływu ich elektoratu do Korony. I wolnościowcy, i narodowcy uznają, że z pozycji wciąż wyraźnej przewagi nie ma potrzeby otwierać frontu z Koroną. Szczególnie że konfederaci – a zwłaszcza narodowcy – wciąż dzielą z nią wiele wspólnych poglądów. Zresztą niektórym politykom spod sztandaru Bosaka w nieoficjalnych rozmowach zdarza się snuć scenariusze powrotu Konfederacji do jakiejś formy sojuszu z Braunem. Może nawet jeszcze przed wyborami w 2027 r.

Mimo braku poczucia zagrożenia ze strony Brauna w części Konfederacji czuć potrzebę większej wyrazistości, przypomnienia się wyborcom ze swoimi bardziej radykalnymi hasłami. I tak oto, przy okazji niedawnej dyskusji o uznawaniu małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą, w jednej z radiowych debat poseł narodowców Krzysztof Mulawa pytał, czy „jeśli w jakimś kraju europejskim zostanie dopuszczone małżeństwo z kozą, to też mamy to dopuszczać"?

Ale w odpowiedzi na coraz większy popyt na akcje Brauna konfederaci zapowiadają powrót do częstszych demonstracji ulicznych albo spontanicznych akcji w terenie lokalnych struktur. Ostatnio działacze Konfederacji w całym kraju organizowali happeningi z workami pełnymi plastikowych butelek. Rozsypując je m.in. pod biurami poselskimi polityków KO i PiS, domagali się wycofania systemu kaucyjnego.

Braun motywuje więc swoich byłych koalicjantów do wytężonej pracy, jednocześnie nie stanowiąc wyraźnego dla nich zagrożenia. Badania nie pokazują bowiem przepływów wyborców z Konfederacji do Korony. Szczególnie Mentzen liczy natomiast na autodestrukcję „szerokiego frontu gaśnicowego". Konfederaci przekonują, że postaci pokroju Mateusza Piskorskiego, braci kamratów, Janusza Walusia czy Stanisława Pitonia prędzej czy później rozsadzą ten ruch od środka.

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl c085a3b354

Pogrzeb bp. Jana Szkodonia w Chyżnem, 2025 r. Kondukt prowadził kard. Grzegorz Ryś.

© PIOTR TUMIDAJSKI/FORUM

Kościół, prawica, milczenie

W Kościele w Polsce dokonuje się wymiana kadr. Kto w nim teraz rządzi? Czy episkopat pokaże granicę prawicowemu radykalizmowi i antysemityzmowi?

JAKUB HALCEWICZ

W Wielki Piątek – dzień po kolejnej rocznicy śmierci Jana Pawła II – spłonął w Warszawie słynny krzyż, ten sam, przed którym w czerwcu 1979 r. papież Polak wołał: „Niech zstąpi duch Twój...". Cała prawica – od Mateusza Morawieckiego, poprzez Daniela Obajtka i Mariannę Schreiber, aż po konfederatów i braunistów – chwyciła za telefony, by w mediach społecznościowych oddać się interpretacjom tego „symbolicznego" zdarzenia, pochylić się nad upadkiem chrześcijańskiej cywilizacji nad Wisłą i obwinić za to obecny rząd.

Jak pisał Herbert, „tylko Krzyż płonący w górze trwał". Ten cytat z wiersza „Homilia" przywołany przez ks. prof. Andrzeja Dragułę wyraźnie wyróżniał się w natłoku komentarzy. Może rzeczywiście coś się pali. Tyle że niekoniecznie krzyż papieski, który zapalił się od złożonych zbyt blisko zniczy i bez udziału osób trzecich, jak stwierdziła policja. To nie chrześcijaństwo w Polsce „jest niszczone". Kończą się pewne jego formy. Dopala się epoka Jana Pawła II – z jej językiem, autorytetem i społecznym miejscem Kościoła. Dopala się wizerunek Kościoła po kataklizmie skandali seksualnych. Wreszcie – dopala się dotychczasowa kościelna hierarchia. Coraz więcej skompromitowanych biskupów odchodzi, ich miejsce zajmują inni. Jaki Kościół wyłania się z tej zmiany?

Faza przejściowa

Przeciętny czynny biskup w Polsce to 63-latek, Andrzej albo Piotr (tych imion jest najwięcej), który należy do pokolenia ukształtowanego w PRL i w najbliższych latach przejdzie na emeryturę (gdy osiągnie 75. rok życia). Połowie czynnych biskupów bliżej do emerytury niż do początku posługi. Co piąty jest po siedemdziesiątce.

W skład Konferencji Episkopatu Polski wchodzi 140 biskupów. Jedna trzecia ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ to biskupi seniorzy-emeryci (47), którzy na zebraniach KEP doradzają, ale nie biorą udziału w głosowaniach. Decyzje podejmują czynni (93), czyli diecezjalni, którzy zarządzają diecezjami, i pomocniczy. Większość została powołana przez papieża Franciszka – 53, a przez Benedykta XVI – 23. To szybkie tempo zmian jak na standardy kościelne. Pracuje już tylko 16 biskupów mianowanych przez Karola Wojtyłę. Leon XIV ustanowił na razie jednego.

Pracami episkopatu kieruje prezydium: przewodniczący KEP abp Tadeusz Wojda, wiceprzewodniczący abp Józef Kupny i sekretarz generalny bp Marek Marczak, a także Rada Stała KEP (dodatkowo prymas, kardynałowie kierujący diecezjami, sześciu biskupów diecezjalnych i dwóch pomocniczych). Ale to nie są przełożeni biskupów. Szefem każdego z nich jest papież.

Podstawową jednostką Kościoła jest diecezja. Połączenie kilku diecezji tworzy metropolię (tych jest w Polsce 15) zarządzaną przez arcybiskupa metropolitę. Realnie w terenie Kościołem rządzi grupa 45 biskupów diecezjalnych, a system opiera się na dużej liczbie ich „zastępców" – biskupów pomocniczych, których jest prawie tyle samo (48). Świadczy to nie tylko o istnieniu rozbudowanej biurokracji, lecz także systemu przygotowywania kadr.

Wśród biskupów dominuje pokolenie 60–69-latków (43 osoby w tym przedziale). Młodzi biskupi to margines: tylko sześciu poniżej 50. roku życia. 25 osób ma 50–59 lat. Instytucja się starzeje. Wynika z tych liczb, że stary porządek jeszcze trwa, a episkopat jest niejednorodny, w fazie przejściowej, widać w nim nakładanie się epok. W najbliższych latach Kościół w Polsce czeka fala nominacji i dalsze wzmacnianie się nominatów Franciszka.

Przeciw antysemityzmowi

Stan polskiej hierarchii kościelnej analizował 14 lat temu Adam Szostkiewicz (POLITYKA z 1 lutego 2012 r.). Od tego czasu zmienił się skład personalny episkopatu, a dawne kategorie opisu eklezjalnej rzeczywistości przeszły do historii – takie jak prosty podział na propisowski „Kościół toruński" i proplatformiany „łagiewnicki". Charakterystyczne, że z rozmów z obserwatorami życia Kościoła zupełnie zniknęło nazwisko o. Tadeusza Rydzyka. Zmiana pokoleniowa jest wyraźna.

Adam Michnik, który blisko 50 lat temu w słynnym eseju „Kościół, lewica, dialog" promował współpracę Kościoła z laicką inteligencją przeciw komunistycznej dyktaturze, a po 1989 r. opisywał nową strategię polityczną episkopatu jako „Kościół – prawica – monolog", przypomina, że w minionych dekadach autorytet Kościoła wynikał z politycznego kontekstu końca komunizmu. Teraz jest inaczej.

– *Kościół słabnie socjologicznie i politycznie* – mówi Michnik. – *Nie ma już nawet wpływów na prawicy, może poza PiS. Grzegorz Braun mówi „szczęść Boże", po czym wygłasza słowa po prostu barbarzyńskie. Jeśli Kościół na to nie reaguje, to znaczy, że albo nie ma siły, albo uważa, że to nie jest ważne czy niebezpieczne. A to jest ważne i niebezpieczne.*

Radykalizacja prawicy to prawdziwe wyzwanie dla zwierzchników Kościoła. Przyzwyczailiśmy się przez osiem lat rządów PiS do sojuszu ołtarza z tronem i praktycznego sklejenia się hierarchicznego Kościoła z konserwatywną partią rządzącą. Kościół stał się wówczas scenografią dla władzy i udzielał jej ideowego wsparcia w zamian za polityczne wpływy i profity finansowe. Ale przede wszystkim z przekonania. Tracił w ten sposób społeczne zaufanie, a jego zyski i tak były ograniczone, bo dostawał od partii tylko tyle, ile partia chciała mu dać (np. bezskutecznie zabiegał o możliwość udzielania w Polsce pomocy humanitarnej w latach kryzysu uchodźczego przed wojną w Ukrainie).

Dziś prawice są aż trzy: solidarystyczny PiS, darwinistyczna Konfederacja i endecka Konfederacja Korony Polskiej. Partia Jarosława Kaczyńskiego jawi się w tym zestawieniu jako umiarkowana, ale musi walczyć o wyborców swoich radykalnych konkurentów. Fundamentalne pytanie dotyczy stosunku PiS do KKP Brauna, który obudził w kraju demony antysemityzmu. Znana jest wrażliwość braci Kaczyńskich na tę kwestię. To Lech Kaczyński zapoczątkował tradycję zapalania świec chanukowych w Pałacu Prezydenckim, kontynuowaną przez Andrzeja Dudę. Karol Nawrocki ją przerwał, a wcześniej w kampanii wyborczej nie reagował na antysemickie wypowiedzi swoich zwolenników.

Na razie widać, że po liście episkopatu na 40. rocznicę pierwszej wizyty papieża w synagodze i przeciw antysemityzmowi polityczni talibowie z obu Konfederacji zareagowali niespotykanym hejtem. Promowane za ministra Przemysława Czarnka czasopismo naukowe „Pedagogika katolicka" opublikowało zdjęcie kard. Rysia z doklejonymi pejsami. Podobnych memów i nienawistnych wpisów było mnóstwo. Przez długi czas jedyną znaczącą wypowiedzią w obronie głównego autora listu metropolity krakowskiego kard. Grzegorza Rysia było wspólne oświadczenie metropolity lubelskiego abp. Stanisława Budzika i rektora KUL ks. prof. Mirosława Kalinowskiego – powstałe zresztą po to, by zdystansować się od „Pedagogiki...". Profesorem tej uczelni i byłym wojewodą lubelskim jest pisowski „kandydat na premiera" Czarnek. Choć nie można wyciągać z tego daleko idących wniosków, to wydaje się, że PiS nie chce atakować episkopatu. Politycy tej partii byli powściągliwi po liście biskupów, natomiast o swoim przywiązaniu do Kościoła i Jana Pawła II przypominali gorliwie – i bez politycznego ryzyka – po pożarze papieskiego krzyża.

Reakcje kard. Rysia na antysemityzm są dla Michnika dowodem na istnienie w Kościele trwałego ewangelicznego korzenia. – *Kościół jest słaby, bo traci autorytet. Ale i silny, bo ma ewangelię.* W imię tej ewangelii i własnego dorobku, zwłaszcza Soboru Watykańskiego II, biskupi zaczynają stawiać granice „frontowi gaśnicowemu" Brauna. To wyzwanie będzie tylko większe. Bo lider Korony stawia się w roli rzecznika chrześcijaństwa, angażuje się w ruch na rzecz intronizacji Chrystusa, a 150. rocznica objawień maryjnych w Gietrzwałdzie w wyborczym 2027 r. będzie dla jego partii „geostrategicznym okiem cyklonu".

Nowi liderzy

– *Takie rzeczy umacniają ludzi w Kościele* – ocenia sytuację z listem episkopatu Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny kwartalnika „Więź". – *Kard. Ryś pokazał charakter. Długofalowo może to zmienić społeczny obraz episkopatu i budować jego autorytet.*

Nie oczekujmy jednak zbyt wiele. Zdaniem księdza znającego kulisy powstania listu nic więcej Kościół z siebie nie wyda. Będzie milczał, bo nie lubi burz ani awantur. Tymczasem rola kard. Rysia wzrasta – także za sprawą papieża Leona XIV, który w ostatnich latach był jego przełożonym w Dykasterii ds. Biskupów. Jak mówi Nosowski: „awansują ci biskupi, którzy biorą się za brudy". To znaczy w ostatnich latach: Artur Ważny (Sosnowiec), Adrian Galbas (Katowice, potem Warszawa) i właśnie Ryś (Łódź, potem Kraków).

Ważny został biskupem sosnowieckim dwa lata temu. To miejsce szczególne:

eprasa.pl c085a3b354

Płonący krzyż papieski przy ul. Rzymowskiego w Warszawie.

© MIEJSKI REPORTER

śmierć (niejedna), orgie, narkotyki. Przez długi czas nikt nie chciał przejąć funkcji po rezygnacji bp. Grzegorza Kaszaka, który odszedł w atmosferze gejowskiego skandalu. Tymczasowo diecezją zarządzał ówczesny biskup katowicki Adrian Galbas (który zastąpił abp. Wiktora Skworca, winnego zaniedbań w przypadkach wykorzystania seksualnego małoletnich przez księży). Awansu do Sosnowca odmówiło co najmniej ośmiu potencjalnych następców. Mówiło się nawet o rozwiązaniu diecezji.

Za bp. Ważnego powstał w połowie lutego pierwszy w kraju raport niezależnej komisji badającej wykorzystywanie seksualne małoletnich na poziomie diecezji. „Uderzając w strukturalne zgorszenie, nie niszczymy wiary, lecz ją ratujemy. Wiara, która nie boi się prawdy, staje się wiarygodna" – argumentował biskup w oficjalnym komunikacie. – *Proszę to przeczytać* – mówi Paulina Guzik, dziennikarka, która stworzyła zasady komunikacji kryzysowej dotyczącej wykorzystywania seksualnego w Kościele na świecie i dwa tygodnie temu habilitowała się z tego tematu na UMCS. – *Bp Ważny zrobił coś, co było w Polsce niespotykane. Odważnie i transparentnie. Raport komisji pokazał, że oczyszczenia nie trzeba się bać. Wprawdzie z szafy wypadną trupy, ale dzięki temu można sprawę zamknąć i robić to, od czego się jest biskupem, czyli głosić ewangelię i być słuchanym. Mam nadzieję, że kolektywne grono biskupów wybierze go na lidera* – dodaje Guzik. Choć zaraz zastrzega: jedna jaskółka wiosny nie czyni. Dla Nosowskiego Ważny jest „prorokiem" w gronie KEP, jednocześnie publicysta przypomina, że konsekwentnie na rzecz ochrony małoletnich działał prymas Wojciech Polak. A Ryś powołał komisję w Łodzi i zapowiedział w Krakowie.

Sosnowiecki raport jest niepełny, ale to nie przewina. Został opublikowany w tej formie, by przed marcowym zebraniem episkopatu pokazać realny efekt i dowód dla innych biskupów, że od raportu Kościół się nie zawali. KEP ogłosił po tym zebraniu powołanie ogólnopolskiej komisji, choć w rzeczywistości nie powstała. Nabrały się na to prawie wszystkie media. – *To był dezinformacyjny sukces kierownictwa episkopatu* – komentuje Nosowski. Biskupi wciąż spierają się o zakres niezależności komisji, kluczowy dla wiarygodnej pracy. Zdaniem Krzysztofa Bramorskiego, radcy prawnego, który przeanalizował dokumenty uchwalone przez KEP, obecnie nie ma gwarancji niezależności i dostępu do źródeł.

Mija zatem właśnie ćwierć wieku od ujawnienia skandali seksualnych w Kościele w Polsce – licząc od sprawy proboszcza z Tylawy oskarżonego w 2001 r. o wieloletnie molestowanie dziewczynek. Siedem lat od premiery kluczowego dla zmiany społecznej świadomości dokumentu Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu". Trzy lata od decyzji episkopatu, że powstanie komisja. I rok od odsunięcia abp. Polaka od pracy nad powołaniem komisji. A jemu akurat zależało.

Skoro mowa o liderach, nową, przyjazną twarzą w Kościele wydaje się kard. Konrad Krajewski. Po blisko 30 latach pracy w Watykanie objął archidiecezję łódzką i od razu powiedział dziennikarzom, że to biedni powinni jeść w pałacu arcybiskupim, a on może jeść pod namiotem dla biednych. Włoska „La Repubblica" nazwała go Robin Hoodem, gdy zerwał plomby i przywrócił elektryczność w budynku zajmowanym w Rzymie przez dzikich lokatorów. W pandemii pomógł transpłciowym pracownikom seksualnym. Dla niego Kościół ma być „szpitalem polowym". Jeździł do Ukrainy, modlił się nad grobami w Buczy. W episkopacie będzie wsparciem dla Rysia (obaj są kardynałami, więc wchodzą z urzędu do Rady Stałej KEP), politycznie – trudno powiedzieć. Mimo wszystko to konserwatysta, a rzymska Polonia kojarzy jego poglądy z PiS.

Na jedną kadencję

Wyrazistość tego niewielkiego grona biskupów kontrastuje z szarością episkopatu i jego kierownictwa, które w obecnym składzie działa od dwóch lat. Abp Wojda nadal znany jest przede wszystkim ze swojej wypowiedzi sprzed marszu równości w 2019 r. Białymstoku; nawet niektórzy księża zwracali uwagę, że zachęcał do przemocy wobec osób LGBT. Na plus można mu policzyć, że jako przewodniczący KEP stał się w opiniach ostrożniejszy, a nie musiał – patrząc na praktyki choćby abp. Marka Jędraszewskiego (dziś emeryt). Na minus – że zlikwidował jednak choćby częściową niezależność Katolickiej Agencji Informacyjnej, kierowanej przez lata przez Marcina Przeciszewskiego.

Według Nosowskiego jest sprawny w rozgrywkach i gierkach, ale nie jako lider ideowy. Długo pracował poza krajem i wydaje się, że nie ma Kościołowi w Polsce wiele do powiedzenia. Nasi rozmówcy są zgodni, że biskupom brakuje odwagi intelektualnej i zainteresowania tym, czym żyją ludzie. Do tego nad konserwatywnym i klerykalnym rysem polskiego Kościoła pracuje nuncjusz apostolski abp Antonio Filipazzi, przyjaciel Jędraszewskiego pozostający w sporze z Rysiem.

Część biskupów ma świadomość, że obecne kierownictwo KEP nadaje się najwyżej na jedną kadencję. Nawet jeśli diagnoza jest trafna, to jeszcze nie prognoza. Wymiana kierownictwa po pierwszej, pięcioletniej kadencji musiałaby oznaczać otwarte wotum nieufności. Na to jeszcze się nie zanosi, choć poparcie Leona XIV dla obu kardynałów – Rysia i Krajewskiego – jest jednak zapowiedzią ostrożnej odnowy.

JAKUB HALCEWICZ
WSPÓŁPRACA PAULINA KANIEWSKA

eprasa.pl c085a3b354

ROZMOWA POLITYKI

Kogo kolą żonkile

Dariusz Stola (ur. 1963) – polski historyk, profesor nauk humanistycznych i specjalista w zakresie historii stosunków polsko-żydowskich, migracji oraz dziejów PRL. Od 2026 r. dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, którym kierował już w latach 2014–19. Profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN.

© MACIEK JAŹWIECKI/MUZEUM POLIN

Rozmowa z prof. Dariuszem Stolą, dyrektorem Muzeum POLIN, o tegorocznej akcji Żonkile oraz o tym, czy da się ją zdystansować od wojny na Bliskim Wschodzie.

AGNIESZKA ZAGNER: **– Akcji Żonkile – rozdawania i przypinania papierowych żółtych kwiatów w rocznicę powstania w getcie warszawskim – latami towarzyszyło hasło „Łączy nas pamięć". W tym roku jakby tego „łączenia" było mniej?**

DARIUSZ STOLA: – Kiedy przed 13 laty zaczęliśmy naszą akcję, to hasło było czymś oczywistym. Zakładaliśmy, że jeśli ktoś je usłyszy, to po prostu się z nim zgodzi. Hasło nadal pozostaje w mocy, ale stało się też postulatem: „*niech* łączy nas pamięć", mimo różnych podziałów. I to jest szersza zmiana dotycząca wszak nie tylko pamięci o warszawskim getcie, ale wielu spraw, na których odciskają się spory dzielące polskie społeczeństwo.

eprasa.pl c085a3b354

Powstała petycja, która krytykuje m.in. wybór Mariusza Szczygła na ambasadora akcji i, szerzej, dobór gości do debat w POLIN, bo rzekomo „posługują się wobec Izraela językiem skrajnych oskarżeń i jednoznacznych ocen, często pomijających kontekst terroryzmu oraz realiów bezpieczeństwa, w jakich funkcjonuje państwo żydowskie".

Spotkałem się z przedstawicielami tej akcji, wyjaśniliśmy sobie wzajemnie nasze stanowiska, mam wrażenie, że teraz lepiej się rozumiemy. Mariusz Szczygieł jest bardziej krytyczny wobec Izraela niż ja, z niektórymi jego poglądami się nie zgadzam, ale przecież to osoba zasłużona dla pamięci o historii polskich Żydów, sprzeciwiająca się też głosom tych, którzy w imię solidarności z Palestyńczykami wzywali do nienawiści wobec Żydów.

Apelował, by nie stosować odpowiedzialności zbiorowej, nie utożsamiać Izraela ze wszystkimi Żydami. Jak dodał, ofiary Zagłady nie odpowiadają za dzisiejszą politykę Izraela.

Tak, i nie mówił tego przecież do autorów petycji, ale do tych, którzy w imię potępienia Izraela chcą karać powstańców poległych w getcie w 1943 r. To jest sedno problemu – ktoś chce karać martwych Żydów za to, co robią inni Żydzi na drugim końcu świata. Na spotkaniu z autorami petycji podkreślałem, że w pewnych sprawach możemy się nie zgadzać, w tej ważnej sprawie się zgadzamy – że pamięć o powstaniu jest ważna, że akcja Żonkile walnie przyczyniła się do jej ożywienia. Kilka lat temu jedynie 30 proc. Warszawiaków kojarzyło, co się wydarzyło 19 kwietnia, a teraz wie to 90 proc., do tego miliony osób w całej Polsce. Z nimi wszystkimi łączy nas pamięć.

Przejął pan obowiązki dyrektora w trudnym momencie, nazajutrz po wybuchu wojny z Iranem zaatakowanym przez USA i Izrael. Trudno nie zauważyć, że to kolejny stres test dla muzeum.

Znając szalone teorie spiskowe dotyczące Żydów, które plenią się w internecie, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś absurdalnie łączył mój powrót do muzeum z wojną w Iranie, bo niektórym wszystko łączy się ze wszystkim, a z tym, co złe, zawsze łączą się im Żydzi. Parę lat temu krążyły plotki, że dwa piętra pod muzeum jest bunkier z bazą Mosadu. Szukałem go (przecież powinni płacić czynsz!), ale niestety nie znalazłem...

Trudno jednak uciec od tematu kolejnej wojny na Bliskim Wschodzie.

Na Bliskim Wschodzie się nie znam, nie rozumiem tamtejszej polityki, plątaniny sojuszy i wrogości. Ale zgodzę się, że to, co się tam dzieje, wpływa na nas. Rakiety do nas nie dolatują, ale docierają tu skutki wojny. Masakra 7 października była wstrząsem dla wielu ludzi – nie tylko Żydów – na całym świecie, także w Polsce. Cierpienia mieszkańców bombardowanej Gazy także w Polsce poruszały wielu, naszych przyjaciół, pracowników muzeum, publiczność.

Czy POLIN powinno zająć stanowisko wobec Izraela i jego wojen?

A sądzi pani, że muzeum powinno zajmować stanowisko wobec wszystkich wojen wszystkich krajów czy tylko niektórych? Instytucje kultury mogą zajmować stanowisko wobec różnych kwestii. Jeśli uznają, że powinny zareagować, to najlepiej, jeśli robią to za pomocą właściwych sobie form wypowiedzi. Niedobrze chyba, żeby filharmonia wydawała oświadczenia, ale jeśli organizuje koncert, to dobór muzyki będzie właściwym dla niej sposobem zabrania głosu. Muzea też mają swój język – mówią poprzez to, co pokazują. Po 7 października 2023 r., który był największą masakrą Żydów po drugiej wojnie światowej, w geście solidarności nasze muzeum rozświetliło elewację budynku na niebiesko, przed budynkiem stanął stół symbolizujący zakładników porwanych do Gazy. Wspominaliśmy naszego współpracownika i przyjaciela uprowadzonego przez Hamas – Alexa Dancyga. Szczególnie bliskie było mi działanie artystyczne – przed muzeum zawisła flaga autorstwa Moniki Drożyńskiej z napisem „HELLP".

Dyrektor Stępiński w listopadzie 2023 r., tuż po tamtej masakrze, przypomniał w oświadczeniu, że Izrael ma szczególne znaczenie dla muzeum, bo polscy Żydzi odegrali istotną rolę w budowie tego państwa. Potępił antysemityzm i islamofobię, wyraził współczucie dla palestyńskich cywilów w Gazie, akcentował znaczenie międzynarodowych konwencji i traktatów. Pan by się pod tym podpisał?

Tak, wydaje mi się, że postąpił słusznie.

Ktoś chce karać martwych Żydów za to, co robią inni Żydzi na drugim końcu świata.

Czy muzeum może sobie pozwolić na krytykę Izraela?

Muzeum nie jest upoważnione do komentowania polityki rządów innych krajów, nie do tego zostało powołane. Z drugiej strony są takie pola polityki, które naszej misji dotyczą. Np. fałszowanie czy nadużywanie pamięci o Zagładzie to coś, co dotyczy bezpośrednio historii, którą przedstawiamy.

Przecież Izrael w pewnym sensie wykorzystał pamięć o Zagładzie. Z ust izraelskich polityków padały określenia, że 7 października to „drugi Holokaust".

Tak, niektórzy politycy izraelscy zbyt łatwo robią takie porównania, zamazując to, co w historii Zagłady było szczególnego. Jest to w ogóle problem wydarzeń historycznych uznawanych za znaczące i dlatego nadużywanych. Zagłada była zresztą wykorzystywana przez różne strony konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Nie odmawiam nikomu prawa do krytyki Izraela, zwłaszcza że jego obecny rząd nieraz dawał ku temu powody. Ostrą jego krytykę słyszę od moich izraelskich przyjaciół. Ale są linie, za którymi kończy się krytyka jakiegoś rządu, a zaczyna sianie nienawiści do całego narodu.

No właśnie: gdzie szukać tych granic?

Granice przekracza ten, kto utożsamia wszystkich Żydów z Izraelem i obciąża ich winą za błędy jego władz. Mieliśmy w Polsce różne rządy, różne ich decyzje zasługiwały na krytykę, ale to przecież nie powód, by ciężar odpowiedzialności za ich błędy składać na cały polski naród. Wobec Żydów takie uogólnianie odpowiedzialności jest dla wielu jakoś łatwiejsze. To owoc wielu wieków, kiedy uprzedzenia antyżydowskie były częścią nauczania Kościołów chrześcijańskich, kiedy ich dyskryminacja była składnikiem prawa, a pogarda dla nich częścią obyczajów. Relikty tych uprzedzeń ukryte są w języku, w powiedzeniach i powieściach, w żartach i zwyczajach wielkopostnych. ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ Politycy izraelscy uważają, że każda krytyka Izraela jest antysemityzmem.

Spora część krytyki Izraela jest nieuzasadniona, ale teza, że każda taka krytyka jest antysemicka, jest nie do obrony. Czy każda krytyka polityki Polski to wyraz nienawiści do naszego kraju? Czasami wprost przeciwnie – uzasadniona krytyka może płynąć z dobrej woli, wynikać z troski. Po co nazywać antysemityzmem coś, co nim nie jest, gdy mamy pod dostatkiem prawdziwych antysemitów, dumnych ze swych uprzedzeń i swej nienawiści.

Autorzy petycji zarzucają muzeum, że dopuszczając głosy krytyczne wobec Izraela, podsyca i utrwala antysemityzm.

Nie wszystkie formy antysyjonizmu są antysemickie, ale są takie jego odmiany, które są antysemickie bez wątpienia. Znamy to z przeszłości naszego kraju. O „kampanii antysyjonistycznej" w 1968 r. napisałem książkę, więc rozpoznaję ten język, kamuflaż antysyjonizmu nakładany na antyżydowskie treści. Wtedy rząd PRL szerzył absurdalną teorię o spisku syjonistów, stalinistów, amerykańskich imperialistów i zachodnioniemieckich rewanżystów. Dziś słyszymy oskarżenia, że Żydzi są zarazem szowinistami i globalistami, lewakami i imperialistami.

Natomiast jeśli chodzi o zarzut doboru gości, którzy mają krytyczny stosunek do Izraela, to dyskusja polega na tym, że prezentujemy w niej różne opinie, że słuchamy ludzi, z którymi się nie zgadzamy. Oczywiście, nie każdego można zaprosić do rozmowy, bo nie każdy szanuje cywilizowane standardy dyskusji.

Pojawiają się sugestie, żeby w tym roku nie wywieszać w Warszawie flag Izraela. Jak powinny wyglądać obchody rocznicy?

Z tą opinią się mocno nie zgadzam. Flaga Izraela nie jest wyłącznie flagą państwa – tak jak flaga Polski nie jest tylko flagą RP i jej władz. Usunięcie flagi Izraela zostałoby odebrane jako gest przeciwko Izraelczykom w ogóle, i przeciw tym wszystkim, którzy odczuwają z nim związek. Dla wielu Żydów na świecie ta flaga jest ważnym symbolem.

Czyli można krytykować państwo, ale trzeba uważać na symbole?

Symbole są znaczeniowo szersze i dotyczą nas głębiej. Krytyka jest dopuszczalna, a nierzadko potrzebna. Czym innym jest rzeczowa krytyka, a czym innym gesty, które mogą zostać odebrane jako wykluczenie.

Jak kolejne wojny wpłynęły na akcję Żonkile? Czy zmieniła się liczba uczestników, reakcje ludzi?

Jest pewna grupa osób, które odmawiają przyjęcia żonkila, bo myślą, że coś sprzedajemy. Natomiast realna, świadoma odmowa tego symbolu to margines, dwie–trzy osoby na sto. Wojna nie zmieniła chyba skali odmów, zmieniła za to ich uzasadnienie. Pojawiły się głosy: „dopóki zabijacie dzieci w Gazie...". Wtedy odpowiadałem (bo też rozdaję żonkile na ulicy): po pierwsze, nikogo nie zabiłem, a po drugie bojownicy z getta, których upamiętniamy, walczyli z Niemcami 80 lat temu, tutaj, w naszym mieście. Kiedyś nawet kogoś takiego przekonałem, przywołując Marka Edelmana, bojownika powstania 1943 r. Jako bundowiec-żydowski socjalista bywał bardzo krytyczny wobec Izraela, ale nie kwestionował jego istnienia. To on zapoczątkował w czasach PRL tradycję przynoszenia 19 kwietnia żółtych kwiatów.

Ale czy da się oddzielić pamięć o powstaniu od współczesnej polityki i Izraela?

Zapewne nie, badacze pamięci pokazują, że współczesność wpływa na to, jak myślimy o przeszłości. Ale jestem przeciw temu, co ktoś nazwał „terrorem współczesności" – tej presji strumienia wydarzeń, wiadomości i komentarzy, które nie dają czasu do namysłu ani dystansu potrzebnego do oceny. Sądzę, że pamięć o przeszłości daje nam punkt oparcia przeciw naciskowi współczesności, pozwala spojrzeć na świat z różnych perspektyw, nie tylko z tej dzisiejszej.

Jak w takim razie powinna reagować instytucja kultury?

Instytucje kultury mają prawo reagować, ale nie mają obowiązku. Dobrze jest, gdy przed reakcją znajdą czas na refleksję, na pytanie: czy to, co zrobię dziś, będzie miało sens także za rok, pięć lat? Działanie instytucji kultury to nie jest felieton w gazecie ani komentarz na Facebooku. Są komentatorzy i analitycy wydarzeń bieżących, a także artyści, którzy dają takie komentarze w języku swej sztuki – u nich szukajmy opinii o tym, co zdarzyło się wczoraj czy dziś rano. Nie oczekujemy tego od historyka, bo nie ma do tego kompetencji, i podobnie jest z muzeum historycznym.

Pamięć o przeszłości daje nam punkt oparcia przeciw naciskowi współczesności.

Muzeum Historii Żydów Polskich to instytucja, która pomaga patrzeć i na przeszłość, i na współczesność, ale robi to na swój sposób. Stoi naprzeciwko Pomnika Bohaterów Getta, ale na wystawie stałej pokazuje całe wieki historii żydowskiego życia w Polsce. Ta wystawa to nasza najważniejsza wypowiedź w każdej sprawie – także w sprawie dzisiejszych wojen. Nie narzuca nikomu wniosków, ale pozwala coś więcej zrozumieć, spojrzeć na świat z innej perspektywy – perspektywy historii.

Korci pana, żeby już coś dodać do wystawy stałej o współczesności?

Wystawa kończy się zasadniczo na przełomie 1989 r., ale ma potem fragment poświęcony czasom najnowszym – i on się już zmienił, bo od chwili, gdy powstała jego pierwsza wersja, minęło kilkanaście lat. Za następnych kilkanaście lat ktoś będzie musiał tam opowiedzieć o czasach dzisiejszych, bo staną się historią.

Jeśli ktoś ulegający presji współczesności mówi: nie uciekniesz od tego tematu, odpowiadam: nie uciekam. Stoję tutaj i rozmawiam. Ale nie dam się zmusić do robienia czegoś, co nie jest zgodne z powołaniem instytucji, którą kieruję, nie służy jej misji.

A co jest tym powołaniem?

Sprawić, by różni ludzie 19 kwietnia przypięli papierowego żonkila i pomyśleli o wydarzeniach z 1943 r. By o godz. 12 chcieli stanąć w milczeniu pod Pomnikiem Bohaterów Getta, razem. To nadal jest możliwe.

Kiedyś widziałem muzeum jako most między teraźniejszością a przeszłością. Teraz widzę, że może ono łączyć też różne brzegi współczesności. Na dwóch jego krańcach mogą stać ludzie, którzy nie chcą przejść na drugą stronę. A ja biegam po tym moście z jednej strony na drugą i zapraszam, żeby jednak porozmawiali.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA ZAGNER

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl c085a3b354

FUNDACJA TYGODNIKA POLITYKA

1,5%

Wesprzyj kulturę, naukę, rzetelną informację – przekaż 1,5% podatku na Fundację Tygodnika POLITYKA.

Fundacja Tygodnika POLITYKA pomaga młodym utalentowanym twórcom i naukowcom, promuje rzetelną wiedzę i niezależne dziennikarstwo, działa na rzecz zwalczania dezinformacji i ignorancji. W czasach, kiedy coraz wyraźniej pojawia się zideologizowany, zafałszowany obraz rzeczywistości, propagowanie racjonalnego przekazu i demokratycznych wartości nabiera szczególnego znaczenia. Przeznaczając 1,5% podatku na naszą Fundację, dokładają Państwo swój udział do znanych i cenionych w wielu środowiskach inicjatyw, a także umożliwiają nam rozszerzenie działań na kolejne – istotne dla funkcjonowania otwartego społeczeństwa – obszary. Fundacja Tygodnika POLITYKA wspiera następujące przedsięwzięcia:

- **Paszporty POLITYKI**, prestiżowe nagrody dla wybitnych pisarzy, ludzi świata filmu, muzyków, artystów teatralnych i wizualnych, twórców cyfrowych oraz zasłużonych kreatorów polskiej kultury,
- **Nagrody Naukowe POLITYKI**, czyli stypendia przyznawane młodym, obiecującym uczonym, wspierające ich osiągnięcia i zachęcające do robienia kariery w kraju,
- **Nagrody Historyczne POLITYKI im. Mariana Turskiego** dla autorów wyróżniających się prac i książek historycznych, zwłaszcza tych mierzących się ze stereotypami i odkrywających dziejowe „białe plamy",
- **Nagrody Architektoniczne POLITYKI**, przyznawane twórcom ambitnych, społecznie użytecznych projektów budowlanych i urbanistycznych,
- **Pulsar**: popularny serwis o tematyce naukowej i technologicznej, prezentujący najnowsze osiągnięcia z różnych dziedzin, nastawiony na weryfikowanie niesprawdzonych informacji i teorii.

KRS 0000104137

Nasza Fundacja stale się rozwija, planujemy kolejne projekty. Zapewniamy, że wykorzystamy każdą złotówkę z pożytkiem dla rozwoju życia publicznego. Dołączcie do nas.

PASZPORTY POLITYKI

NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

pulsar

eprasa.pl c085a3b354

Lewo jazdy

„Rzeźnik z Piotrkowa" oblał 97 na 100 kursantów, a rekordzista wśród kandydatów podchodził do egzaminu 230 razy. Ministerialny pomysł na wyeliminowanie z egzaminu placu manewrowego uleczy sytuację mniej więcej tak, jak plaster leczy złamanie.

ZBIGNIEW BOREK

W tej branży patologia goni patologię. Jej symbolem jest to, że zarówno zdawać egzamin, jak i oblewać kandydatów można niemal bez końca. W 2021 r. 50-letni mieszkaniec Piotrkowa Trybunalskiego podszedł do egzaminu teoretycznego po raz 192. „Powinien być w Polsce przepis, który zabrania zdawać powyżej 20–30 razy. Jeśli ktoś nie ma głowy do przepisów, nie powinien jeździć po ulicach,

© MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl c085a3b354

bo jest groźny dla innych i dla siebie" – mówił jeden z pracowników Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego (WORD).

Jak ustaliliśmy, ostatecznie 50-latek podszedł do egzaminu (tylko teoretycznego) aż 230 razy, stając się nieoficjalnym rekordzistą Polski. Ostatniej próby też nie zdał, po czym zniknął z medialnego radaru. Co rusz pojawiają się na nim jednak inni desperaci: w marcu 2026 r. w Tarnowie kursant zdał egzamin teoretyczny za 139. podejściem, a niemal każdy WORD może się pochwalić takimi, którzy podchodzą do egzaminów kilkadziesiąt razy.

Kilka tygodni temu ten sam medialny radar wykrył rekordzistę z drugiej strony barykady, czyli egzaminatora „terminatora" – co ciekawe, również z Piotrkowa. W 2025 r. przeprowadził 891 egzaminów, z tego 471 osób oblał już na placu manewrowym, a 389 na mieście. Pozytywnie ocenił zaledwie 31 kursantów. Miał więc zdawalność na poziomie 3 proc. – przy średniej krajowej 35 proc. (i 55–65 proc. w egzaminie teoretycznym). Internet ochrzcił go mianem „Rzeźnika z Piotrkowa", ale i on nie jest wyjątkiem. Ma naśladowców nawet w tym samym WORD: drugi na topliście piotrkowskich oblewaczy przeprowadził 1054 egzaminy, na placu oblał 488 osób, na mieście – 516. Pozytywny wynik odnotował w 50 przypadkach. Zdawalność: niecałe 5 proc.

Rekordziści i twardziele

– *We własnych oczach uchodzą pewnie za twardzieli, ale mamy do czynienia z patoegzaminatorami. Nie da się tego wytłumaczyć tym, że trafiają do nich niemal wyłącznie niedouczeni kursanci* – mówi Andrzej Łapa, instruktor nauki jazdy z Jastrzębia-Zdroju, który na witrynie andrzejinstruktor.pl analizuje specyfikę branży. To on wykrył „Rzeźnika z Piotrkowa", on też w marcu tego roku sporządził mapę zdawalności.

Krajowa średnia z egzaminu praktycznego na prawo jazdy kat. B (samochód osobowy) według jego wyliczeń wynosi 35 proc. Piotrkowski WORD ze zdawalnością 23 proc. jest u dołu tabeli, na szczycie znajduje się WORD w Ostrołęce ze zdawalnością powyżej 50 proc. – *Relacje kursantów zdających egzamin w różnych ośrodkach też brzmią jak z innych światów. Według jednych atmosfera była spokojna i egzaminator dał im szansę pokazać, co potrafią. Inni wracają z egzaminu roztrzęsieni, bo gdy tylko siedli za kierownicą, czuli się jak na przesłuchaniu* – mówi Łapa. I dodaje: – *Kursant nie ma wpływu, do jakiego egzaminatora trafi, egzamin zamienia się więc w loterię, w której los liczy się bardziej niż umiejętności.*

Ponad 8 tys. kursantów podchodziło minimum 10 razy do egzaminu teoretycznego, a 19 tys. co najmniej 10 razy próbowało zdać egzamin praktyczny – ustaliła Najwyższa Izba Kontroli, analizując statystyki egzaminów na prawo jazdy (także kat. A, czyli na motocykle) z 18 WORD w latach 2016–22. Aż 87 tys. osób (10,7 proc.) zdawało egzamin teoretyczny kilka razy w ciągu jednego dnia (rekord to osiem podejść), 19 tys. osób podchodziło więcej niż raz jednego dnia do egzaminu praktycznego (rekord to pięć prób), co samo w sobie zakrawa na kpinę. Formalnie nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by próbować w nieskończoność – o ile zdeterminowanemu kursantowi wystarczy pieniędzy. Prawo jazdy to spory wydatek, dla maruderów zaś może być rujnujący. Średnia cena kursu na prawo jazdy w 2026 r. wynosi 3521 zł, egzamin teoretyczny kosztuje 55 zł, praktyczny – 230 zł, każda powtórka tyle samo, za godzinę na douczenie przed powtórką płaci się 150 zł. Po egzaminacyjnej porażce przeciętny kursant bierze cztery dodatkowe godziny, rekordziści – nawet kilkadziesiąt, przez co koszt prawka rośnie do kilkunastu tysięcy złotych.

Kumulacja nonsensu

Najdłuższe nawet przeszkolenie nie gwarantuje spokojnej głowy na drodze, bo polski system bardziej uczy zdawać, niż jeździć (paradoksalnie, w świetle opisanych wyżej przypadków). Instruktorzy uczą „pod trasę". Niektóre szkoły nauki jazdy wprost reklamują się tym, że szkolenie odbywa się na trasach egzaminacyjnych. Kursanci zapamiętują konkretne manewry i miejsca, a egzaminatorzy oceniają zgodność z procedurą, nie z rzeczywistością drogową.

Kumulacją nonsensu jest plac manewrowy. Przykład: jazdę po łuku należy wykonać „płynnie", co w praktyce egzaminacyjnej oznacza, że nie można się ani na chwilę zatrzymać. Inaczej jest na prawdziwej drodze, gdzie kierowca może, a nawet musi zatrzymać się choćby po to, żeby ominąć przeszkodę. – *Kandydata można oblać z byle powodu. Wystarczy drobne uchybienie w użyciu kierunkowskazu* – mówi egzaminator z północy Polski.

Najwyższa Izba Kontroli od lat wskazuje na nierówności w ocenianiu, brak jednolitych standardów i systemowe „zachęty" do powtarzania egzaminów. W ostatnim raporcie z 2023 r. Izba wskazała, że co 12. losowo wybrane pytanie zawierało błędy. W ocenie NIK systemowe problemy występują w jakości kursów, pracy instruktorów, działalności WORD i egzaminatorów. Innymi słowy, na każdym z etapów szkolenia i egzaminowania kursant może się zetknąć z absurdami i z ludźmi, którzy nigdy nie powinni być tam, gdzie są.

Kompetentni inaczej

Najważniejszy w tym procesie – przynajmniej na początku – jest instruktor. W nauce jazdy powinien być alfą i omegą, tymczasem w Polsce instruktorem może zostać każdy, kto ukończył 20 lat i podstawówkę. Trudno w to uwierzyć, ale nie musi nawet umieć dobrze jeździć samochodem, bo nikt nie weryfikuje tego, jak sam jeździ, tylko jak uczy jeździć.

Kolejne kuriozum: wykłady z przepisów ruchu drogowego może prowadzić osoba, która nie ma prawa jazdy. Żeby było jeszcze śmieszniej i straszniej, kandydat na instruktora musi znać powierzchnię sali wykładowej dla kursantów, bo takie pytanie może paść na pisemnym teście z przepisów, techniki jazdy czy psychologii. W zeszłym roku taki test oblało średnio aż siedmiu na dziesięciu kandydatów na instruktorów nauki jazdy. Dysproporcje są tu większe niż w egzaminie na prawo jazdy: w Łódzkiem zdawalność sięga 14 proc., w Pomorskiem 57 proc. Dlaczego? Powoływane przez wojewodów komisje egzaminacyjne mają pełną dowolność: mogą dopuścić pytania z odgórnej bazy, odrzucić niektóre albo skorzystać wyłącznie z własnych. W efekcie w jednych regionach pytania są merytoryczne, bo ktoś pracuje nad ich jakością. W innych test opiera się na pytaniach z poprzedniej epoki. Jedni instruktorzy są więc kompetentni, inni – kompetentni inaczej.

Kolejny człowiek, z którym styka się kandydat na kierowcę, czyli egzaminator, też może być z przypadku. Wymogi minimalne dla tej profesji to 23 lata, szkoła średnia, prawo jazdy od trzech lat, ukończony kurs na egzaminatora oraz zdany egzamin teoretyczny i praktyczny. W zachodnich krajach UE ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ egzaminatorami zostają doświadczeni instruktorzy, to awans zawodowy i finansowy. W Polsce natomiast egzaminatorem może zostać osoba, która nigdy nikogo nie uczyła jeździć, np. florystka, która z dnia na dzień postanowiła zmienić zawód.

Pensje zależą od lokalnych rynków, ale instruktorzy w prywatnych szkołach zarabiają często więcej niż egzaminatorzy na państwowych posadach (ok. 6 tys. zł brutto dla początkującego). Wbrew obiegowym opiniom ci drudzy nie dostają dodatkowych pieniędzy za powtórki egzaminów. Aby lepiej zarabiać (8–10 tys. zł brutto), poszerzają uprawnienia. Przez to kandydatów na kierowców ciężarówek (kat. C) czy autobusów (kat. D) egzaminują nieraz osoby bez doświadczenia w kierowaniu takimi pojazdami. – *Znam przypadek, kiedy egzaminator przerwał egzamin kat. C z powodu rażącego błędu kandydata na mieście, po czym kazał mu wrócić do siedziby ośrodka, bo sam nie umiał jeździć ciężarówką* (obligatoryjnie po przerwanym egzaminie egzaminator powinien przejąć kierownicę – przyp. red.) – opowiada instruktor z południa kraju.

Na tym nie koniec. Do egzaminów dopuszczani są kursanci, którzy nie wyjeździli na szkoleniu wymaganego minimum 30 godzin. – *Chcą jak najwcześniej ustawić się w kolejce do egzaminu. W połowie kursu załatwiają więc ze szkoły zaświadczenie, że odbyli już cały kurs, bo to jest wymagane do rejestracji kandydata* – opowiada osoba z branży. Każdą godzinę jazdy w takim zaświadczeniu potwierdza się własnym podpisem, ale gdy nadchodzi termin egzaminu, delikwent może mieć dopiero 20 czy 25 faktycznie przejechanych godzin. W papierach wszystko gra, a tym, że poświadczyli nieprawdę w dokumentach, nie przejmują się ani kursanci, ani właściciele szkół. Pierwsi się cieszą, że doszli do celu na skróty, a drudzy są do przodu o każdą niewyjeżdżoną godzinę, bo jak ktoś zaliczy egzamin, to na kurs już nie wraca. – *A do nas kursanci miewają pretensje, że nie wiedzieć czemu żądamy ukończenia całego kursu przed wydaniem zaświadczenia* – dodaje nasz rozmówca.

Walka o klienta i pieniądze powoduje, że właściciele szkół stają się więcej niż elastyczni. – *Kiedy wydawało mi się, że nic już mnie nie zaskoczy, okazało się, że badania lekarskie zaliczyłam w ośrodku nauki jazdy bez żadnych badań. Mam poważną wadę wzroku, ale nikt się tym nie zajmował, każdemu z nas lekarz zadał parę zdawkowych pytań i hurtowo podpisał kilkadziesiąt zaświadczeń po 200 zł sztuka* – opowiada Zofia spod Warszawy. Zdała egzamin przed dwoma laty, ale przez kolejne pół roku za kierownicą cała się trzęsła. – *Kurs przygotował mnie do egzaminu, a nie do jeżdżenia po mieście, zwłaszcza tak skomplikowanym jak stolica* – dodaje jej siostra Lidia, która zdała egzamin we wrześniu, ale potem dokupowała godziny w ośrodku szkolenia, żeby naprawdę nauczyć się jeździć.

Turystyka egzaminacyjna

W ubiegłym roku do egzaminu na prawo jazdy kat. B przystąpiło 690 tys. osób, dokument zdobyło 235 tys. osób. Trudno powiedzieć, czy więcej to mówi o zdających, czy przygotowujących do egzaminu.

W kraju mamy 23,5 tys. instruktorów nauki jazdy i 4 tys. egzaminatorów, a także ponad 80 Wojewódzkich Ośrodków Ruchu Drogowego, których wciąż przybywa, bo polska szkoła przetrwania wykształciła odrębny kierunek o nazwie turystyka egzaminacyjna. Kursant nie wybiera najbliższego WORD, lecz najbardziej opłacalny. Nie chodzi o pieniądze, lecz o to, gdzie łatwiej zdać – często w mniejszych miastach, z mniej skomplikowanym ruchem drogowym i inną praktyką egzaminacyjną. „No i liczy się też to, gdzie są bardziej ludzcy egzaminatorzy" – zauważa kursant na forum internetowym. Skoro jest popyt, to nowe WORD lub filie istniejących powstają w coraz mniejszych miejscowościach. Oficjalnie chodzi o wygodę zdających, żeby nie musieli dojeżdżać na egzamin po 50 km i więcej. Tak naprawdę to gra o pieniądze na szkolenia i egzaminy, a także o lokalny prestiż i punkty u wyborców.

Źródłem 60 proc. przychodów z egzaminów praktycznych są egzaminy poprawkowe.

Jeden z takich przypadków opisał czytelnik w mejlu do naszej redakcji. Rzecz dotyczy 16-tysięcznego Hrubieszowa, gdzie w połowie marca planowano otwarcie filii WORD. „Każdy egzamin, który zostanie tam przeprowadzony, powinien zostać unieważniony" – napisał. Jak zauważył, w granicach administracyjnych Hrubieszowa nie ma wymaganej przepisami drogi dwujezdniowej o podwyższonej i obniżonej prędkości, dlatego na ul. Basaja postawiono betonowe separatory, żeby stworzyć fikcję na potrzeby egzaminu. „Przyczyną powstania WORD w Hrubieszowie nie jest zapotrzebowanie społeczne, a widzimisię polityków" – twierdzi, wskazując na Zdzisława Szweda, emeryta, który nadal pracuje w WORD w pobliskim Chełmie, a w sejmiku lubelskim jest radnym PiS. „Czy człowiek, który jeździł po alkoholu, powinien tworzyć ośrodek dla przyszłych kierowców?" – pyta.

Sprawdziliśmy: Szwed rzeczywiście stracił prawo jazdy za jazdę po pijanemu. – *Takie zdarzenia miało miejsce ok. 20 lat temu, obecnie posiadam prawo jazdy* – mówi. Nie widzi w tym niczego zdrożnego, bagatelizuje też egzaminacyjną fikcję w Hrubieszowie. – *W co drugim małym ośrodku nie wszystko jest pod linijkę* – twierdzi. Otwarcie filii w Hrubieszowie zostało

eprasa.pl c085a3b354

jednak przesunięte o kilka miesięcy, żeby „sprostać wymogom przepisów". Nie wiadomo w jaki sposób, bo przecież porządnej drogi się przez ten czas nie zbuduje. Może ktoś czeka, aż temat przyschnie.

Prowizorium szkoleniowe

Informacje o szalonej wycince kandydatów w Piotrkowie Trybunalskim nie wywołały trzęsienia ziemi, choć powinny. – *Żaden z instruktorów, którzy oblewają tak wielu kursantów, nie łamie prawa* – tłumaczy Michał Gogolewski, szef WORD w Łodzi, któremu podlega ośrodek w Piotrkowie. Nie może żądać wyższych wyników zdawalności ani wpływać na sposób egzaminowania. – *Zorganizowaliśmy szkolenie na temat interpretacji kryteriów oceniania. Są one jednak tak szerokie, że to, co jeden egzaminator uznaje za dopuszczalne, dla innego jest błędem, który kończy egzamin* – dodaje Gogolewski.

Płacą za to kandydaci na kierowców, a zarabiają WORD. „Przeprowadzone analizy wskazują na dużą zależność funkcjonowania ośrodków egzaminowania od możliwości uzyskiwania dodatkowych przychodów z egzaminów poprawkowych. Źródłem 60 proc. przychodów z egzaminów praktycznych są egzaminy poprawkowe. W niektórych ośrodkach relacja ta wynosi nawet 71,8 proc. (Zachodniopomorski Ośrodek Ruchu Drogowego w Koszalinie)" – podkreśla NIK w raporcie.

Ostatecznie resort infrastruktury postanowił działać. Pod koniec marca wiceminister Stanisław Bukowiec ogłosił, że jeszcze w tym roku rząd przyjmie nowy system egzaminowania. O połowę ma zostać zmniejszona liczba pytań w części teoretycznej (obecnie baza egzaminacyjna liczy 3,5 tys. pytań), likwidacji ulegnie egzamin na placu manewrowym, nowy system ma przenieść -ciężar oceny na jazdę w normalnym ruchu drogowym. Ministerstwo planuje powołanie Centrum Egzaminowania i Rady Konsultacyjnej z udziałem praktyków, żeby stworzyć spójne ramy dla systemu i jego efektywny nadzór. Według ekspertów to krok w dobrą stronę, ale mocno spóźniony (w Unii Europejskiej plac manewrowy oprócz Polski mają Łotwa i Chorwacja) i mało konkretny.

– *System wymaga nie korekt, lecz całościowej reformy, która objęłaby metody selekcji do zawodu instruktora i egzaminatora, bo poziom ich wyszkolenia pedagogicznego i psychologicznego jest dyskusyjny* – mówi dr Wojciech Korchut z Uniwersytetu SWPS, psycholog kliniczny i wykładowca psychologii transportu. Jak zauważa, trzeba też zmienić zasady funkcjonowania ośrodków szkolenia i egzaminowania tak, aby były premiowane przede wszystkim za naukę jazdy, a nie za przygotowanie do egzaminu i jego powtórki. – *Modyfikacja wymogów stawianych przyszłym kierowcom powinna reformę domykać, a nie otwierać* – dodaje dr Korchut. NIK z kolei zwraca uwagę na konieczność wprowadzenia dwóch lat próby (z obowiązkiem jazdy pod opieką doświadczonego kierowcy) dla osób, które pierwszy raz uzyskały prawo jazdy kat. B. U nas opiekuna musi mieć tylko kierowca 17-letni. Takie rozwiązanie wprowadziło kilkanaście krajów UE i liczba wypadków z winy młodych kierowców spadła nawet o połowę.

Nie tylko jednak dzięki opiekunom. Obowiązuje w nich bardziej praktyczne szkolenie, egzamin kładzie nacisk na przewidywanie zagrożeń i samodzielne podejmowanie decyzji.

Gdy 3 marca 2026 r. bariera wieku do zdobycia prawka została obniżona, 17-latkowie w całej Polsce zaczęli szturm na ośrodki szkolenia i egzaminacyjne. To zła wiadomość nie tylko dla użytkowników dróg. Polska od lat zajmuje jedno z ostatnich miejsc w UE pod względem bezpieczeństwa na drogach, a koszty wypadków i kolizji przekraczają 40 mld zł rocznie. Najczęściej wypadki powodują najmłodsi kierowcy (do 24. roku życia): biorąc pod uwagę wielkość populacji, są sprawcami dwa razy częściej niż 40–59-latkowie i trzy razy częściej niż osoby w wieku 60 plus. Młodzi kierowcy są sprawcami co piątego wypadku śmiertelnego na polskich drogach (w Europie; co dziesiatego). Przyczyny: nadmierna prędkość, nieprzestrzeganie pierwszeństwa i nieprawidłowe zachowania wobec pieszych, a także większa w tym wieku skłonność do ryzyka. Kolejne pokolenie kierowców zaczyna się więc właśnie uczyć, jak zdać egzamin. Nie jak jeździć.

ZBIGNIEW BOREK

© ZBIGNIEW BOREK

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" – SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
17.04–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ
* możliwa dopłata

Wyjątkowa Majówka
26.04 - 03.05.2026
Ostatnie wolne miejsca
ZADZWOŃ i SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
17.04–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

54 416 70 00
rezerwacja@podtezniami.pl
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl c085a3b354

Jerzy Jankau, szef Kliniki Chirurgii Plastycznej Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, o tym, co sobie poprawiają Polki i Polacy.

Pierwsze były piersi

ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Dlaczego chciał pan zostać chirurgiem plastykiem?**

JERZY JANKAU: – Ja chciałem zostać artystą grafikiem, ewentualnie rzeźbiarzem, ale w żadnym wypadku nie lekarzem. W tym celu przerwałem nawet studia medyczne i udałem się na podbój Ameryki. Niestety, miałem dwie słabości. Zawsze fascynowały mnie kobiece piersi. No i pochodziłem z rodziny lekarskiej. Moja mama skusiła mnie do powrotu podstępem.

Dzięki temu jest pan w branży od początku lat 90. XX.

Na początku lat 90. chirurgia plastyczna nie była tym, z czym dzisiaj kojarzy się ta dziedzina nauki medycznej. W tamtych czasach funkcje estetyczne nie były priorytetem naszej pracy. Główny nacisk położony był na leczenie, np. niwelowanie skutków oparzeń, usuwanie tzw. zajęczych warg – jak potocznie nazywane są wady związane z rozszczepem wargi lub podniebienia. Jeśli pracowało się w obrębie piersi, to głównie w celach rekonstrukcji związanych z powikłaniami nowotworowymi. Przy czym to też nie było standardem, że po każdej mastektomii dokonywano rekonstrukcji, jak obecnie.

A ładne piersi na zamówienie?

Formalnie tego nie było, bo służba zdrowia była państwowa, a zabiegi ściśle kontrolowane. Nawet implantów nie mógł pan tak po prostu dostać albo kupić. Trzeba było je zamawiać drogą oficjalną, mieć na to zgodę krajowego konsultanta. A ten nie na każdego patrzył łaskawym okiem. Ale z drugiej strony presja pacjentów była już silna. No i ta służba zdrowia była, jaka była, czyli od godz. 6 do 15. Jak ktoś był pracowity i przedsiębiorczy, to potrafił się wbić w ten system. Pierwsze operacje komercyjne odbywały się „po godzinach". Każdemu zależało, żeby to się wreszcie otworzyło na komercję.

Ludzie oglądali „Słoneczny patrol" i Pamelę Anderson z silikonowym biustem o rozmiarze H.

Ja te zmiany obserwowałem u źródeł, czyli w Ameryce. W 1996 r. prof. Maria Siemioniow, wybitna polska mikrochirurg, objęła kierownictwo oddziału mikrochirurgii w Klinice Chirurgii Plastycznej w Cleveland. I tak się złożyło, że spotkała się z szefową mojej kliniki

eprasa.pl c085a3b354

na jakimś sympozjum. Zaproponowała, że weźmie kogoś od nas na stypendium. Warunkiem były wyniki w nauce i dobry angielski. Poza mną nikt się nie zgłosił, bo barierą był język.

Zachłysnął się pan tą Ameryką?

Sprzętowo nad nami dominowali. Ale technika pracy nie była jakoś kosmicznie lepsza. To było dobre chirurgiczne i naukowe rzemiosło. Natomiast widać było, jaki jest popyt na poprawianie ciała. Wracając do Polski, miałem świadomość, że za chwilę ten trend dojdzie do nas. Po prostu nie da się tego zatrzymać, bo te zmiany dotyczą mentalności, ale też biznesu. Wyglądem się zarabiało, przyciągało uwagę, ale też reklamodawców. W Stanach już wówczas następował proces zastępowania ludzi sławnych przez celebrytów. Osoby mające może mało do powiedzenia, ale dużo do pokazania.

Ładna definicja. I u nas kobiety też chciały mieć miseczkę H?

W mojej branży nie operuje się rozmiarem miseczki, tylko mililitrami. A co do rozmiarów, to u nas było inaczej, bo inna była mentalność. Ludzie się początkowo tych zabiegów wstydzili. Z jednej strony głównie kobiety chciały mieć ładniejsze piersi, ale z drugiej była presja otoczenia, że nie wypada, że to dla prostytutek. Dlatego pierwsze implanty siłą rzeczy nie były jakieś wybujałe. Na tyle duże, żeby samemu poczuć różnicę, ale żeby aż tak bardzo nie rzucały się w oczy. Dopiero z czasem liczba mililitrów zaczęła rosnąć. Teraz chyba się ustabilizowała na poziomie 300–350 mililitrów. Potocznie mówi się, że chirurgia plastyczna zajmuje się powiększaniem piersi. Ja wolę mówić, że zajmuję się poprawą estetyki, a nie powiększeniem rozmiaru.

Pamięta pan pierwszą pacjentkę, której zmieniał pan estetykę?

Oczywiście. Zgłosiła się do mnie żona dyrektora, jak później się dowiedziałem, jednego z hoteli w Trójmieście. Miała pieniądze i chęć na zmianę. Wybrała moje usługi, z czego byłem zresztą dumny, bo już wtedy była bardzo silna konkurencja.

Wtedy, czyli kiedy?

Z tego, co pamiętam, to był 2004 r. Niewiele wcześniej chirurgia plastyczna poszła na swoje. Zaczęło się od Warszawy, w której jeden ze starszych kolegów się usamodzielnił i zaczął komercyjnie wykonywać zabiegi we własnej klinice. On dał impuls kolejnym osobom. Na tej fali

Jerzy Jankau, rocznik 1965. Ukończył Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Gdańsku. Od początku swojej kariery chirurgicznej związany z Kliniką Chirurgii Plastycznej. Specjalista II st. chirurgii plastycznej. Od 2015 r. ordynator Oddziału Chirurgii Plastycznej UCK. Jeden z najbardziej wziętych specjalistów w Polsce.

prywatne operacje zacząłem wykonywać również ja. Przy czym dla mnie to nigdy nie była główna działalność. Zawsze trzymałem się mocno kliniki, ośrodka akademickiego, bo to tutaj były prawdziwe wyzwania. A w komercji dosyć powtarzalna praca, skupiająca się na trzech, czterech zabiegach. Przy czym korekcja piersi zaczynała być dominująca.

A te opowieści, że większość waszych klientek stanowiły seksworkerki?

Mity. Poza tym nikt się do tego nie przyznaje na dzień dobry. Co prawda nigdy ich nie brakowało w gabinetach chirurgii plastycznej. Ale to nie tak, że stanowiły większość pacjentek. Nie jestem specjalistą od pracy seksworkerek, ale z rozmów, które przeprowadzałem, wynikało, że duże piersi w tym zawodzie raczej przeszkadzały, niż pomagały. No i akurat te osoby były bardzo świadome wyzwań związanych z...

...z serwisowaniem usługi?

Można tak powiedzieć. Osoby pracujące w branży usług seksualnych miały duże rozeznanie i wiedzę, bo na Zachodzie rzeczywiście sporo osób z tej branży sięgało po chirurgię plastyczną już wcześniej. Tam też szybko zdano sobie sprawę z minusów. Tym bardziej że jakość implantów w tamtych czasach pozostawiała jeszcze wiele do życzenia. Trudno było również jakoś finezyjnie je uformować. Na pierwszy rzut oka widać było, że piersi były sztucznie powiększane. To się obecnie całkowicie zmieniło.

Wiele do życzenia to gruby eufemizm. Francuska firma Poly Implant Protheses wkładała do swoich produktów znacznie tańszy silikon przemysłowy zamiast medycznego. Szacuje się, że 300 tys. kobiet miało wszczepiony ten rodzaj implantów. Wszystkim rekomendowano usunięcie potencjalnie toksycznych wkładek.

Nie pracowałem na tym produkcie, więc nie konfrontowałem się z tym problemem. Niestety, nie był to jedyny z tego rodzaju skandali. Kolejny mieliśmy w 2014 r. Po każdym fala chętnych do korekty piersi opadała. Ale zawsze na krótko.

Dlaczego?

Psycholog, a może psychiatra mógłby udzielić jakiejś pogłębionej odpowiedzi, ale po ponad 30 latach w branży sam widzę, jakie to jest skomplikowane zagadnienie. Ciągle za mało mówi się np. o uzależnieniu od korekty swojego wyglądu. I to nie są pojedyncze przypadki. Na dodatek ciągle rośnie presja na estetykę. Media społecznościowe skupiają się głównie na wyglądzie, promują młodość. Zmarszczki, nieidealne piersi, wąskie usta – to dziś dyskwalifikuje. Stąd ten wysyp gabinetów od botoksu, ostrzykiwanie nie wiadomo czym i przez kogo. To się wyrwało spod kontroli.

Przyganiał kocioł garnkowi. W 2010 r. w Polsce działało ponad 330 gabinetów oferujących zabiegi chirurgii estetycznej, a jednocześnie w całym kraju było zaledwie 150 specjalistów w tej dziedzinie.

Ten zarzut siłą rzeczy nie dotyczy mnie, ale taka była rzeczywistość. I prawda była i jest taka, że do tego rodzaju operacji brali się chirurdzy, którzy specjalizacji z chirurgii plastycznej nie mieli. Pacjenci dokonywali takich wyborów. Czasem mniej, a czasem bardziej świadomie, bo przecież nie wszyscy mieli wiedzę, że nie idą do specjalisty w danej dziedzinie.

A może to był efekt schodzenia zabiegów pod strzechy? Ci mniej majętni również chcieli być piękni?

Niewątpliwie na przestrzeni lat zamożność pacjentów się zmieniała. Pierwsi klienci, a właściwie pierwsze klientki, bo latami w naszych gabinetach niemal całkowicie dominowały kobiety, łączyło to, że były dobrze sytuowane. Z czasem i to się zmieniało. Teraz już mało kto to pamięta, ale po drodze mieliśmy dwa ważne dla branży formaty telewizyjne, w których tzw. przeciętne kobiety na oczach widowni przechodziły spektakularną przemianę. To były produkcje kopiowane z Zachodu. W środowisku podchodzono do nich z mieszanymi uczuciami. Ale z pewnością były silnym impulsem do tego, żeby o korekcie plastycznej pomyślały również takie osoby, których ▶

© MARCEL JANKAU

eprasa.pl c085a3b354

Piękno w cenie

Najpopularniejszy zabieg w Polsce to powiększenie lub podniesienie piersi za pomocą implantów. Ceny zaczynają się od 25 tys. zł. Ale jeśli dojdzie do tego przeniesienie, zmniejszenie brodawek i otoczek sutkowych, cena może sięgnąć nawet 40 tys. zł. Piersi można pomniejszyć. Taki zabieg zaczyna się od 30 tys. zł.
Pozornie tańszy jest lifting twarzy. Cena wyjściowa: od 28 tys. zł w górę w zależności od metody chirurga i kliniki może sięgnąć 100 tys. zł. W ostatnich latach na popularności zyskuje podniesienie pośladków. Cena wyjściowa: 18 tys. zł. Ale prawdziwą można poznać dopiero po konsultacji medycznej i serii badań. Za co trzeba doliczyć kolejne 3–4 tys. zł. Staniała liposukcja, czyli odsysanie tłuszczu. Można ją już mieć poniżej 10 tys. zł. Ale miejsca odsysania zostały pofragmentowane na mniejsze, w efekcie ogólna cena zabiegu może zaczynać się od 20 tys. zł.

▶ wcześniej nie pojawiało się za wiele w gabinetach.

Rozmawiałem wtedy z bohaterkami jednego z tych programów. Do dziś pamiętam, że poprawiony wygląd nie przełożył się na poprawioną jakość życia. Jedna z tych kobiet zapytała mnie, czy wygląda jak ktoś, w kogo włożono 200 tys. zł.

Jak już powiedziałem, ja głównie poprawiam piersi, ale nie gwarantuję poprawy życia czy to osobistego, czy seksualnego. Zawsze uczulam, że każda ingerencja w wygląd to poważna życiowa zmiana. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji. Mają również nierealne oczekiwania. Na początku wieku bardzo popularna stała się liposukcja. Zresztą przełomowy zabieg, bo spowodował, że w gabinetach zaczęli się pojawiać również mężczyźni. Po fali entuzjazmu pojawiła się fala krytyki. Pacjenci narzekali, że pieniądze poszły w błoto, bo po roku znowu mieli oponkę. A przecież każdy dostawał informację, że zabieg polega na odessaniu tłuszczu i w jego wyniku nie giną komórki tłuszczowe, które z powodu złej diety czy braku ruchu znowu się wypełniają, a ciało otłuszcza.

Czyli nie ma darmowych obiadów.

Nie ma. W Stanach już w latach 90. zeszłego wieku wiedzieli, że wejście na drogę korekty wyglądu za pomocą skalpela to proces, który nie ma końca. I jeden zabieg nie tylko nie wystarcza, ale niczego nie gwarantuje, bo utrzymanie efektu wymaga stałych korekt. I to głębokich, co mniej więcej pięć lat. Już wtedy zalecenia były takie, żeby pierwszą głęboką korektę twarzy robić najpóźniej w 35. roku życia. A następnie regularnie je powtarzać. U nas tej świadomości nie było. Stąd część pacjentek chętnie poddawała się operacjom, a później, delikatnie mówiąc, były rozczarowane.

Nic chyba nie przebije rozczarowania mężczyzn, którzy decydowali się na zabieg przedłużenia penisa.

Socjologicznie to było bardzo ciekawe. Po pierwsze, znowu mieliśmy w gabinetach mężczyzn. A po drugie, był to specyficzny typ pacjenta.

Szał na przedłużanie zaczął się koło 2008 r. i trwał jakieś dwa lata. Socjologowie łączyli go z kryzysem wieku średniego u beneficjentów zmian ekonomicznych po 1989 r. Mieli już firmy, zmienili żony na młodsze i zaczynali pracować nad hydrauliką stosunku, jak mówił jeden z urologów.

W życie osobiste nie wnikam. Pewnie był tam jakiś kryzys, bo to rzeczywiście byli ludzie z sukcesami zawodowymi, ale z jakimś przełomem uczuciowym, że tak powiem. Osobiście bardzo się cieszę, że moda na tego rodzaju zabiegi dosyć szybko minęła. Tym bardziej że i w tym wypadku fala rozczarowania była głęboka. I to nie dlatego, że zabieg był źle wykonany. Ale oczekiwania były po prostu większe od efektów.

To trudny zabieg?

Z mojej perspektywy wręcz banalny. Polega na przecięciu więzadeł wieszadłowych prącia. Więzadła mają utrzymywać prącie w górze w czasie wzwodu. Narząd dumnie kieruje się ku górze, ale kosztem tego, że nie wysuwa się w pełni. Kiedy więzadła się przetnie, to prącie się wydłuża. Ale nie jest to jakiś imponujący uzysk. Najczęściej mówimy o 1,5 do 2 cm. Widać dla pacjentów to była gra warta świeczki. Część była jednak rozczarowana. Również dlatego, że prącie przestało być zadarte do góry. Niektórzy mówili, że więcej tracili, niż zyskiwali.

Branża się jednak nie poddała. Teraz proponuje powiększenie męskości za pomocą różnego rodzaju ostrzykiwań albo poprzez zwiększanie objętości za pomocą własnej tkanki tłuszczowej.

Mnie ostrzykiwania nigdy nie interesowały, więc nie chciałbym się na ten temat wypowiadać. Nie zauważyłem fali entuzjastycznych opinii po tego typu zabiegach. Było już kilka mód, które przeminęły. Wieszczę, że ta może być jedną z nich.

Po penisach przyszła moda na przeszczep włosów.

Tu jestem bezradny, bo tego typu zabiegów nie wykonuję. To straszna dłubanina i zawodowo bez satysfakcji, bo praca jest nużąca i bez wyzwań. A ja jednak lubię wyzwania. Jednak szukając jakiegoś klucza społecznego, to też jest ciekawe, że to się dokonało, bo mężczyźni są bardzo oporni, jeśli chodzi o wizyty w gabinetach estetyki medycznej. Gdybym szukał odpowiedzi na pytanie dlaczego, to wskazywałbym bardziej na lęki społeczne niż brak pieniędzy czy brak potrzeb. 80 proc. moich pacjentów stanowią kobiety, ale świadomość potrzeb wśród mężczyzn wzrasta.

A ta turystyka estetyczna do Turcji to dowód na to, że po przeszczepy sięgają również szaraki?

Turystyka w medycynie estetycznej funkcjonowała niemal od początku. Kiedyś modne były Czechy i Słowacja, bo tam można było taniej zrobić lifting twarzy albo piersi. Ale jak się pojawiały komplikacje, to już tak fajnie i tanio nie było. O zabiegach w Turcji również słyszałem mieszane opinie. Cena jednak robi swoje.

Przed naszą rozmową szukałem liczb, ale nigdzie ich nie znalazłem. W Stanach podaje się liczbę wszczepionych implantów, a w Polsce nie.

Też nad tym ubolewam. Ale to nie są setki tysięcy zabiegów, tylko dziesiątki tysięcy. Bliżej 30 tys. niż 300 tys. jak w USA.

Za drogo czy popyt ciągle nie ten?

Prawda jest taka, że Polska to nie Brazylia. Słońce świeci tu dwa miesiące w roku. Czas, kiedy jakoś szczególnie eksponujemy nasze ciało, jest krótki, więc i motywacja do poprawiania niedoskonałości jest mniejsza. Ale w tej branży kryzys nam nie grozi. Polacy już nie wstydzą się poprawiać. To już nie jest temat tabu, jak jeszcze 20 lat temu. Przyzwolenie społeczne jest duże. I fantazja spora. Kobiety gotowe są nie tylko powiększyć albo skorygować swoje piersi, ale nawet wpłynąć na kolor sutków poprzez ich wybarwienie tatuażem. Polska się bardzo zmieniła przez te 30 lat. No i przestała się bać skalpela.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl c085a3b354

Podczepieni pod chipy

AGNIESZKA SOWA

Ustawa o obowiązkowym znakowaniu i rejestracji psów i kotów już prawie gotowa, otworzy nowy rynek wart miliardy złotych. Tak przy okazji, bo chipy mają być najskuteczniejszym orężem w walce z bezdomnością zwierząt.

© GETTY IMAGES

Niepozorny transponder, czyli mikrochip wszczepiany pod skórę zwierzęcia za pomocą grubej igły, kosztuje 10–20 zł. Ale ponieważ mamy w Polsce ok. 13,5 mln psów i kotów, a według innych szacunków nawet 15 mln, mówimy o naprawdę dużych pieniądzach. Poza producentami chipów, którzy już walczą o nowy rynek zbytu, zadowoleni są jeszcze lekarze weterynarii, którzy będą pobierać opłaty za chipowanie (50 zł) i wpis do rejestru (kolejne 50 zł). Oraz samorządy, bo wreszcie będą mogły zidentyfikować właścicieli psów i ściągać od nich podatek. Dziś wiele gmin rezygnuje z ustanawiania tych opłat z uwagi właśnie na niemożność ich egzekwowania. A jak szacują autorzy ustawy, tzw. podatek od psa to prawie 1 mld zł rocznie, który na razie przechodzi gminom koło nosa, zamiast zasilać samorządowe budżety.

KROPiK, bo taki wdzięczny skrót nosi ustawa o Krajowym Rejestrze Oznakowanych Psów i Kotów, to inicjatywa wiceministra rolnictwa Jacka Czerniaka z Nowej Lewicy, który pomysł obowiązkowego chipowania i ogólnopolskiego, państwowego rejestru zgłaszał już w 2024 r. Jednak wtedy się nie udało – projekt spotkał się z niechęcią zarówno ze strony właścicieli zwierząt, jak i organizacji pozarządowych zajmujących się psami i kotami. Zastrzeżenia zgłaszali prawnicy konstytucjonaliści, m.in. prof. Marek Chmaj, zwracając uwagę, że przyjęte rozwiązania mogą naruszać kilka norm konstytucyjnych: zasadę demokratycznego państwa prawnego, konstytucyjną ochronę danych osobowych, prawo do prywatności, zasadę równości, zasadę proporcjonalności, zasadę wolności działalności gospodarczej, a także zasadę decentralizacji administracji publicznej. Wątpliwości miał też Urząd Ochrony Danych Osobowych.

Dziś zastrzeżenia są takie same i płyną z tych samych środowisk. Jednak raczej nie ma wątpliwości, że KROPiK zostanie uchwalony. Determinacja koalicji rządowej wydaje się większa niż dwa lata temu. Za projektem stoi Ministerstwo Rolnictwa i politycy PSL, a centralnym systemem rejestracji ma zarządzać Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR). Gigantyczna baza to okazja do stworzenia nowych etatów w państwowej agencji, co może się przydać każdej partii, zwłaszcza takiej, której notowania spadają poniżej progu wyborczego. Mimo że ustawa ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ nie została jeszcze uchwalona, ARiMR, która ma zarządzać rejestrem, już wystąpiła o uruchomienie kilkunastu dodatkowych etatów.

Najwięcej zastrzeżeń budzi pomysł utworzenia nowego rejestru zupełnie od zera, bez wykorzystania baz, które już w Polsce funkcjonują. Największą jest Safe-Animal.eu, współpracująca z European Pet Network, która razem z Identyfikacją.pl ma wspólną, ogólnopolską wyszukiwarkę: Centralną Bazę Zwierząt. Trzecia to Centralna Baza Danych Zwierząt Oznakowanych Elektronicznie, połączona z WorldPetNet. – *Razem, trzy największe bazy, mamy ok. 6 mln rekordów* – mówi Artur Lencznarowicz, dyrektor Biura Zarządu Safe-Animal.eu. – *Ale ustawodawca zakłada, że nie można uznać ich wiarygodności, chociaż 95 proc. wpisów do rejestrów jest dokonywanych przez lekarzy weterynarii, mających zweryfikowane konta, czyli tak, jak ma to być w KROPiK.*

Safe-Animal od dwóch lat, gdy pojawił się pomysł centralnego, państwowego rejestru, podnosi także argument niekonstytucyjności nowej ustawy, która oznacza zakończenie działalności polskich podmiotów prowadzących istniejące bazy. To nie tylko sprzeczne z ustawą zasadniczą, ale także z ustawami o swobodzie działalności gospodarczej, o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji i o ochronie konkurencji i konsumentów.

Fundacja Safe-Animal walczy nie tylko o zwierzęta, ale też o swój byt. Zapewnia, że rejestruje bezpłatnie dla schronisk, lekarzy weterynarii i organizacji prozwierzęcych oraz w ramach gminnych akcji bezpłatnego chipowania. Jednak prywatnym właścicielom proponuje subskrypcję (49 zł za rok, 399 zł do końca życia zwierzęcia), która umożliwia korzystanie z dodatkowych opcji. Brak wykupionej subskrypcji nie skutkuje wykreśleniem zwierzęcia z bazy danych. Ale sprawia, że wpis do bazy jest bezużyteczny: po wpisaniu w wyszukiwarkę numeru transpondera zamiast danych umożliwiających kontakt z właścicielem wyskakuje komunikat z numerem infolinii Safe-Animal. Gdy zacznie obowiązywać KROPiK, opłat za rejestrację nie będzie. Jednak fundacja nie tylko prowadzi bazę i zarabia na rejestrze, oferuje także mikrochipy i sprzęt do znakowania zwierząt. Popyt na te produkty gwałtownie wzrośnie, gdy chipowanie stanie się obowiązkowe.

Safe-Animal i inne firmy zajmujące się od lat chipowaniem psów czują już na plecach oddech konkurencji. Firma Farm Innovation, mająca monopol na chipowanie koni, nie ukrywa, że chce wejść na rynek identyfikatorów dla zwierząt towarzyszących i że wiąże z tym duże nadzieje na rozwój firmy. Kupili domenę kropik.pl i na konkurencję padł blady strach. – *Na razie użyteczność tej strony jest żadna* – mówi Sebastian Przeniosło, prezes zarządu i założyciel spółki. – *Gromadzimy tam informacje dotyczące ustawy KROPiK. Jeżeli wejdzie w życie, na co mamy nadzieję, wykorzystamy stronę w celach reklamowych.*

Wyjaśnia, że o to, by znaleźć się na liście dostawców mikrochipów dla zwierząt hodowlanych, starali się blisko półtora roku. – *W przypadku zwierząt towarzyszących ARiMR zrezygnowało z tak wysokich wymagań i takiej listy dostawców po prostu nie będzie. Należy spełnić wymagania dotyczące istotnych certyfikatów dla produkowanych chipów, co jest jasno zapisane w ustawie* – mówi Przeniosło. – *A takie wymagania obecnie spełnia kilka podmiotów, także pewnie będziemy jednym z wielu graczy. Naszą przewagę budujemy poprzez rozwój kompleksowego ekosystemu usług, gdzie znakowanie i zaawansowaną technologię łączymy z ubezpieczeniami dla dedykowanych grup zwierząt.*

Dla właścicieli czworonogów nowa ustawa oznacza dodatkowy wydatek: 100 zł od zwierzęcia. Ale sam rejestr będzie bezpłatny. Psy i koty, które mają już wszczepiony transponder, muszą zostać wpisane do nowej, państwowej bazy i w ciągu trzech lat od wejścia w życie ustawy ich właściciele będą mogli zrobić to za darmo. Później jednak za rejestrację i każdą zmianę danych w rejestrze trzeba będzie płacić 50 zł.

Na przygotowanie systemu ARiMR będzie mieć trzy lata, potem dwa lata *vacatio legis*, zanim ustawa zacznie obowiązywać. Za pięć lat dla tych właścicieli psów i kotów, którzy nie będą się stosować do nowych przepisów, przewidziano wysokie kary: mandaty do 5 tys. zł. – *Dla zajmujących się zwierzętami organizacji pozarządowych, które mają po kilkaset psów, opłaty za chipowanie i rejestrowanie mogą być nie do udźwignięcia* – mówi mec. Katarzyna Topczewska, prawniczka fundacji Viva.

Do tej pory płacili za chipy ok. 10 zł, a rejestrowali sami, najczęściej za darmo, w istniejących bazach prowadzonych przez prywatne podmioty i fundacje. Teraz za każdego zwierzaka będzie trzeba zapłacić 50 zł. – *Viva ma 500 psów pod swoją opieką, na początku będzie można je przerejestrować za darmo, ale po trzech latach każdy nowy pies czy kot to 100 zł i kolejne 50 zł, jeżeli pójdzie do adopcji* – mówi mec. Katarzyna Topczewska. Poprawka, o którą wnioskowali przedstawiciele strony społecznej, by organizacje i schroniska zwolnić na stałe z opłaty rejestracyjnej, nie przeszła. A to nie koniec wydatków. Nowe zwierzęta trzeba będzie zachipować i zarejestrować u lekarza weterynarii znajdującego się na liście ARiMR najpóźniej w momencie szczepienia przeciwko wściekliźnie, a potem każde zwierzę wydane do adopcji będzie musiało mieć zmianę danych właściciela w rejestrze, co oznacza kolejną opłatę 50 zł.

Organizacje pozarządowe niemające zarejestrowanego schroniska dla zwierząt będą też musiały ponosić dodatkowe koszty związane z dostępem do bazy KROPiK. Projekt przyznaje również uprawnienia do kontroli oznakowania zwierzęcia przy użyciu czytnika tylko wybranym służbom, pozbawiając tego prawa organizacje społeczne, co będzie utrudniać realizowanie ich statutowych obowiązków.

To wszystko sprawiło, że Fundacja Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt Viva! wystosowała list otwarty do premiera Donalda Tuska, pod którym podpisało się 41 innych NGO-sów z apelem o wstrzymanie prac nad ustawą w obecnym kształcie i podjęcie szerokich konsultacji społecznych. Organizacje pozarządowe, choć popierają samą ideę powszechnego znakowania i rejestracji zwierząt, uważają, że zaproponowane w projekcie rozwiązania są wadliwe i mogą przynieść skutki odwrotne do zamierzonych. – *Wysokie koszty chipowania i rejestracji w połączeniu z rządowymi planami skuteczniejszego ściągania podatku od posiadania psów mogą zniechęcić do adopcji, a nawet prowadzić do masowych porzuceń zwierząt, a przez to przyczynić się do wzrostu bezdomności* – mówi Katarzyna Topczewska.

Serwis worldpopulationreview szacuje, że populacja psów i kotów przekracza w Polsce 13,5 mln (6,5 mln psów oraz 7,1 mln kotów). Rankomat.pl, największa internetowa porównywarka, przedstawia analizę, z której wynika, że niemal w co drugim polskim domu

eprasa.pl c085a3b354

jest pies lub kot: 49 proc. gospodarstw domowych ma przynajmniej jednego psa, 40 proc. minimum jednego kota. Jesteśmy najbardziej zazwierzęconym krajem w Europie. Na wsiach dwa–trzy pieski w obejściu i do tego dwa koty to nie jest nic niezwykłego. A perspektywa wydatku kilkuset złotych może spowodować, że niektórzy będą chcieli się zwierząt pozbyć. Zwłaszcza że gminy już zapowiadają ściąganie podatku od psa.

Pierwotnie KROPiK miał dotyczyć tylko psów, ale przy pierwszym czytaniu w Nadzwyczajnej Komisji ds. Zwierząt do projektu ustawy dodano wszystkie koty. Z tym że tzw. wolnożyjące mogą być znakowane lub nie, decyzja należy do gminy. – *Chipowanie tzw. wolnożyjących jest nie tylko bezsensowne, ale też nieodpowiedzialne, ponieważ powtarzają się przypadki uszkodzenia rdzenia wymagające interwencji chirurgicznej. Te przypadki są rzadkie, ale ułamek procenta od setek tysięcy to nieszczęście czterocyfrowej liczby zwierząt* – mówi prof. Andrzej Elżanowski, zoolog, bioetyk, prezes Polskiego Towarzystwa Etycznego, od lat broniący praw zwierząt. – *A co z wiejskim kotami, które żyją w gospodarstwach, łapią gryzonie, więc są tolerowane i w różnym stopniu dokarmiane? Większość rolników nie kupi transportera, nie pojedzie do wyznaczonego lekarza weterynarii i nie zapłaci za ich chipowanie i rejestrację. To zupełna abstrakcja. A gdyby przepis miał być egzekwowany, to część z tych kotów zniknie bez śladu.*

Podobną perspektywę, nie tylko dla wiejskich kotów, także dla psów, widzi praktyk Tobiasz Maliński, przedstawiciel schroniska dla bezdomnych zwierząt w Raciborzu, który na posiedzeniu Nadzwyczajnej Komisji ds. Zwierząt w sprawie projektu KROPiK argumentował: „Jest duża grupa zwierząt, szczególnie na terenach wiejskich czy w mniejszych miejscowościach, które w życiu na oczy nie widziały i nie zobaczą weterynarza. Niestety przewiduję, że po wprowadzeniu tych przepisów właściciele takich zwierząt nie ustawią się gremialnie w kolejce do weterynarza po chipy. Co więcej, jeżeli dowiedzą się o penalizacji, która funkcjonuje w ramach prawa, a która jest konieczna, to dostaną dodatkowy bodziec, żeby porzucać psy czy koty, które w sposób niekontrolowany będą się namnażać”.

Tymczasem Kancelaria Prezesa Rady Ministrów ogłosiła, że „obowiązkowe znakowanie jest uznawane za jeden z najskuteczniejszych sposobów ograniczenia bezdomności psów i kotów”. – *To albo mydlenie oczu, albo dowód kompletnej niewiedzy i niezrozumienia problemu* – mówi prof. Andrzej Elżanowski. – *Zagubione zwierzęta właścicieli czy opiekunów, którzy chcą je odnaleźć, są zupełnie marginalnym źródłem bezdomności.*

Z pewnością obowiązkowe znakowanie zwierząt utrudni ich porzucanie, a ten, kto to zrobi, będzie łatwy do namierzenia i zostanie ukarany. Ale to w dalszej perspektywie. Bliższa jest taka, że przed wejściem w życie obowiązku chipowania i rejestracji możemy mieć masową falę porzuceń psów i kotów jeszcze niezachipowanych. I żeby się na to przygotować, trzeba czegoś więcej niż centralny rejestr.

> Przed wejściem w życie obowiązku chipowania i rejestracji możemy mieć masową falę porzuceń psów i kotów jeszcze niezachipowanych.

– *Tymczasem rząd próbuje mydlić oczy projektem, który bardzo mało kosztuje i bardzo niewiele wnosi* – mówi prof. Elżanowski. – *Jest tani w porównaniu z tym, ile kosztowałaby reforma całego systemu, obejmująca m.in. poddanie gmin nadzorowi administracyjnemu wyższych jednostek, starostwa i wojewody, pokrycie kraju siecią schronisk, tak by w każdym powiecie było jedno schronisko prowadzone przez gminę pod nadzorem starosty lub wojewody.*

Wprowadzenie i utrzymanie przez 10 lat nowego rejestru ma kosztować ponad 130 mln zł. 124 mln wyłoży ze swojego budżetu resort rolnictwa, pozostałe środki – głównie na integrację KROPiK z aplikacją mObywatel – ma zapewnić resort cyfryzacji. Ministerstwo Rolnictwa uzasadnia wprowadzenie KROPiK wysokimi, stale rosnącymi wydatkami ponoszonymi przez gminy na realizację programów opieki nad bezdomnymi zwierzętami oraz zapobiegania bezdomności zwierząt. W ciągu dekady koszty te wzrosły więcej niż dwukrotnie: z ponad 125 mln zł w 2012 r. do niemal 350 mln w 2023 r.

Zatem rząd zdecydował, że aby zaoszczędzić, trzeba najpierw wydać pieniądze. – *Uderza absurd tej akcji, która jest skutkiem kilkunastu lat powtarzania w imieniu strony społecznej, że chipowanie jest środkiem na bezdomność. Po zimie zamarzających psów, bezdomnych w schroniskach i właścicielskich na podwórkach, zimie, która obnażyła beznadziejny poziom naszej opieki nad zwierzętami, włącza się projekt, który może ograniczyć handel zwierzętami, trochę utrudni porzucanie zwierząt, bo trzeba będzie usunąć chip, ale nie dotyczy żadnego z palących problemów, które doprowadziły do takiej sytuacji* – mówi prof. Elżanowski. – *Problemów, które określam jako kryminogenne trio: brak nadzoru nad gminami prowadzącymi słabe programy zapobiegania bezdomności bez programów sterylizacji, brak schronisk i prowadzenie schronisk dla zysku.*

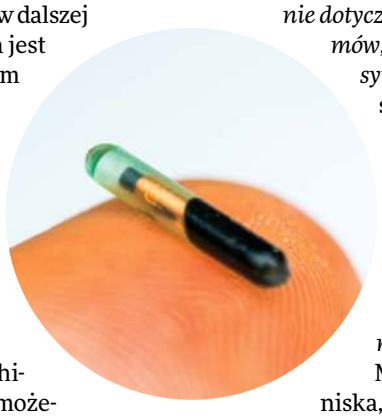

Mamy w Polsce patoschroniska, jak choćby to w Sobolewie, prowadzone przez człowieka oskarżonego (a dziś już skazanego) o znęcanie się nad zwierzętami. Sobolew zamknął premier Tusk, ale nie jest w stanie zlikwidować wszystkich patoschronisk. Mamy setki patohodowli, legalnych i nie. Dzięki prezydentowi Nawrockiemu tysiące psów pozostaną na łańcuchach i bez ocieplanych bud. Wobec tych wszystkich patologii polskie państwo abdykowało, licząc, że poradzą sobie z nimi organizacje obrony zwierząt, swoją drogą także oskarżane o patologiczne metody działania. Za to polskie prawo nie określa nawet minimalnych norm utrzymania zwierząt towarzyszących. Obowiązkowe znakowanie i rejestracja psów i kotów są niewątpliwie potrzebne, zwłaszcza że wymaga tego od swoich członków Unia Europejska. Ale bardzo mało prawdopodobne jest, by sam KROPiK ograniczył problem bezdomności tych zwierząt, które człowiek udomowił, a teraz uchyla się od odpowiedzialności za ich los.

AGNIESZKA SOWA

© GETTY IMAGES

eprasa.pl c085a3b354

I co my tu widzimy?

Chorzy na raka w niektórych regionach kraju czekają ponad 120 dni na rezonans magnetyczny i ponad 90 dni na tomografię komputerową. Rząd chce ograniczać diagnostykę, a radiolodzy kłócą się z kardiologami o pieniądze.

PAWEŁ WALEWSKI

Pacjenci są coraz bardziej wściekli. Wchodzą do pracowni radiologicznych, które wyglądają jak centrum kontroli lotów NASA. Już nie piwnice, ale lśniące korytarze, na ścianach certyfikaty, łagodny szum klimatyzacji. Za drzwiami aparaty warte miliony złotych, a w poczekalni ekran z animacją – jak sztuczna inteligencja analizuje obrazy medyczne szybciej niż ludzki mózg.

Ludzie oszołomieni technologią i ceną za kwadrans badania mają prawo oczekiwać szybkiej, precyzyjnej i cyfrowo nieomylnej diagnozy. A zamiast tego kilka tygodni muszą czekać na wynik badania, które potrafi przyjść z błędami.

Pani Anna od dziewięciu lat leczy się onkologicznie w ramach tzw. programu lekowego, który wymaga od niej regularnych badań obrazowych brzucha i klatki piersiowej. Tomografię musi wykonywać co trzy miesiące, więc śmieje się, że świeci już niepowtarzalnym blaskiem. – *Za każdym razem mam przed sobą pięć–sześć wykańczających psychicznie tygodni oczekiwania na wyniki* – opowiada. W końcu przestała je odbierać osobiście, pozostawiając to onkologowi, który już nieraz, analizując je w swoim komputerze, z ponad dwóch zapisanych maczkiem stron musiał wyłuskiwać najważniejsze informacje. „Gdyby biurokracja NFZ nie

eprasa.pl c085a3b354

kazała naświetlać pani tak często, a opisy nie były epickie, nie mielibyśmy długich kolejek" –wyjaśnił podczas jednej z wizyt. – *Był wkurzony, że w opisie znajdowało się mnóstwo znaków zapytania, a i tak najważniejszy jest na końcu jeden wiersz: „Stan jak poprzednio"* – dodaje pani Anna.

Najciekawsza rzecz przytrafiła się jej jednak wtedy, gdy z opisu radiologicznego ona i onkolog dowiedzieli się, że ma wycięty jeden z jajników – co prawdą nie jest, choć stale pojawia się przy kolejnych wynikach. – *Kiedy chciałam osobiście sprostować ten błąd u radiologa, odmówiono mi rozmowy i polecono napisać do niego list* – wyznaje rozgoryczona. List napisała, ale odpowiedzi nigdy się nie doczekała.

Marnie, ale zdalnie

Obietnica była prosta: sztuczna inteligencja miała odciążyć lekarzy, a teleradiologia – czyli przesyłanie obrazów do specjalistów na drugim końcu kraju – pomóc zlikwidować kolejki. Teoretycznie algorytm przesiewa tysiące zdjęć, wyłapując patologie z precyzją snajpera, a lekarz siedzący przed monitorem w Łodzi opisuje złamanie pacjenta z Warszawy. – *Tydzień czekałem na prześwietlenie lewej ręki, które po skręceniu lub złamaniu kości nadgarstka zlecił ortopeda* – opowiada Paweł Adamski. Obecny przy badaniu technik radiologii w jednej ze stołecznych pracowni wykonał porównawcze zdjęcia obu rąk pana Pawła. Wynik mógł odebrać dopiero po 10 dniach. – *I bardzo się zdziwiłem, że stan ręki opisano jako prawidłowy. Okazało się, że radiolog przyjrzał się tylko prawej, tej zdrowej. Musiałem prześwietlenie powtórzyć.*

Czas oczekiwania na opisy radiologiczne w ramach NFZ potrafi sięgać kilku tygodni, a w sektorze prywatnym, mimo obietnic „wyniku w 48 godzin", wielu pacjentów coraz częściej odbija się od ściany. Sytuację w onkologii monitoruje na bieżąco Onkofundacja Alivia – według jej danych chorzy na raka w niektórych regionach kraju czekają ponad 120 dni na rezonans magnetyczny i ponad 90 dni na tomografię komputerową. Do tego dochodzi czas oczekiwania na sam opis badania, który może wynosić nawet 46 dni. W praktyce oznacza to, że od momentu skierowania do uzyskania wyniku mijają miesiące. Technologia zamiast skrócić dystans, stworzyła cyfrową barierę, za którą radiolog stał się duchem.

Dlaczego tak jest? Prof. Jerzy Walecki, kierownik Kliniki Radiologii, Radioterapii i Medycyny Nuklearnej w Państwowym Instytucie Medycznym MSWiA w Warszawie, to jeden z najbardziej doświadczonych ekspertów. – *Minusem tego postępu jest oddalenie radiologa od pacjenta, ale w wielu regionach to lekarstwo na braki kadrowe* – broni systemu z nutą realizmu. W Polsce jest 4,3 tys. lekarzy tej specjalności, zdecydowanie mniej niż wymaga rosnąca liczba badań obrazowych, więc wielu z nich pracuje jednocześnie dla kilku placówek, w modelu teleradiologicznym, opisując badania zdalnie. Odkąd zapanowała moda na outsourcing, uwierzono, że telemedycyna zastąpi lekarzy na miejscu i wystarczy maszyna oraz technik. Lekarz siedzi przed własnym monitorem i analizuje kolejne obrazy: klatki piersiowe z Lublina, kolana z Poznania, rezonans kręgosłupa z miasta powiatowego. Kiedyś radiolog często rozmawiał z pacjentem albo z lekarzem kierującym na badanie. Dziś bywa podpisem pod plikiem PDF.

Groźne oszczędności

Ma to się jednak zmienić, bo w nowym rozporządzeniu, które zostało przygotowane w Ministerstwie Zdrowia, pojawił się wymóg nadzoru nad badaniem przez konkretnego lekarza, który będzie je opisywał nawet na drugim końcu Polski. – *Pacjent nie opuści pracowni, zanim specjalista nie potwierdzi, że technicy zastosowali właściwe parametry i prawidłowo wykonali badanie* – zapowiada prof. Walecki, przyznając, że zmorą jego dziedziny w wielu zakątkach kraju stała się rutyna, choć każdy pacjent nadal wymaga indywidualnego podejścia.

Ale co jest powodem tak długiego czasu oczekiwania na wyniki, jeśli teleradiologia przyspiesza wymianę informacji? – *Niepotrzebny nawał skierowań* – brzmi odpowiedź. Z aż 60 mln badań rocznie przynajmniej 20 proc. jest nieuzasadnionych, bo lekarze innych specjalności – po wycofaniu przed kilkoma laty limitów na diagnostykę radiologiczną – często kierują na nie tylko po to, by mieć podkładkę na wypadek ewentualnych spraw sądowych. Albo by pokazać choremu, że się o niego troszczą (choć zamiast naświetlania wystarczyłby uważnie zebrany wywiad, jak choćby w przypadku nonsensownie powtarzanych co pół roku prześwietleń kręgosłupa u starszych osób, które skarżą się na bóle krzyża).

Z powodu olbrzymiej dziury finansowej NFZ szuka teraz oszczędności w ograniczeniu dostępu do rezonansu i tomografii. Chce, aby placówki, które wykonają więcej badań, niż przewiduje kontrakt, otrzymywały za nie jedynie 50 proc. ich wartości. Ale czy powrót do limitów ograniczy liczbę skierowań – skoro wydają je lekarze innych specjalności – czy raczej spowoduje, że pacjenci będą po prostu dłużej z nimi czekać w kolejkach? Poza tym o ile w części przypadków ograniczenie badań może mieć sens, o tyle u chorych z podejrzeniem raka takie podejście będzie zwyczajnie groźne.

– *Plagą skierowań jest również ich zdawkowość: obserwacja głowy, obserwacja stawu – bez wskazówek, które pomogłyby lepiej wykonać badanie i wpłynąć na ostateczny opis* – irytuje się prof. Walecki. Nie ma też zwyczaju, by dostarczać radiologom wyniki wcześniejszych badań, z których można się zorientować, jaka jest dynamika rozwoju nieprawidłowości. – *Zamiast szybko opisać wynik, tracimy czas na poszukiwanie autora skierowania i ściągamy brakujące dane. A pacjent czeka albo za tydzień wraca na powtórkę.*

Sztuczna inteligencja podpowiada radiologom możliwe zmiany chorobowe, ale choć współczesne algorytmy potrafią wykrywać zmiany, które jeszcze dekadę temu umykały ludzkim oczom, ryzyko pomyłek nie zmalało z powodu chaosu – radiolog nie widzi pacjenta, nie zna jego historii choroby, polega wyłącznie na suchym skierowaniu.

Skok na kasę

Część pomyłek wychwytywana jest dopiero przez lekarzy prowadzących albo przez samych pacjentów, którzy czytają opisy z coraz większą uwagą. W jednej sprawie prokuratura zarzuca radiologowi z Łodzi dwukrotne niewykrycie guza trzustki u chorej, która w efekcie nierzetelnej analizy nie miała wdrożonego właściwego leczenia i zmarła. Pomyłki się zdarzają, zwłaszcza gdy AI podpowiada, a człowiek za bardzo ufa. Statystyki pokazują, że radiolodzy nadmiernie polegający na algorytmach popełniają błędy nawet w co czwartym przypadku przy złej sugestii.

Sporo zastrzeżeń do opisów rezonansu magnetycznego serca ma prof. Łukasz Małek. Jest kardiologiem, który ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c085a3b354

▶ wyspecjalizował się w interpretacji rezonansu magnetycznego serca, ale w Polsce nie ma prawa opisywać tych badań, gdyż monopol mają na to radiolodzy. – *Pozbawieni kardiologicznego oka i specjalistycznego oprogramowania często błądzą po omacku, zaniżając ważne parametry* – punktuje prof. Małek.

Niedawno zapytał publicznie, dlaczego nie powierzyć oceny tych badań dokształconym w tej dziedzinie kardiologom? Zrobiła się wielka afera, ponieważ zarząd Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego (PLTR) uznał wypowiedzi profesora za godzące w dobre imię środowiska i naruszające etykę. Skarga do Naczelnej Izby Lekarskiej została sformułowana w tonie, który nawet szeregowi członkowie tej korporacji uznali za histeryczny (po kilku dniach zdjęto ją ze strony internetowej).

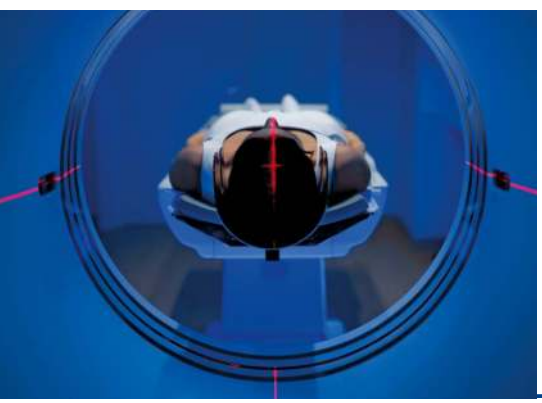

Sporne badania NFZ wycenia wysoko, płacąc ok. 1 tys. zł za tomografię komputerową i od 1,3 tys. do ponad 2 tys. zł za rezonans serca.

Radiologia, zdaje się, nie lubi, gdy ktoś zagląda jej w piksele i portfele bez uprawnień.

Ale czy w tej wojnie zakładnikami nie są pacjenci? Gdyby wycinek obrazowych badań diagnostycznych serca mogli przejąć kardiolodzy, rzesza chorych doczekałaby się wyników szybciej. Jak zauważa prof. Anna Tomaszuk-Kazberuk z Kliniki Kardiologii, Lipidologii i Chorób Wewnętrznych Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Białymstoku, opisy radiologiczne często teraz spływają, gdy pacjent jest już po wypisie z oddziału w domu, a byłyby natychmiastowe, gdyby zajmowali się tym jej przeszkoleni koledzy. Innym argumentem jest to, że wykonanie 100 tys. tomografii naczyń wieńcowych pozwoliłoby uniknąć 50 tys. koronarografii, bardziej obciążających chorych oraz budżet NFZ (bo są one ośmiokrotnie droższe niż tomografia).

Prof. Walecki tu jednak ma największe zastrzeżenia: – *Skoro pojawiłby się precedens kierowania i opisywania badań przez tego samego lekarza, to czy nie wzrosłaby lawinowo ich liczba? Przecież to jest ewidentny skok na kasę!*

Ramię w ramię

A chodzi o niemałe pieniądze, bo w ubiegłym roku za blisko 25 tys. tomografii komputerowych naczyń wieńcowych NFZ zapłacił ponad 21 mln zł, a za 15 tys. rezonansów serca ponad 24 mln zł. Radiolodzy ostrzegają więc Ministerstwo Zdrowia: jeśli pozwolicie opisywać kardiologom badania, na które chcieliby skierować większość pacjentów z bólem w klatce piersiowej, ich liczba może wzrosnąć nawet do 200 tys. i będzie kosztować dodatkowe 200 mln zł. Oba badania NFZ wycenia wysoko, płacąc ok. 1 tys. zł za tomografię komputerową i od 1,3 tys. do ponad 2 tys. zł za rezonans.

Obie strony tego konfliktu powtarzają jak mantrę, że mają na uwadze dobro pacjenta. Prof. Jerzy Walecki, którego minister zdrowia odwołała z funkcji konsultanta „za brak konstruktywnej współpracy i działania utrudniające kompromis", jako jedyny przedstawiciel radiologów nie odmówił nam rozmowy, by przedstawić swoje argumenty. Na pytania, które POLITYKA zadała zarządowi Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego, nie otrzymaliśmy odpowiedzi poza oficjalnym stanowiskiem, umieszczonym na jego stronie. Można w nim przeczytać, że „kumulowanie diagnostyki obrazowej, interpretacji wyników i decyzji terapeutycznych w ramach jednej specjalizacji niesie ryzyko zawężenia perspektywy diagnostycznej i nie sprzyja bezpieczeństwu". Zarząd PLTR kategorycznie stwierdza, że „rozwiązaniem problemów nie jest przesuwanie kompetencji do innych specjalizacji klinicznych", by w końcu zapewnić, że „pozostaje otwarte na dialog, aby wypracować model rzeczywistej współpracy".

Ton stanowiska zarządu Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego jest bardziej pojednawczy, bo postuluje się w nim „ścisłą współpracę z radiologami", lecz niczego to na razie nie zmienia. Ministerstwo Zdrowia wydało salomonowy wyrok i wprowadziło wymóg konsultacji specjalisty kardiologa podczas badań obrazowych tętnic wieńcowych. – *Ale opis nadal pozostaje w rękach radiologów i do nich spływa cała refundacja za to badanie* – zauważa prof. Małek. – *W praktyce poza szpitalami jest to pomysł martwy, bo nie współpracujemy ze sobą na stałe.*

Prof. Walecki wypracował model współpracy z ortopedami: samodzielnie dokonują oceny klinicznej w stanach nagłych, oglądając zdjęcie ewentualnego złamania i natychmiast podejmują decyzję o operacji, a radiolog ma czas, by opisać je później. – *I nikt nikomu chleba nie odbiera* – dowodzi profesor, jeszcze raz sugerując, że zakusy kardiologów mają tło wyłącznie finansowe.

Konkretna propozycja prof. Waleckiego to stworzenie w kraju kilkunastu centrów teleradiologii, w których można na bieżąco oceniać badania obrazowe przez zespoły specjalistów: radiolog-kardiolog, neurolog, ortopeda (są w Polsce lekarze, którzy mają po dwie takie specjalizacje).

Według prof. Małka rzeczywistość rzadko bywa tak łaskawa. Zamiast budować teleradiologiczne bastiony, jest za demontażem kompetencyjnych gett: kardiolodzy powinni uczyć się od radiologów, a radiolodzy od kardiologów, aby finalnie każdy z nich mógł stanąć przed monitorem z odpowiednim przygotowaniem. – *Nie może być tak, że radiolog po specjalizacji bez przeszkolenia może za swoje opisy otrzymać zapłatę, a ja, który opisałem 10 tys. badań rezonansu serca, nie mogę.*

Pacjenci nie żądają cudu. Chcą po prostu tego, co im obiecano: szybkich wyników od wyszkolonego specjalisty. Skoro mamy mieć radiologię jak z kosmosu, warto najpierw usprawnić jej ziemską organizację. I chyba konieczna jest urzędowa mediacja między spierającymi się medycznymi środowiskami.

PAWEŁ WALEWSKI

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c085a3b354

AKADEMIA
zwierciadła

ZAPRASZA NA WYDARZENIE

wolni od stresu
edycja siódma

Temat: RELACJE

ZDJĘCIA: WERONIKA KOSIŃSKA, MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/EAST NEWS, MARCIN KLABAN, ARCHIWUM PRYWATNE.

Udział w siódmej edycji „Wolni od stresu" potwierdzili m.in.:

Katarzyna Miller, Katarzyna Kucewicz, prof. dr hab. n. med i n. o zdr. Bożena Muszyńska, dr Hanna Stolińska, Piotr Mosak, Iwona Firmanty, lek. wet. Dorota Sumińska, dr n. med. Tadeusz Oleszczuk.

Pełny program siódmej edycji „Wolni od stresu" już wkrótce na **www.zwierciadlo.pl/akademia-zwierciadla**

23 MAJA 2026
GODZ. 9–19
SOBOTA

WARSZAWA
MULTIKINO ZŁOTE TARASY
UL. ZŁOTA 59

UDZIAŁ STACJONARNY

290 zł
~~490 zł~~

Z KODEM **WOS7P**
BILET KUPISZ Z RABATEM **-200zł**
DO 16.05.2026
Najniższa cena z 30 dni = 190 zł

UDZIAŁ ONLINE

90 zł
~~290 zł~~

Z KODEM **WOS7P**
BILET KUPISZ Z RABATEM **-200zł**
DO 16.05.2026
Najniższa cena z 30 dni = 90 zł

KUP BILET
Bilety dostępne na
sklep.zwierciadlo.pl

PARTNERZY: Avène, Dr Irena Eris Hotele SPA, foodify, Kartell Warsaw, LogosTour, NORSAN, SANPROBI

eprasa.pl c085a3b354

Łup jak klub

MARCIN PIĄTEK

Nie chodzisz na mecze i futbol cię nie interesuje? Nie szkodzi. Z twoich podatków płaconych lokalnie i tak utrzymywani są zawodowi piłkarze. W skali kraju idą na to setki milionów złotych.

W Zabrzu poruszenie. Górnik, lokalny futbolowy skarb, ma zmienić właściciela. Transakcja odbędzie się w zaufanym gronie, bo nabywca to Lukas Podolski, który wrócił z przybranej niemieckiej ojczyzny w rodzinne strony na schyłek kariery. Przekroczył już czterdziestkę, rzadziej wybiega na boisko, próbuje sił w biznesie. Otworzył sieć lokali z kebabami, a parę miesięcy temu kupił 8 proc. akcji Górnika. Od dawna negocjuje z władzami miasta, mającymi 86 proc. akcji klubu, warunki sprzedaży. Obiecuje dla Górnika „złotą przyszłość", choć i teraźniejszość jest niezła – klub, w gierkowskiej Polsce będący ligowym hegemonem, niespodziewanie znalazł się w ligowej czołówce i awansował do finału Pucharu Polski.

Podolski już nieraz dawał wyraz zniecierpliwieniu postawą władz miasta sprawiających w kwestii sprzedaży Górnika wrażenie „chcielibyśmy, ale boimy się". Te obawy wynikają z presji, że trzeba sprzedać dobrze. To znaczy komuś, kto zapewni stabilność, a jeszcze lepiej rozwój, co z uwagi na specyfikę futbolowego biznesu (stan klubowej kasy zależy od wyników, a na nie wpływ mają czynniki nieprzewidywalne, takie jak forma piłkarzy, kontuzje, udane transfery) jest palcem na wodzie pisane. Podolski był świetnym napastnikiem, ale strzelanie goli to co innego niż zarządzanie klubem.

Jeśli sprzedaż pociągnie za sobą sportową degradację, pozbywający się gorącego futbolowego kartofla politycy mogą się zderzyć z lokalnym gniewem. A moc swoich głosów piłkarskie trybuny pokazały w sąsiednim Chorzowie, gdzie prezydentem jest od 2023 r. Szymon Michałek, twórca tzw. sektora rodzinnego na stadionie Ruchu. Aby mieć pewność, że wygra, organizowano akcję czasowego meldunku w Chorzowie kibiców Ruchu z ościennych miast. W ramach wdzięczności prezydent Michałek obiecał kolegom z trybun, którzy wynieśli go do władzy, że wybuduje dla Ruchu nowy stadion. Szacowany koszt to ponad 400 mln zł – 40 proc. rocznego budżetu miasta.

Sprzedać klub dobrze nie oznacza sprzedać go drogo. Koronę Kielce miasto sprzedało rok temu za… 108 tys. zł. Tyle wyłożył Łukasz Maciejczyk, przedsiębiorca działający w branży tytoniowej. Pojawiły się głosy, że gdyby w grę wchodziła „normalna spółka", jej władze dostałyby zarzut niegospodarności, bo uzyskana kwota nijak się ma do włożonych wcześniej milionów. – *Jeśli chodzi o polską piłkę, symboliczne kwoty odstępnego to nic nadzwyczajnego. Ale nowy właściciel musi przejąć klub ze zobowiązaniami i dokapitalizować go. A gdyby się z tego nie wywiązał, miasto ma prawo przejąć klub z powrotem* – tłumaczy Michał Żukowski, radca prawny i były główny akcjonariusz Stomilu Olsztyn. Maciejczyk obiecał, że do Korony dołoży z własnego majątku, na początek 6 mln zł.

W Kielcach miasto miało Koronę na głowie od 2020 r., po całej karawanie prywatnych inwestorów, faktycznych i domniemanych, wśród których byli przybysze z Senegalu, realizujący tamtejszą rządową strategię, oraz pewien biznesmen, który chciał wykonać skok na jakiś klub w Ekstraklasie, był i w Kielcach, aż w końcu pogrążył Wisłę Kraków, bo okazało się, że sfałszował gwarancje bankowe i listy intencyjne. Obecny prezydent Zabrza Kamil Żbikowski przyznał niedawno w radiowym wywiadzie,

© PAP

eprasa.pl c085a3b354

że problemem w negocjacjach z Podolskim są pieniądze, a konkretnie wycena zlecona przez poprzednią prezydent Agnieszkę Rupniewską. Przekracza ona bowiem kwotę, którą byłby skłonny wyłożyć nabywca. Mówiło się o 8 mln zł, zabrzański magistrat odmówił POLITYCE ujawnienia wysokości wyceny, uzasadniając to „wrażliwością informacji z punktu widzenia interesu ekonomicznego miasta oraz piłkarskiej spółki".

Prezydent Rupniewska poniżej tej wyceny sprzedać nie chciała, prawdopodobnie obawiając się zarzutów niegospodarności. Ale nie dostała szansy, by doprowadzić sprawę do końca, gdyż odwołano ją ze stanowiska w referendum w maju 2025 r. Prezydent Żbikowski najwidoczniej tego rodzaju dylematów nie ma. – *Proces sprzedaży Górnika jest nietransparentny. Nie wiadomo, jaką kwotę chciałoby uzyskać miasto ani ile jest skłonny zapłacić Podolski. Jeśli okazałoby się, że w grę wchodzi np. milion euro, być może znalazłby się inny chętny i doszłoby do podbicia stawki, z korzyścią dla miejskich finansów* – uważa Łukasz Mazur, były prezes Górnika.

W mieście mówi się, że obecny właściciel jest skłonny oddać klub za frytki. Tylko w latach 2019–25 miasto Zabrze w ramach dokapitalizowania przekazało do klubu 33 mln zł. Wciąż ma do spłaty 22 mln zł pożyczki zaciągniętej na ratowanie klubu (spłaciło już 24 mln). Mechanizm był następujący: Górnik wyemitował obligacje, bank je wykupił, miasto zobowiązało się je spłacić z nawiązką. Identyczna sytuacja miała miejsce parę lat wcześniej – bank kupił obligacje za 35 mln, miasto oddało 48 mln. Górnik ma też zaległości wobec miejskiej spółki zarządzającej stadionem, którego ciężar budowy (koszt przekroczył 500 mln zł, trwała 15 lat) oczywiście wzięło na siebie miasto.

Zabrze jest jednym z najbardziej zadłużonych miast w Polsce (ponad 1 mld zł), lokalne władze co rusz informują o koniecznych cięciach, m.in. w inwestycjach i usługach publicznych. Aby zachować płynność finansową i regulować zobowiązania, posiłkują się kredytami, a wydatki de facto znajdują się pod kuratelą Ministerstwa Finansów oraz Regionalnej Izby Obrachunkowej. Jednocześnie prezydent Żbikowski deklaruje, że nie zamierza nasyłać na Górnika komornika (za zaległości w opłatach z użytkowaniem stadionu) i liczy się z tym, że do utrzymania obiektu miasto nadal będzie musiało dokładać. – *Rzadko bywam w Zabrzu, ale miasto robi przygnębiające wrażenie* – dodaje Łukasz Mazur. – *Widać tam biedę, brak inwestycji. A na trybunach Górnika dominują przyjezdni z ościennych miast, więc trudno się dziwić, że mieszkańcy Zabrza mają dość dokładania do klubu.*

Zadymiony stadion Górnika Zabrze podczas meczu piłkarskiej Ekstraklasy z Piastem Gliwice

Każdy klub jest piłkarską spółką akcyjną, a więc firmą, której zarząd powinien związać koniec z końcem samodzielnie. Ale publiczne pieniądze są najłatwiejsze. Tym bardziej że druga strona, czyli lokalni politycy, nie ma nic przeciwko kolejnym kroplówkom. Doskonale wiedzą, że kampanię robi się również na trybunach, poza tym w klubie lub w zarządzającej stadionem spółce można złapać jakąś fuchę i dorobić. Ciepłe posadki rozdawano m.in. w Śląsku Wrocław, gdzie miejscy radni zasiadali w radzie nadzorczej klubu, a w spółce będącej operatorem stadionu odpowiadali np. za „wsparcie w zakresie optymalizacji rozwiązań gospodarki odpadami na obiekcie" albo pisali opinie prawne, choć spółka Stadion Wrocław miała swój dział prawny.

O dobroczyńcach z miejskiej rady otwierających dostęp do publicznych pieniędzy pamięta się również w innych klubach. Najświeższy i dość osobliwy przykład to Radomiak Radom, gdzie zatrudnienie w klubie znalazł radny Dariusz Wójcik, od lat związany z lokalnym PiS, ale niedawno usunięty z partii wskutek konfliktu z tamtejszym baronem Markiem Suskim. Trudno powiedzieć, czym konkretnie Wójcik się w klubie zajmował. Prezes Radomiaka Sławomir Stempniewski wyraził się o zadaniach Wójcika, że była to „taka bieżączka, co robił bardzo dobrze". Ale fucha przy „bieżączce" się skończyła; radny Wójcik został zwolniony w konsekwencji bójki z trenerem Radomiaka Goncalo Feio. Poszło o fatalny stan murawy na stadionie, za co radny według trenera miał odpowiadać.

Miasta rok w rok podwyższają kapitał zakładowy klubu lub wykupują tzw. usługi promocyjne, co sprowadza się do tego, że logo miasta lub regionu umieszcza się na strojach piłkarzy i okalających boisko bandach. Jest to forma reklamy, której efektywności nie sposób sprawdzić. Praktykuje się też wykup powierzchni reklamowej przez miejskie spółki (np. infrastrukturalne) na stadionie lub wynajęcie przez nie lóż. Radom poszedł jeszcze dalej, uchwalając przyznanie zawodowym piłkarzom ekstraklasowego klubu miejskie stypendia. Rocznie to 3,5 mln, najlepiej opłacani otrzymują 22 tys. miesięcznie. Większość z nich to obcokrajowcy z trzeciego piłkarskiego sortu, w tym sezonie balansują na krawędzi spadku z Ekstraklasy. W mieście z przekąsem mówi się o tamtejszej wersji programu Erasmus, ale jednocześnie rośnie irytacja, bo gracze klubów siatkarskich i koszykarskich, w zdecydowanej większości polska młodzież, mogą liczyć na stypendia cztery–sześć razy niższe. ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ **Przepłacani piłkarze irytują zawsze, ale w przypadku klubów będących na samorządowym garnuszku irytują wyjątkowo.** Kilka tygodni temu fala oburzenia przetoczyła się przez Wrocław, a przynajmniej jego część niewrażliwą na los Śląska (patrząc na frekwencję na meczach, to zdecydowana większość miasta). Sieć obywatelska Watchdog Polska dotarła do listy płac piłkarzy Śląska, którzy w poprzednim sezonie grali tak porywająco, że spadli z Ekstraklasy. Rekordzista (nazwiska nie ujawniono) zainkasował w grudniu 133 tys. zł, a miesięcznie na pensje dla zespołu i sztabu szkoleniowego szło ponad 1,8 mln zł. Niemal równocześnie wrocławska rada miejska uchwalała kolejne transze dotacji dla Śląska. Łącznie w wysokości 45 mln zł, tymczasem średni budżet klubu w pierwszej lidze to 18 mln.

Za 45 mln zł miejskich pieniędzy można by np. zbudować szkołę. Zakręcenie kurka oznaczałoby jednak wprowadzenie klubu na prostą drogę do upadłości, a żaden radny nie chce być grabarzem. Zwłaszcza że we Wrocławiu nie zna się dnia ani godziny; niedawno pobici zostali dwaj piłkarze Śląska, jednemu z nich złamano żuchwę, nie może grać. Sprawca został zatrzymany, przyznał się. Nie wiadomo, czy należy do bywalców trybun.

Śląsk to studnia bez dna. Tylko za kadencji obecnego prezydenta Jacka Sutryka wpompowano w klub niemal 170 mln zł. Taką kwotę podawały lokalne media, biuro prasowe miasta Wrocław nie było w stanie jej – na prośbę POLITYKI – zweryfikować. A do tego trzeba jeszcze doliczyć finansowanie bypassami. W raporcie firmy Grant Thornton, przygotowywanym na potrzeby prywatyzacji Śląska, ujawniono, że na utrzymanie klubu zrzuciły się w latach 2021–24 MPWiK (6 mln), lokalne zoo (prawie 3 mln), Wrocławski Park Wodny (ponad 4,5 mln). Wyszło też na jaw, że dokładał się i Port Lotniczy Wrocław, w którym miasto ma 50 proc. udziałów (3,6 mln przez trzy lata).

Niedawno Śląska znów nie udało się sprzedać. Serial o znalezieniu przez miasto Wrocław chętnego na 51 proc. akcji klubu ciągnie się od lat. Zmienia się obsada (po stronie potencjalnie zainteresowanych), a radni płynnie przechodzą od etapu obiecanek o niezwykle poważnych ofertach, za którymi stoi duży kapitał, przez zapewnienia o wzorowo idących negocjacjach i o głębokim namyśle nad propozycjami – w związku z którymi trzeba zlecić kolejne audyty obrazujące stan finansów klubu – do ogłoszenia fiaska transakcji, uzasadnianego troską o dobro Śląska. Ostatnio długie miesiące radni Wrocławia deliberowali nad ofertą złożoną przez Mariusza Iwańskiego przedstawianego jako miliarder z Monako, który produkuje drony. Chciał jednak przejąć klub bez zobowiązań i wpisać do umowy punkt, zgodnie z którym ewentualne straty Śląska byłyby zasypywane... z miejskiej kasy. Nie był również w stanie przedstawić gwarancji finansowych.

Klubów chciałyby się również pozbyć inne miasta. Na przykład Płock, zamożny i z dobrymi perspektywami, wynikającymi przede wszystkim z olbrzymich wpływów podatkowych od lokalnego Orlenu. To zresztą Orlen w 2007 r. podrzucił miastu kukułcze jajo w postaci utrzymania lokalnej Wisły. – *To było w czasach rządów PiS, narzucono narrację, że spółki Skarbu Państwa kończą z finansowaniem futbolu. Nie poparłem tego, by zobowiązanie przejęło miasto, ale zostałem przegłosowany. Wkrótce okazało się, że to był blef. W Lubinie Zagłębie pozostało na utrzymaniu KGHM* – wspomina Artur Jaroszewski, obecny przewodniczący rady miasta Płocka.

Wysokość dopłat do klubu jest wprost proporcjonalna do tego, na jakim poziomie on gra. Degradacja automatycznie przekłada się na kłopoty finansowe, bo wysychają źródełka z praw telewizyjnych i premii od spółki Ekstraklasa SA. – *W przypadku Wisły Płock sytuacja awaryjna związana ze spadkiem z Ekstraklasy oznaczała konieczność zwiększenia dotacji z 7 do 21 mln zł. Sam chodzę na mecze Wisły od lat, ale uważam, że są granice dokładania do tego interesu* – mówi Artur Jaroszewski. – *Radykalne cięcie jest niemożliwe, ale w końcu udało się nam ostatnio przeforsować zasadę, że uzależniamy wsparcie od wyników. Maksymalnie może to być nieco ponad 7 mln zł rocznie za usługi promocyjne i 11,2 mln w ramach dopłaty do kapitału.*

Na razie do kupna Wisły zgłosił się jeden chętny, decyzja o ewentualnej sprzedaży ma zapaść w połowie roku.

Prywatni właściciele klubów uważają, że utrzymywanie ich rywali z publicznych pieniędzy to patologia i nieuczciwa konkurencja. Jarosław Królewski, właściciel Wisły Kraków, zapowiedział złożenie zawiadomień do prokuratury, jak również do Komisji Europejskiej, gdyż uważa, że pieniądze pompowane przez Wrocław w Śląsk to niedozwolona pomoc publiczna.
– *Nawet jeśli ten wniosek faktycznie do Komisji wpłynie, to biorąc pod uwagę priorytetowość innych spraw, na rozpatrzenie poczekamy latami* – uważa mec. Żukowski. – *Organ ten rozpatrywał już sprawy klubów holenderskich i hiszpańskich, dotyczące nadmiernych przywilejów finansowych, zwolnień podatkowych, wsparcia w budowie infrastruktury. Ale większość skończyła się po myśli klubów, poza tym trudno je traktować jako punkt odniesienia dla ewentualnej sprawy Śląska.*

Badając zasadność pomocy publicznej, miasta powinny za każdym razem przeprowadzać tzw. test prywatnego inwestora, którego istota sprowadza się do zbadania, jakie decyzje podejmuje na tym rynku prywatny właściciel. A polski futbol jest pisany historiami milionerów przepalających w klubach górę pieniędzy, bo taka jest przewrotna specyfika tego biznesu. Najnowsze przykłady to Robert Dobrzycki (Widzew Łódź) czy Wojciech Kwiecień (Wieczysta Kraków). – *Ten test powinien być zlecony zewnętrznemu audytorowi. Jeśli miasta tego nie robią, mogą mieć problemy* – zaznacza mec. Żukowski. Biuro prasowe miasta Wrocław nie odpowiedziało na pytanie, czy decyzje o dofinansowaniach dla Śląska były tego rodzaju testami poprzedzone.

Cios dla lokalnych polityków i urzędników finansujących zawodowy sport może tymczasem nadejść z innej strony. Prokuratura Okręgowa w Katowicach postawiła niedawno byłym władzom Chorzowa zarzuty niegospodarności – w związku z kupowaniem akcji Ruchu, udzielaniem mu pożyczek oraz zlecaniem promowania miasta przez klub – argumentując, że wspieranie zawodowego sportu nie należy do zadań własnych samorządów. Sprawa jest rozwojowa, a ciekawy jest zwłaszcza wątek promocji. Prokuratura uważa, że przetargi były ustawiane tak, że mógł je wygrać tylko Ruch. Jego piłkarze biegali po murawie w koszulkach z hasłem „Chorzów wprawia w ruch".

Trudno sobie wyobrazić, że byliby w nich gotowi biegać zawodnicy Legii albo Lecha. Ale śledczy będą drążyć, czy faktycznie nie wpłynęły do miasta żadne inne oferty. I czy wygrała najlepsza, czy – jak w ustawionych meczach – ta, która miała wygrać. Istotą tej finansowej gry wokół piłki jest bowiem brak reguł.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl c085a3b354

Podatek od chińszczyzny

Europa próbuje walczyć z azjatyckimi platformami – zakupy mają być droższe, a kontrole paczek dokładniejsze. Jednak Temu czy Shein nie tylko się nie poddają, ale też zaczynają kolejny etap ofensywy.

© SHUTTERSTOCK

CEZARY KOWANDA

Trzy euro, czyli ok. 13 zł – tyle dopłacimy już od lipca za zakupy na coraz popularniejszych chińskich platformach zakupowych. To mocno spóźniona reakcja Unii Europejskiej na zalew naszego kontynentu paczkami z Temu, Shein i AliExpress. W 2022 r. do wszystkich państw Wspólnoty trafiło 1,4 mld paczek spoza Unii o deklarowanej wartości poniżej 150 euro każda. Ponad 90 proc. takich przesyłek nadano w Chinach. W 2024 r. tanich paczek napływających do Unii było już 4,6 mld, a w ubiegłym roku aż 5,9 mld. Zgodnie z dotychczasowymi przepisami takie przesyłki są zwolnione z cła, jeśli ich wartość podana przez nadawcę nie przekracza właśnie owych 150 euro.

Ten przepis miał uprościć procedury, ale dla chińskich platform okazał się prawdziwym błogosławieństwem. Znaczna część produktów zamawianych przez europejskich klientów w Chinach jest rzeczywiście warta mniej niż 150 euro. A jeśli nawet trafi się droższy artykuł, zazwyczaj w deklaracjach celnych jego wartość jest zaniżana, aby zmieścić się pod korzystnym progiem. Korzystnym dla chińskiego sprzedawcy i europejskiego kupującego, ale już nie dla europejskich sklepów internetowych i przemysłu.

– *W skali roku do Polski trafia ok. 100 mln paczek z Chin. Według szacunków branżowych polskie sklepy internetowe tracą w ten sposób rocznie od 6,5 do 8,8 mld zł. To pieniądze, które Polacy wydaliby przede wszystkim w polskich sklepach internetowych, gdyby nie mieli dostępu do chińskich platform* – podkreśla Sebastian Błaszkiewicz, dyrektor ds. doskonalenia sprzedaży w Univio.

Po latach dyskusji i sporów państwa unijne ustaliły pod koniec ubiegłego roku, że trzeba coś zrobić, aby powstrzymać chiński potop paczkowy. Tym bardziej że przybrał on jeszcze na sile w 2025 r. Wówczas bowiem zmniejszył się eksport z chińskich platform do Stanów Zjednoczonych, po tym jak Donald Trump zlikwidował celne zwolnienia i drastycznie podniósł opłaty dla paczek w ramach swojej wojny handlowej z Pekinem. ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ Temu czy Shein ograniczyły wydatki reklamowe w Ameryce, za to jeszcze agresywniej zaczęły walczyć o klientów europejskich.

Pierwszy krok unijnej strategii ograniczania zakupów na chińskich platformach rusza w lipcu. Cło w wysokości trzech euro naliczane ma być nie od paczki, ale od każdego rodzaju sprowadzanego produktu. Oznacza to, że jeśli w jednej paczce znajdą się np. koszulka, skarpetki i czapka, cło wyniesie łącznie dziewięć euro. Jeśli jednak w przesyłce będzie tylko kilka takich samych lub bardzo podobnych koszulek (np. różniących się jedynie kolorem), wystarczy dopłacić trzy euro.

Nowe cło zostanie formalnie przerzucone na wysyłającego, czyli przede wszystkim na chińskie firmy, które poprzez platformy oferują swoje produkty bezpośrednio europejskim klientom. To chińscy sprzedawcy zdecydują, czy podniosą swoje ceny, czy też wezmą dodatkowe koszty na siebie.

– *Mogą zachęcać np. do sprzedaży wiązanej. Będą oferować korzystne ceny przy zakupie większej liczby takich samych bądź podobnych produktów, bo wówczas dodatkowa opłata celna rozłoży się na więcej sztuk. W przypadku droższych produktów dodatkowe trzy euro raczej nie zniechęci do korzystania z chińskich platform. Natomiast może się stać barierą przy kupowaniu towarów bardzo tanich, kosztujących kilka czy kilkanaście złotych. W ich przypadku nowe cło będzie rzeczywiście oznaczać znaczącą podwyżkę* – ocenia Arkadiusz Kawa, ekspert rynku logistycznego, profesor na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu.

Dopłaty może i utrudnią nieco życie Chińczykom, ale oni na pewno nie znikną z europejskiego rynku. Przez lata stał się dla nich zbyt ważny, aby poddać się bez walki. Żeby skrócić czas dostaw i walczyć o bardziej wymagających klientów, chińscy gracze inwestują teraz w centra logistyczne w samej Europie. W ubiegłym roku taki obiekt pod Wrocławiem otworzył np. modowy gigant Shein. To zresztą nie koniec ekspansji. – *Dziś chińskie platformy korzystają jeszcze z europejskich, w tym polskich firm kurierskich, które dostarczają zamówione produkty do naszych drzwi czy automatów paczkowych. Ale już teraz Chińczycy próbują tworzyć własnych graczy logistycznych w Europie i w ten sposób przejmować kontrolę nad całością procesu dostaw. A równocześnie kupują europejskich sprzedawców. Niedawno np. chiński gigant JD.com przejął właściciela niemieckiej sieci Media Markt* – podkreśla prof. Arkadiusz Kawa.

Chińskie piramidy

Liczba przesyłek przychodzących do Unii Europejskiej o wartości poniżej 150 euro (w miliardach)

ŹRÓDŁO: KOMISJA EUROPEJSKA

Jak pokazuje ostatni raport firmy Gemius na temat handlu internetowego, już 36 proc. polskich internautów deklaruje, że robi zakupy na platformach spoza Unii Europejskiej. W praktyce chodzi przede wszystkim o chińskie firmy, z Temu na czele. Ten serwis pod względem liczby odwiedzających już od kilkunastu miesięcy walczy w Polsce o palmę pierwszeństwa z Allegro. Jeszcze kilka lat temu chińskie platformy były raczej traktowane jak ciekawostka i mało kto decydował się na większe zakupy za ich pośrednictwem. To jednak już przeszłość. Wyrafinowana strategia walki o klienta przynosi efekty – chińskie serwisy nie tylko kuszą promocjami, ale angażują użytkownika w swoistą grę o rabaty, zachęcając do traktowania zakupów jako rozrywki.

– *Przeciętny użytkownik Temu zostawił na tej platformie w styczniu już ok. 60 proc. kwoty, jaką wydał na Allegro, podczas gdy rok wcześniej było to jedynie 30 proc. W lutym średnie wydatki na użytkownika były na Temu już tylko o ok. 15 proc. niższe niż na Allegro. Oznacza to, że Temu przestaje być kanałem wyłącznie okazjonalnych zakupów* – mówi Ewa Kraińska, właścicielka serwisu whenUbuy. Podkreśla, że na Temu użytkownicy kupują średnio pięć produktów w ramach jednego zamówienia, podczas gdy na Allegro dwa. Średnia wartość pojedynczego produktu na Allegro jest wciąż trzykrotnie wyższa niż na Temu. Oznacza to, że nowe dopłaty mogą rzeczywiście zaszkodzić Chińczykom, skoro tam wybieramy sporo tańszych produktów.

Nowe zryczałtowane cło od lipca to dopiero pierwszy nieśmiały krok w walce z chińską dominacją. Kolejnym ma być druga opłata – tym razem od każdej paczki, zapewne w wysokości dwóch euro. Powinna sfinansować rosnące koszty odpraw celnych i wejdzie w życie prawdopodobnie pod koniec tego roku. To jednak tylko wstęp do prawdziwej rewolucji planowanej na 2028 r. Wówczas cło ma zostać uzależnione od rzeczywistej wartości zakupów.

Na razie to niemożliwe, bo państwa unijne nie są po prostu w stanie wyliczać cła osobno dla każdej przesyłki, skoro jest ich sześć miliardów. Ma na to pozwolić nowy Europejski Urząd Celny z siedzibą we francuskim Lille, który powinien zacząć działać za dwa lata. – *Mam co do niego mieszane uczucia. Z jednej strony pozwoli zastąpić ponad sto istniejących dzisiaj w państwach członkowskich systemów informatycznych, obsługujących przychodzące do Unii przesyłki. Jednak równocześnie to kolejna regulacja i centralizacja, której koszty poniosą przedsiębiorcy i konsumenci* – mówi Sebastian Błaszkiewicz z Univio, ekspert Izby Gospodarki Elektronicznej. – *Nowe centrum ma skuteczniej śledzić, co rzeczywiście do nas trafia, ile jest warte, kto wysyła produkty i czy spełniają wymagania bezpieczeństwa oraz standardy unijne. Obecnie bowiem chińscy dostawcy często wybierają dostawy poprzez te państwa, które mają gorsze narzędzia kontroli, albo te, gdzie prawdopodobieństwo sprawdzenia paczki jest najmniejsze z powodu nadmiaru przesyłek.*

Samo cło może w pewnym zakresie ograniczyć zakupy na azjatyckich platformach, ale nie rozwiąże innego poważnego

eprasa.pl c085a3b354

problemu. Europejscy sprzedawcy skarżą się, że o ile oni są nieustannie kontrolowani, o tyle nie wiadomo, co znajduje się w miliardach przesyłek z Chin. Wyrywkowe badania, prowadzone np. przez europejskie organizacje konsumenckie, pokazują, że aż dwie trzecie importowanych produktów nie spełnia naszych norm bezpieczeństwa.

– *W wielu zabawkach są części, którymi dziecko może się udławić. Poważnym problemem jest chińska odzież. W ramach naszych testów sprzed dwóch lat wykryliśmy przekroczenie norm metali ciężkich, jak nikiel, kadm, chrom i ołów w wielu ubraniach, a nawet w biżuterii. Azjatyckie platformy wycofały ze sprzedaży te konkretne produkty, ale nie było żadnego postępowania prokuratorskiego ani kar ze strony polskich organów* – mówi Monika Kosińska-Pyter, prezeska Federacji Konsumentów. Podkreśla, że nie możemy mylić gorszej jakości z brakiem bezpieczeństwa. Klient, który decyduje się na tańszy produkt, dostępny poprzez azjatycką stronę, powinien brać pod uwagę, że ten szybciej się zużyje czy zniszczy. Jednak nie może być niebezpieczny dla zdrowia.

– *Chodzi o to, żeby nowe unijne regulacje, kontrole i groźby wysokich kar zmusiły azjatyckie platformy do spełniania europejskich norm. Wówczas ceny takich produktów będą musiały oczywiście wzrosnąć, bo wprowadzenie odpowiednich procedur czy zmiana składu wymagają dodatkowych nakładów. Jeśli zaś chińskie produkty będą droższe, może zmniejszy się liczba zakupów kompulsywnych. Prawda jest bowiem taka, że na azjatyckich platformach kupujemy wiele rzeczy nie dlatego, że są nam potrzebne, ale raczej z ciekawości czy po to, by zrobić sobie małą przyjemność. Tyle że ma ona potem spory koszt, chociażby związany z utylizacją. Między innymi z tego powodu opłaty za odpady nieustannie rosną* – zauważa Monika Kosińska-Pyter.

Ekspansja chińskich platform sprawiła, że politycy mają teraz twardy orzech do zgryzienia. Z jednej strony bowiem europejscy sprzedawcy apelują do nich, aby ostro walczyć z Temu czy Shein, bo to nie tylko nieuczciwa konkurencja, ale także zagrożenie dla naszej przyszłości. W czasach rosnącego protekcjonizmu nie możemy się godzić na to, żeby europejskie pieniądze tak łatwo wypływały do Chin. I to bez żadnej korzyści dla nas, bo przecież Chińczycy nie robią zakupów na platformach unijnych. Ale równocześnie wiele osób przyzwyczaiło się do korzystania z Temu, Shein czy AliExpress. W ubiegłym roku na każdego mieszkańca Unii przypadała już jedna chińska paczka miesięcznie.

Zwłaszcza ci często kupujący na chińskich platformach nie chcą, żeby politycy ograniczali ich wybór czy kazali im do tej przyjemności dopłacać. Argumentują, że przecież wielu europejskich sprzedawców oferuje też produkty wytwarzane w Chinach, ale drożej, bo najpierw sami je sprowadzają, a potem doliczają swoją marżę. Bardziej zatem opłaca się robić zakupy na chińskich stronach, bo wówczas pomija się pośredników. Tę narrację podsycają zresztą sami Chińczycy, którzy głośno ubolewają, że unijne regulacje uderzą przede wszystkim w europejskich klientów. Znaleźliśmy się tak mocno w chińskim uścisku, że uwolnienie się z niego będzie boleć i kosztować. Dużo więcej niż trzy euro.

CEZARY KOWANDA

© LECH MAZURCZYK

REKLAMA

DAWID PODSIADŁO
OBROTOWY TOUR 2026

07 06 26
06 06 26
SUPERAUTO.PL STADION ŚLĄSKI CHORZÓW

13 06 26
ENEA STADION POZNAŃ

20 06 26
POLSAT PLUS ARENA GDAŃSK

28 06 26
27 06 26
PGE NARODOWY WARSZAWA

allegro
PARTNER STRATEGICZNY
MUZK EAST.EVENTZ
ORGANIZATORZY
RMF WP
PATRONI MEDIALNI
ams superauto.pl STADION ŚLĄSKI polsat plus arena GDAŃSK Enea Stadion
PARTNERZY
eBilet
BILETY

eprasa.pl c085a3b354

W przełomowym wyroku kalifornijski sąd uznał, że wielkie platformy internetowe świadomie uzależniają najmłodszych użytkowników. Czy będzie to zwrot na miarę walki z koncernami tytoniowymi?

Uzależniasz? Płać!

MARIUSZ ZAWADZKI

Od wielu lat Amerykanie pozywali media społecznościowe – głównie firmę Meta, właściciela Facebooka i Instagrama. Ale niemal wszystkie pozwy były oddalane. Rodzice, którzy dowodzili, że ich dzieci zostały skrzywdzone na Instagramie, TikToku czy YouTube (którego właścicielem jest Google), zawsze odbijali się o osławiony art. 230 ustawy o przyzwoitości w komunikacji. Została ona uchwalona w 1996 r., kiedy internet dopiero raczkował, a jej art. 230 stanowi, że właściciel forum internetowego nie odpowiada za treści publikowane przez jego użytkowników, bo jedynie „udostępnia swoją przestrzeń innym".

Z kolei ludzie, którzy skarżyli się, że Facebook czy Twitter niesłusznie usunęły jakieś ich wpisy albo ich całkowicie zbanowały, rozbijali się o pierwszą poprawkę do konstytucji USA. Paradoksalnie to właśnie ta poprawka, która gwarantuje w Ameryce wolność słowa, daje wielkim firmom internetowym możliwość cenzurowania użytkowników.

Powód? Facebook to nie jest publiczne miejsce, takie jak park miejski, tylko coś w rodzaju sali spotkań w „prywatnym budynku". I dlatego firma Meta, która go zbudowała, ma pełną wolność słowa, czyli sama decyduje, jakie treści dopuszcza wewnątrz swojego budynku, a jakie odrzuca. Jeśli przychodzisz w gości, czyli logujesz się na Facebooku, musisz się podporządkować zasadom, jakie ustalił jego właściciel.

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c085a3b354

Z tego powodu został m.in. oddalony pozew Donalda Trumpa, który w 2020 r. został zbanowany przez Twittera za podżeganie swoich zwolenników do buntu po przegranych wyborach. Trump twierdził, że zablokowano go z powodów politycznych, ale sąd uznał, że nie ma żadnego znaczenia, z jakich powodów został zablokowany. To Twitter ustala reguły na Twitterze i kropka.

Tym sposobem media społecznościowe były w Ameryce całkowicie bezkarne: mogły dowolnie cenzurować użytkowników, ale jeśli nie usunęły jakiegoś szkodliwego czy niebezpiecznego wpisu, to nie ponosiły odpowiedzialności. Art. 230 i pierwsza poprawka wydawały się niezniszczalnym pancerzem.

Wywoływało to rosnącą frustrację. Mniejsza o rzekomo naruszoną wolność wypowiedzi Trumpa; z biegiem lat stawało się jasne, że media społecznościowe są szkodliwe dla dzieci i młodzieży. One szczególnie łatwo uzależniają się od Facebooka czy Instagrama, stresują się, porównując swój wygląd z „idealnymi" influencerami, albo padają ofiarą pedofilów łowiących ofiary w internecie.

Pancerz został przebity dopiero 25 marca br., kiedy w Kalifornii zapadł precedensowy wyrok w sprawie, którą 20-letnia dziewczyna wytoczyła firmom Meta i Google. Znamy tylko jej imię: Kaley. W dokumentach procesowych występuje jako K.G.M. Od ok. 10 lat miała konta na Facebooku, Instagramie i YouTube, co – jak twierdziła – wpędziło ją w ciężką depresję.

Jej prawnicy obrali zupełnie nową strategię procesową. Oskarżali Meta i Google o to, że ich portale zostały celowo i z rozmysłem tak skonstruowane, żeby stopniowo uzależniać użytkowników i ostatecznie wpędzić ich w nałóg, bardzo podobny do palenia papierosów. A przecież dzieciom nie wolno oferować papierosów! Prowadząca sprawę sędzia Carolyn Kuhl pouczyła ławę przysięgłych, że art. 230 nie ma w tym przypadku zastosowania, bo zarzut nie odnosi się do treści dostępnych na portalach, tylko do immanentnych cech i mechanizmów działania portali.

Ława przysięgłych debatowała przez dziewięć dni, aż wreszcie przyznała rację dziewczynie. Decyzja nie była jednogłośna: poparło ją 10 jurorów, a dwóch wzięło stronę Meta i Google. Ale w sprawach cywilnych w Kalifornii – w odróżnieniu od sprawy o morderstwo ze słynnego filmu „Dwunastu gniewnych ludzi" – nie trzeba jednomyślności. Dziesiątka jurorów przyznała Kaley 6 mln dol. odszkodowania.

Analogia z papierosami narzuca się sama, bo w wielu aspektach historia mediów społecznościowych jest powtórką historii przemysłu tytoniowego. Już w 1950 r. opublikowano w USA pierwszą szokującą statystykę: spośród 684 pacjentów chorych na raka płuc aż 96 proc. było palaczami. Ale koncerny tytoniowe jeszcze długo potem utrzymywały, że nie ma niezbitych dowodów, że papierosy są szkodliwe.

Kwestię tę uważano za niewyjaśnioną; na początku lat 60. palenie było dozwolone w restauracjach, biurach, samolotach i nawet w szpitalach. Dopiero w 1964 r. naczelny lekarz Stanów Zjednoczonych Luther Terry ogłosił rządowy raport, który urzędowo rozwiał wątpliwości. Wynikało z niego, że w porównaniu z osobą niepalącą statystyczny palacz ma o 70 proc. większe szanse umrzeć w ciągu najbliższego roku.

Wtedy koncerny tytoniowe zmieniły taktykę – twierdziły, że nikt nie zmusza palaczy do kupowania papierosów! Hipoteza, że nikotyna uzależnia podobnie jak heroina czy inne narkotyki, była systematycznie podważana. Kiedy w kwietniu 1994 r. szefowie siedmiu największych koncernów, w tym Philip Morris i R.J. Reynolds, zeznawali przed komisją Kongresu USA, jeden z senatorów zapytał: „Czy uważacie, że nikotyna uzależnia?". Wszyscy zeznawali pod przysięgą i wszyscy odpowiedzieli „nie". Niektórzy wyjaśniali, że palenie to „przyzwyczajenie", czyli coś zupełnie innego niż fizyczne uzależnienie od heroiny.

Tymczasem już od dawna wiedzieli, przynajmniej niektórzy, że prawda jest inna. Od 1980 r. dwaj naukowcy – Victor DeNoble i Paul Mele – prowadzili w prywatnych laboratoriach Philip Morris tajne badania na szczurach. Mogły one przyciskać malutką dźwignię, żeby podawać sobie trzy substancje. Najpierw sól fizjologiczną – szczury przyciskały dźwignię raz na godzinę. Potem czystą nikotynę – tę aplikowały sobie 10 razy na godzinę. A na koniec nikotynę zmieszaną z aldehydem octowym, czyli substancją powstającą przy paleniu papierosów – tę aplikowały sobie ponad 40 razy na godzinę!

„Nasze wyniki po raz pierwszy wykazały, że nikotyna posiada cechy wspólne z innymi narkotykami podawanymi dożylnie" – mówi po latach DeNoble. W kwietniu 1984 r. przełożeni nakazali mu wyłączyć maszyny, uśmiercić szczury i oddać notatki. Nawet nie zdążył wykonać polecenia. Kilka dni później przyszedł do laboratorium i odkrył, że „zwierzęta zniknęły, notatki zniknęły, wszystko zniknęło". Ale wtedy jeszcze nic nie powiedział. Obowiązywała go klauzula tajemnicy, którą złamał dopiero później.

Szacuje się, że od 1964 r., kiedy naczelny lekarz USA oficjalnie ogłosił szkodliwość papierosów, przedwcześnie zmarło w USA ok. 25 mln palaczy, a na całym świecie – ok. 200 mln. Dlatego niektórzy twierdzą, że prezesi koncernów tytoniowych byli większymi ludobójcami niż Hitler i Stalin.

W latach 90. na odwagę zdobyło się kilku sygnalistów, w tym DeNoble, którzy zdradzili tajemnice swoich dawnych szefów. 46 stanów USA złożyło przeciwko czterem największym koncernom pozew zbiorowy, który w listopadzie 1998 r. zakończył się tzw. wielką ugodą tytoniową. Koncerny zobowiązały się wypłacić w ciągu 25 lat 206 mld dol. rządom stanowym jako rekompensatę za koszty leczenia palaczy, jakie poniosła publiczna służba zdrowia. Do dziś pozostaje to rekordowa kwota w historii USA, zdecydowana w postępowaniu cywilnym.

Dopiero po wielkiej ugodzie indywidualne pozwy palaczy przeciwko koncernom zaczęły być uwzględniane przez sądy i łącznie wywalczyli oni następne kilka lub kilkanaście miliardów (trudno oszacować dokładną kwotę, bo często zawierano ugody pozasądowe, które były tajne).

Prezesi koncernów nigdy nie przyznali się do oszustw i przemilczeń – to było ustępstwo prokuratury w ramach wielkiej ugody. Dlatego nikt nigdy nie poszedł do więzienia za wielkie kłamstwo papierosowe, a sprawa o krzywoprzysięstwo prezesów w Kongresie została umorzona, bo bronili się, że odpowiadali zgodnie z „osobistymi przekonaniami". A nie sposób niezbicie i ponad wszelką wątpliwość ustalić, jakie naprawdę mieli osobiste przekonania.

Szefowie koncernów internetowych nie mają tak koszmarnej opinii jak prezesi koncernów tytoniowych, ale zmierzają w tym samym kierunku. W sądowym sporze z 20-letnią Kaley prawnicy Meta wykazali się szczególną bezwzględnością; próbowali udowodnić, że jej problemy psychiczne są wynikiem innych przyczyn niż media społecznościowe. Wynajęto detektywów, którzy prześwietlili całe życie dziewczynki (sprawa dotyczyła okresu między 9. i 20. rokiem jej życia). ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ Twierdzili oni, że jej stany lękowe, depresja, zaburzenia odżywiania i myśli samobójcze zostały wywołane przez rozwód rodziców, przez generalnie trudne z nimi relacje oraz przez bullying w szkole. A nawet rzekomo przez genetyczne predyspozycje, bo prawnicy Meta przewertowali również historię jej rodziców. Negatywne postrzeganie własnego ciała miało się zacząć, jeszcze zanim jako 11-latka założyła konto na Instagramie. Wyciągnięto nawet, że była ofiarą molestowania seksualnego.

Żeby potwierdzić swoją tezę, prawnicy Meta przesłuchiwali nauczycieli, rodzinę i znajomych dziewczyny. Przewertowali dokumentację medyczną od psychologów i terapeutów. Standardowo jest ona poufna, ale ponieważ stan zdrowia Kaley był przedmiotem procesu, została odtajniona przez sąd. Prawnicy Meta cytowali np. notatki terapeutów, z których wynikało, że dziewczynka czuła się zaniedbana emocjonalnie i dlatego szukała akceptacji na Instagramie. Od realu uciekała również z powodu konfliktów z rówieśnikami. Podsumowując: Instagram miał być skutkiem, a nie przyczyną jej problemów.

Równocześnie Meta, w tym osobiście jej szef Mark Zuckerberg, który również został przesłuchany, utrzymywali, że nie ma żadnych dowodów naukowych potwierdzających, że media społecznościowe wywołują „kliniczne uzależnienie". Zuckerberg przekonywał, że użytkownicy chętnie używają Instagrama, bo jest to „bardzo pożyteczny i wartościowy produkt", który „ułatwia kontakty między ludźmi". Adam Mosseri, któremu Zuckerberg powierzył zarządzanie Instagramem, przyznał, że media społecznościowe – jeśli je przedawkować – mogą być szkodliwe, ale również odrzucał oskarżenia, że uzależniają.

Z kolei prawnicy reprezentujący dziewczynę argumentowali, że Facebook i Instagram zostały zaprojektowane tak, żeby uzależniać dzieci – służą temu nieskończone przewijanie w dół, częste powiadomienia, filmiki wideo, które same się uruchamiają, algorytmy podsuwające treści kuszące dla specyficznego użytkownika czy filtry upiększające.

Kilka lat temu Zuckerberg osobiście wyznaczył cel biznesowy Meta: Instagram i Facebook mają jak najdłużej utrzymywać użytkowników, w tym nastolatki, przed ekranem, bo to się przekłada na zyski z reklam. Menedżerowie Meta pisali w mailach, że dzieci w wieku 10–12 lat to „wciąż niezagospodarowany cenny zasób" i pracowali nad portalem Instagram Kids.

Ostatecznie projekt zarzucono, kiedy w 2021 r. była pracownica firmy Frances Haugen ujawniła wewnętrzne dokumenty i analizy korporacji. Teraz zostały wykorzystane jako materiał dowodowy przez prawników Kaley. Pokazali m.in. wewnętrzny raport o Instagramie, w którym czytamy, że „u jednej trzeciej spośród wszystkich nastolatek używających portalu pogłębiają się problemy z akceptacją własnego ciała".

Teoretycznie użytkownik Instagrama musi mieć co najmniej 13 lat, ale wiek nie jest weryfikowany – bez problemu stworzyłem tam konto, podając się za 12-latka. Na marketing wśród nastolatków Meta wydaje setki milionów dolarów rocznie. Zuckerberg miał nadzieję, że Instagram będzie wabikiem, który przetransferuje młodzież do podupadającego, coraz bardziej starzejącego się Facebooka (w sensie wieku jego użytkowników). To się akurat nie udało, ale – na szczęście dla Meta – młodzi, kiedy dorosną, pozostają na Instagramie. Na całym świecie używają go 3 mld osób, tyle samo co Facebooka.

Podczas rozprawy pokazano rolkę wydrukowanych zdjęć Kaley z Instagrama, miała ona długość 15 m, na wielu zdjęciach dziewczyna była wychudzona i z nałożonymi filtrami upiększającymi. Na koniec ława przysięgłych uznała argumenty jej prawników, że Kaley jest ofiarą aplikacji specjalnie zaprojektowanej po to, żeby uzależniać i generować zyski kosztem zdrowia najmłodszych użytkowników.

W związku z tym firma ma wypłacić dziewczynie 4,2 mln dol. – nie tylko za szkody na Instagramie, ale za stres, jaki Meta zafundowała jej podczas procesu. Dodatkowo 1,8 mln ma jej zapłacić Google, którego prawnicy nie byli tak agresywni i przyjęli inną strategię procesową: przekonywali, że YouTube to nie media społecznościowe, tylko prędzej platforma streamingowa podobna do Netflixa, więc oskarżenie jest pomyłką.

Odszkodowanie byłoby wyższe, ale ława przysięgłych uznała argumenty Meta, że Instagram jest jedną z kilku przyczyn problemów psychicznych dziewczyny. Oczywiście dla Meta zasądzona kwota to grosze, ale czekają kolejne tysiące pozwów, dlatego ten wyrok będzie miał ogromne konsekwencje finansowe. Meta zapowiedziała apelację (Google również).

Wyrok jest kolejnym potwierdzeniem globalnego trendu. W grudniu ub.r. Australia wprowadziła prawny zakaz używania mediów społecznościowych do 16. roku życia. Portale takie jak Instagram muszą teraz skutecznie sprawdzać wiek australijskich użytkowników. Parlamenty Francji i Danii przygotowują podobne zakazy. A w 2024 r. Vivek Murthy, ówczesny naczelny lekarz USA, proponował, żeby na stronach mediów społecznościowych były takie same plakietki, jak na paczkach papierosów – z ostrzeżeniami, że mogą być szkodliwe.

Pomysł jest nierealny za rządów Trumpa, który jest hołubiony i na różne sposoby przekupywany przez internetowe koncerny z Kalifornii. Ale w sądach ofensywa nabiera rozpędu. Dzień przed wyrokiem w Kalifornii wydano wyrok w Nowym Meksyku: Meta musi zapłacić władzom tego stanu 375 mln dol., bo – jak zdecydowała ława przysięgłych w Santa Fe – jej portale nie zapewniły dostatecznej ochrony dzieciom i z tego powodu doszło do wielu przypadków wykorzystania seksualnego.

To wszystko nie oznacza jeszcze, że media społecznościowe są w odwrocie. Przeciwnie – sądząc po ich wpływie na politykę i po tym, że wypierają media tradycyjne – wciąż płyną na fali wznoszącej. Tym zdecydowanie odróżniają się od koncernów tytoniowych, które na Zachodzie straciły reputację i większość klientów (w 1964 r. paliło 42 proc. Amerykanów, dziś tylko 10 proc.). Co ciekawe, największa kompromitacja przytrafiła się im już po wielkiej ugodzie i po ujawnieniu wielkiego kłamstwa, kiedy producenci Marlboro wreszcie powiedzieli komuś kilka słów prawdy.

W 2001 r., kiedy w Czechach pojawiły się głosy, że leczenie palaczy obciąża budżet państwa i trzeba podnieść podatki od papierosów, Philip Morris przygotował raport dla rządu w Pradze. Wyliczono w nim szczegółowo, że palenie papierosów jest bardzo korzystne dla budżetu państwa, bo wprawdzie trzeba płacić za leczenie palaczy, ale za to wcześniej umierają, więc państwo nie musi im wypłacać emerytur ani leczyć ich w podeszłym wieku, do którego dożyliby, gdyby nie palili.

O takiej szczerości Zuckerberga i jego wspólników możemy na razie tylko pomarzyć!

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl c085a3b354

Połączenia kontrolowane

Władimir Putin ostro wziął się za internet. Państwo blokuje, wyłącza, ogranicza. Rosjanom nie bardzo się to podoba, ale pewnie – jak zwykle – dostosują się.

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKIY

Rosyjskie władze tłumaczą ograniczenia w dostępie do sieci wojenną koniecznością

© GETTY IMAGES

Fiodor, menedżer w firmie medio-wej w Moskwie, wracał w środku nocy z imprezy: – *Chciałem wezwać taksówkę przez aplikację w komórce, ale okazało się, że sieć nie działa. Noc chłodna, więc pomyślałem o naszej rosyjskiej władzy w sposób mocno niecenzuralny.* Dobrze zarabiający, należący do wyższej klasy średniej mężczyzna mówi, że obecna sytuacja przypomina mu późny Związek Sowiecki. Państwo było wówczas niby supermocarstwem, ale na półkach sklepowych brakowało mięsa, a przemysł nie był w stanie wyprodukować dżinsów.

– *Teraz jest podobnie. Z naszej perspektywy zeszły rok był dla Władimira Putina zwycięski. Rosjanie zobaczyli, jak ich lider spotyka się z Donaldem Trumpem. Uwierzyli, że wygranie wojny jest tylko kwestią czasu. I nagle okazuje się, że nie można zamówić pizzy przez aplikację w telefonie! Nie dajemy rady z pizzą, a chcemy wpływać na losy świata?* – pyta Fiodor.

Jego zdaniem reżim Putina zupełnie bez sensu strzelił sobie w stopę. Ale Fiodor może się mylić, bo Kreml dobrze zaplanował operację wyrywania Rosjan ze światowego internetu.

Ofensywa

Pomysły wzięcia sieci pod kontrolę powracają w Rosji od lat. Jednak dopiero w ostatnim czasie Kreml zaczął odnosić znaczące sukcesy. Pierwsze masowe wyłączenia mobilnego internetu (generuje on większość ruchu) zaczęły się w połowie zeszłego roku. Trwała majówka, gdy w dziesiątkach regionów padła sieć. Potem zaczęło się to powtarzać.

Jak to wygląda w praktyce? – *Okresowo zanika sygnał w komórce, zarówno możliwość dzwonienia, jak i internet. Dzieje się to mniej więcej raz–dwa razy w tygodniu, na kilka godzin albo minut. Jakość połączeń głosowych spadła kilkakrotnie w porównaniu z okresem sprzed wojny* – relacjonuje mieszkanka Irkucka.

W ciągu ostatniego roku przetestowano różne rozwiązania. Odcinano raz większe, raz mniejsze terytoria. Czasem całkowicie, a czasem zostawiając łączność tylko u niektórych operatorów. – *Latem zeszłego roku notowano nawet 2 tys. wyłączeń* ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ *miesięcznie. W całym roku ponad 12 tys.* – informuje nas „Na swiazi", grupa rosyjskich aktywistów, fachowców w dziedzinie IT, którzy monitorują blokady internetu i doradzają użytkownikom, jak je omijać.

W czasie blokady działają tylko strony i aplikacje z tzw. białej listy – strony rządowe, urzędowe i te dopuszczone przez władze. Miejsce na białej liście stało się więc obiektem pożądania dla biznesu. Jednocześnie wiele potrzebnych aplikacji zostało za burtą, m.in. te monitorujące poziom glukozy u dzieci chorych na cukrzycę. Sprawa dotarła do Putina, który kazał załatwić problem.

W ostatnich tygodniach masowe wyłączenia stały się normą. Na początku objaśniano to problemami technicznymi. W końcu głos zabrał rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow: „To nie są awarie. To ograniczenia wprowadzone z oczywistych przyczyn i należy do tego podchodzić ze zrozumieniem".

„Oczywiste przyczyny" to trwająca od 2022 r. pełnoskalowa wojna z Ukrainą. Ukraińcy nie ograniczają się bowiem do obrony, ale coraz śmielej atakują dronami nawet cele w głębi Rosji. Skupiają się m.in. na niszczeniu fabryk uzbrojenia, rafinerii i magazynów paliw. Wyłączenie mobilnego dostępu do sieci ma zakłócić nawigowanie bezpilotowcami, a także utrudnić działania wywiadu ukraińskiego, który za pomocą komunikatorów werbuje wykonawców akcji dywersyjnych na tyłach przeciwnika.

Tłumaczenie Pieskowa było wygodne. Trudno z nim polemizować, nie narażając się na zarzut sprzyjania wrogowi. Jednak słowa kremlowskiego porte-parole wzbudziły pewne niedowierzanie, np. na dalekiej Kamczatce, gdzie ukraińskie drony nie przylatują, a wyłączenia internetu zdarzają się dość często. Tłumaczono, że to ćwiczenia, a ćwiczenia trzeba przeprowadzać wszędzie – nawet daleko od miejsca, gdzie toczą się bitwy.

Uważni obserwatorzy zauważyli jednak, że „ćwiczenia" nasilają się w tych regionach, gdzie mieszkańcy są niezadowoleni z lokalnych władz i mają zamiar publicznie to zademonstrować.

Ryzyko

Blokada sieci naraża kulejącą coraz bardziej gospodarkę Rosji na ogromne straty – mocno przybliżone szacunki mówią o ponad 10 mld euro rocznie. Przyczyn jest wiele. Internet to przede wszystkim rozrywka – Rosjanie najczęściej z tego powodu wchodzą do sieci. Ale także źródło wiadomości i pomoc w codziennym życiu: usługi bankowe, płatności i zakupy. Kiedy siada internet, siadają także aplikacje do nawigacji.

Nie da się zapłacić aplikacją ani przelać pieniędzy z telefonu na telefon. Nie można przesyłać dokumentów, szkolić online. Wiele małych firm-sklepów i drobnych usługodawców zaczęło przeżywać poważne problemy. Cierpią także wielkie firmy, które zarabiają na usługach e-commerce. „Na swiazi" przywołuje też przypadki ludzi, którzy zginęli w ataku ukraińskich dronów – nie odebrali ostrzeżenia o alarmie lotniczym, bo nie działała sieć.

W Rosji dostęp do internetu ma 136 mln osób, czyli blisko 95 proc. społeczeństwa. A tutejsi użytkownicy korzystają ze 106 mln kont w mediach społecznościowych, co wynika z najnowszych danych zespołu Datareportal. Rosjanie najczęściej zaglądają do internetu za pośrednictwem telefonów komórkowych, których w kraju jest zarejestrowanych 225 mln.

Cztery i pół godziny

Eksperci oceniają, że przeciętny obywatel Federacji Rosyjskiej spędza w internecie ponad cztery i pół godziny dziennie. Władza musi więc sobie zadawać pytanie, co on przez te cztery i pół godziny ogląda lub czyta. W połowie ubiegłego roku odsetek wszystkich Rosjan korzystających z internetu jako źródła informacji po raz pierwszy przewyższył odsetek tych, którzy każdego dnia oglądają wiadomości w telewizji, wynika z badań niezależnej pracowni Centrum Lewady.

Telewizja ciągle jest liderem, bo publiczność internetowa rozbita jest na grupy – jedni czytają komunikatory, inni obserwują tradycyjne media albo oglądają YouTube, najczęściej szukając tam rozrywki. Jednak władza – nauczona doświadczeniem – chce trzymać rękę na pulsie. Przecież właśnie w sieci narodziły się wielkie uliczne protesty w 2011 r. Internet zrobił też gwiazdę z Aleksieja Nawalnego, który (m.in. za pomocą YouTube) piętnował korupcję na kremlowskich szczytach władzy.

Jest też inna ciekawa prawidłowość – Rosjanie częściej szukają informacji w sieci w chwilach, gdy dzieje się coś nieoczekiwanego, co zagraża ich bezpieczeństwu albo ustalonemu porządkowi. Tak było, gdy Rosja zaczęła inwazję na Ukrainę, gdy Putin ogłosił częściową mobilizację, a także gdy najemnicy grupy Wagnera maszerowali na Moskwę. Warto dodać, że w porównaniu z Rosjanami telewidzami Rosjanie internauci są młodsi, lepiej wykształceni i zamożniejsi.

Media na wygnaniu

Po wybuchu pełnoskalowej wojny w 2022 r. Kreml zadbał, by z Rosji zniknęły niezależne media. Większość z nich odrodziła się za granicą. Dziś rosyjscy dziennikarze są największą grupą narodową wśród reporterów zmuszonych działać na wygnaniu. Według JX Fund, czyli fundacji, która wspiera emigracyjne dziennikarstwo, za granicą funkcjonują 63 niezależne rosyjskie media w 25 krajach. Docierają do Rosji wyłącznie przez internet.

Oczywiście ich strony są blokowane od zawsze. Jeszcze w 2019 r. przyjęto ustawę nakładającą na operatorów wprowadzenie oprogramowania umożliwiającego blokowanie i kontrolowanie przepływu danych. W sumie w 2025 r. różnym blokadom podlegało 1,2 mln stron internetowych. Mimo tych blokad według JX Fund niezależne media miały wśród Rosjan 38 mln subskrybentów.

Jak to możliwe? Rosjanie dość szybko nauczyli się omijać przeszkody. Głównym narzędziem stały się serwery VPN, które „udają", że komputer znajduje się w innym kraju. Po inwazji liczba użytkowników VPN wystrzeliła w górę. W 2023 r. z tej możliwości korzystał co trzeci użytkownik internetu w Rosji.

Cały czas sieć jest inwigilowana przez służby – za szerzenie ekstremizmu czy „kłamstwa" na temat rosyjskiej armii można pójść do więzienia. Roskomnadzor – pełniący funkcję sieciowego cenzora – naciska na światowych potentatów, np. na Google, by usuwali niewygodne treści. Obecnie liczba takich żądań z Rosji wynosi 60 proc. wszystkich z całego świata, ale Google uwzględnia tylko niewielką ich część.

„O wiele większymi możliwościami presji dysponują służby wobec rosyjskich operatorów telekomunikacyjnych bądź administratorów stron, serwisów i platform społecznościowych" – oceniają eksperci Ośrodka Studiów Wschodnich w raporcie „Wielki rosyjski firewall".

Do cenzurowania treści zatrudniono również narzędzia sztucznej inteligencji. Wykreślają one przekleństwa

© YULIA MOROZOVA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl c085a3b354

i nieprawomyślne słowa tekstów, a w piosenkach zastępują je „biipem". Dochodzi do paradoksalnych sytuacji – cenzura zaczęła np. gumować Wiktora Dragunskiego, sowieckiego pisarza dla dzieci. W jego nazwisku jest słowo „drug", ang. narkotyk, a propagowanie narkotyków to w Rosji przestępstwo. Rosjanie – by słuchać muzyki – zwrócili się ku starym technologiom. Wzrosła sprzedaż odtwarzaczy MP3 i płyt CD.

Jednoosobowy protest „Za Rosję bez cenzury". Na transparencie napis: „Orwell pisał antyutopie, a nie poradniki".

Na Maxa

Kreml nie ogranicza się do cenzurowania i blokowania. Przejmuje sieć, budując własne narzędzia do kontaktu z audytorium. Serwis YouTube jest notorycznie spowalniany – tak, że trudno cokolwiek obejrzeć. Ale zamiast niego można skorzystać np. ze swojskiego VK Video czy RuTube.

Od kwietnia 2025 r. na urzędy i przedsiębiorstwa nałożono zakaz kontaktowania się z klientami przez zagraniczne komunikatory. Signal, Viber czy Discord były spowalniane, aż ludzie zaczęli od nich odchodzić. W listopadzie 2025 r. problemy zaczął mieć WhatsApp. Teraz przyszedł czas na ograniczanie najpopularniejszego komunikatora, czyli Telegramu – korzysta z niego blisko 100 mln użytkowników.

Telegram ma być zastąpiony przez państwowy Max. Ludzie obawiają się korzystania z tego państwowego komunikatora – podejrzewają, że to narzędzie kontroli ze strony władz. Wojskowi – którzy są zmuszani do posługiwania się Maxem – uważają, że jest on łatwy do zhakowania przez przeciwnika, przez to w czasie wojny wyjątkowo niebezpieczny. Jeszcze bardziej niż przeciwnika boją się własnych służb specjalnych – FSB, żandarmerii wojskowej, które mogą ich inwigilować, złapać na korupcji albo innym przestępstwie.

Niszczenie Telegrama wywołało niezadowolenie nawet wśród grupy lojalnych użytkowników. Ta aplikacja stała się skutecznym kanałem komunikacji używanym przez państwowe media, propagandystów i prokremlowskich piarowców. Do kontaktu z publicznością używali go także „wojenkorzy" – patriotyczni blogerzy relacjonujący wojnę w Ukrainie.

Niektóre z tych kanałów miały ponadmilionowe audytorium, zarabiały krocie na reklamie. Nikt nie chce rezygnować z tak lukratywnego biznesu. W efekcie, choć władze namawiają do przechodzenia na platformę Max, wielu twórców się z tym ociąga. Ale ten stan zapewne nie potrwa długo – niewykluczone, że Telegram zostanie trwale zablokowany albo – jak głoszą plotki – nie będzie można na tym komunikatorze zarabiać na reklamach.

Już dziś widać, że od Maxa nie ma odwrotu – każdy telefon komórkowy kupowany w Rosji ma zainstalowaną tę aplikację. Tylko za jej pomocą można się rejestrować w systemie usług państwowych. Maxa można mieć też na karcie zagranicznej – ale będzie on działał w ograniczonym zakresie. Można go nabyć wyłącznie w kraju traktowanym jako przyjazny.

Ryzyko

Kreml wiele ryzykuje, bo gniew internautów bywa srogi. Ale wygląda na to, że Putin się nie cofnie. Tym bardziej że czeka go trudny rok. Na ukraińskim froncie nie widać przełomu. Wojna robi się coraz droższa – żołd kontraktowych żołnierzy pochłania gigantyczne sumy. Coraz więcej wojskowych wraca do domu okaleczonych, wielu z nich w czarnych workach. Ceny na ropę naftową i gaz ziemny – dzięki którym Moskwa opłaca wojenną machinę – wzrosły ostatnio z powodu wojny w Iranie, ale ten stan nie będzie trwał wiecznie.

Rosyjski rząd może zostać zmuszony do cięć socjalnych, podwyżki podatków. Brak postępów na wojnie i trudności ekonomiczne mogą więc przełożyć się na niezadowolenie społeczne. Rosjanie już nieraz pokazywali, że potrafią cierpieć w imię frontowych sukcesów. Jednak lepiej dmuchać na zimne. Tym bardziej że na wrzesień planowane są wybory parlamentarne, które będą swoistym plebiscytem poparcia dla władzy. Kreml chce, by obywatele głosowali, nie tylko jak trzeba, lecz również tłumnie i z entuzjazmem.

Rosjanie nie są zadowoleni z ograniczeń, ale masowych protestów raczej trudno się spodziewać. Rosja stała się krajem totalitarnym – za najmniejsze nieposłuszeństwo idzie się do łagru. Przekonało się o tym 18 osób aresztowanych pod koniec marca za rachityczne protesty przeciw niszczeniu internetowej wolności.

A Fiodor, nasz bohater, po nocnej imprezie zdołał jakoś dotrzeć do domu. Złapał taksówkę po staremu, tak jak robiło się w czasach „przedinternetowych", tj. stanął przy krawężniku i pomachał ręką. Po przemyśleniu sprawy doszedł do wniosku, że nie ma co upadać na duchu. – *Nigdy nie wiadomo, czy internet będzie, czy nie. Trzeba używać tych różnych VPN, Telegram ledwo ciągnie. Ale generalnie staram się ograniczyć swoją aktywność w sieci, co mi wychodzi na zdrowie* – mówi.

Dodaje, że sprawy globalne, dostęp do wolnych mediów czy możliwość komunikacji z zagranicą nie są dla niego kluczowe. Jeśli sytuacja poprawi się o tyle, by można było zamówić pizzę, taksówkę, korzystać z nawigacji oraz płacić telefonem za usługi, to „da się żyć".

I chyba o to Kremlowi chodziło.

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKIY

eprasa.pl c085a3b354

Szpiedzy do sześcianu

Wynik niedawnych wyborów w Słowenii wypaczyła Black Cube, prywatna agencja wywiadowcza z Izraela. Podobnie mogło być z węgierskimi głosowaniami.

Protest przeciwko Janezowi Janšy, szefowi opozycyjnej populistycznej Słoweńskiej Partii Demokratycznej (SDS). Zarzuca mu się kontakty z agentami Sześcianu i wyborcze intrygi.

JĘDRZEJ WINIECKI

Nagrania pojawiły się 12 dni przed wyborami parlamentarnymi w Słowenii. Kilka prominentnych postaci życia publicznego, w tym była ministra sprawiedliwości i wpływowa prawniczka, przy kawie i zupie, plotkach i przechwałkach, opowiadają o swoich powiązaniach z rządem i z premierem Robertem Golobem. Nagrywani są przekonani, że rozmawiają z przedstawicielami brytyjskiego funduszu inwestycyjnego Stockard Capital, zainteresowanego budową centrów danych i przedsięwzięciami z państwową firmą energetyczną, której swego czasu prezesował premier.

Inaczej niż w przypadku polskich nagrań sprzed 12 lat, na których kelnerzy serwowali ośmiorniczki przedstawicielom naszych elit, w Słowenii opublikowano tylko fragmenty pogawędek. Akurat te mające sugerować rzekome przewiny otoczenia Goloba i kierowanego przez niego lewicowo-liberalnego Ruchu Wolności, największej partii w koalicji rządzącej.

Słowenia, nieobeznana dotychczas z takimi ingerencjami w wybory, wpadła w stan wrzenia. Główna oś sporu w kraju idzie znanymi z Polski torami: w natarciu jest suwerenistyczna prawica bijąca w dotychczasowy liberalny porządek. Nic dziwnego, że nagrania z satysfakcją powitało czołowe stronnictwo opozycji, populistycznie prawicowa Słoweńska Partia Demokratyczna (SDS) oraz jej lider Janez Janša, kilkakrotny premier, reprezentant europejskiego nurtu ruchu MAGA i ideologiczny bliźniak Viktora Orbána.

Ledwie kilka dni później wskazano, kto najprawdopodobniej nagrywał z ukrycia. – *Otrzymaliśmy sygnał od zaniepokojonego obywatela, który zorientował się, że lider opozycji spotkał się z grupą osób z Izraela* – mówi Borut Mekina, dziennikarz śledczy słoweńskiego tygodnika „Mladina", współautor błyskawicznie przeprowadzonego dochodzenia. – *Odkryliśmy, że pracują w Black Cube.*

Prywatny Mosad

Black Cube (ang. Czarny Sześcian) to komercyjna agencja wywiadowcza założona przez weteranów izraelskich sił zbrojnych. Przewinęli się przez nią m.in. byli szefowie Mosadu, dlatego nazywana bywa prywatnym Mosadem. Powstała w 2010 r., ma biura w Tel Awiwie, Londynie, Madrycie i Singapurze. Zapewnia, że działa w ponad 75 krajach, a jej personel posługuje się biegle ponad 30 językami.

Black Cube dostarcza usługi użyteczne np. w procesach sądowych, postępowaniach arbitrażowych i ściganiu przestępczości gospodarczej. Miała z powodzeniem zakończyć ponad pół tysiąca spraw, dla swoich klientów odzyskać 5,3 mld dol., dalsze 14,7 mld dol. jej klienci uzyskali na podstawie wyroków lub ugód pozasądowych. Zdobywała dowody na korupcję w meksykańskim przedsiębiorstwie naftowym Pemex i łapownictwa we Włoszech. Wykryła przyczyny wycieku ropy naftowej na Morzu Śródziemnym itd.

Izraelski dziennik „Haaretz" pisze, że Sześcian utrzymuje bliskie związki z rządem Izraela, pracownicy firmy stacjonowali m.in. w bazie wywiadu sił zbrojnych. Posługuje się tzw. humintem, czyli wywiadem osobowym, który w wykonaniu Black Cube oznacza m.in. „tworzenie

© REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl c085a3b354

realistycznych, wieloosobowych fałszywych tożsamości" oraz korzystanie z „wysoko wykwalifikowanych operatorów, posiadających doświadczenie w izraelskich służbach wywiadowczych".

Przewaga humintu, jak objaśnia w swojej ofercie Black Cube, polega na tym, że praktycznie każdego można nabrać na umiejętnie poprowadzone socjotechniki. Firma stroni od kontaktów z prasą. Nie chwali się też, że nielegalne praktyki nie tylko ujawnia, ale także wykorzystuje do dyskredytowania politycznych przeciwników swoich zleceniodawców – tak jak prawdopodobnie w słoweńskim przypadku.

22 grudnia Janez Janša przyjął kilku obywateli Izraela – przed siedzibą partii w Lublanie miał ich zobaczyć wspomniany spostrzegawczy obywatel. Z rejestrów lotniczych wynikało, że tego dnia na miejscowym lotnisku Brnik dwie godziny spędził prywatny odrzutowiec, który przyleciał z Tel Awiwu. Wśród pasażerów znajdowali się Dan Zorella i Giora Eiland. Pierwszy jest współzałożycielem i prezesem Black Cube, byłym oficerem izraelskiej armii. Drugi to emerytowany izraelski generał. Ta sama maszyna na lotnisku Brnik lądowała jeszcze dwukrotnie, wcześniej w listopadzie, a ostatnio w połowie lutego.

Z początku SDS uznała, że jeśli faktycznie Black Cube stoi za nagraniami, to należy jej się pomnik w centrum stolicy za ujawnienie „niewyobrażalnej skali korupcji" ekipy rządowej. Później, skonfrontowany z dowodami Janša, potwierdził, że gościł przedstawicieli Black Cube w siedzibie partii, ale niewiele więcej pamięta. Choć akurat Giorę Eilanda zna od lat – od czasu, gdy ten był doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego jednego z izraelskich rządów.

W obronie Weinsteina

Black Cube wchodzi do akcji za pośrednictwem słupów. Rejestruje nieistniejące przedsiębiorstwa, tworzy im strony internetowe z fikcyjnymi treściami. Widmowi pracownicy są wyposażeni w profile na LinkedIn. Wszystko to funkcjonuje długo przed właściwą operacją, aby agenci wypadali wiarygodnie jako dziennikarze, aktywiści, łowcy talentów lub – jak w Słowenii – inwestorzy. Tyle wystarczy, by zaaranżować potajemne studnio nagrań i namówić wybrane osoby do nieskrępowanych zwierzeń.

Sześcian ma doświadczenia w majstrowaniu przy polityce. Działania tej agencji ujawniali sygnaliści z jej łona, podwykonawcy lub współpracownicy. Zbierała dane o urzędnikach, którzy w rządzie prezydenta Baracka Obamy odpowiadali za umowę nuklearną z Iranem. Ludzie Black Cube udawali, że kręcą film dokumentalny, i przeprowadzili wywiady m.in. z głównymi amerykańskimi negocjatorami. W 2015 r. agencja próbowała wydobyć dokumentację medyczną wyborczego konkurenta prezydenta Nigerii.

W 2016 r. Black Cube szukała kompromitujących materiałów na Laurę Kövesi, prokuratorkę ścigającą korupcję w Rumunii. Dwaj znani z nazwiska agenci przyjechali do Bukaresztu, próbowali włamać się do poczty elektronicznej prokuratorki, zostali jednak aresztowani przez policję i skazani. W 2022 r. ugodę z rumuńskim sądem zawarł prezes Sześcianu Dan Zorella – skazano go na 35 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu. Dotąd tylko w Rumunii udało się pociągnąć do odpowiedzialności kogoś z Black Cube.

Najgłośniejszą operacją agencji była pomoc udzielona Harveyowi Weinsteinowi, hollywoodzkiemu producentowi i przestępcy seksualnemu. Black Cube miała blokować demaskujące tę sprawę artykuły w mediach. Jedna z agentek, wcześniej w Mosadzie, zaprzyjaźniła się z aktorką Rose McGowan, skrzywdzoną przez Weinsteina obrończynią praw kobiet będących ofiarami przemocy – próbowała ustalić, czy aktorka zamierza oskarżyć producenta, nagrała dziesiątki godzin rozmów z nową przyjaciółką i wykradła jej pamiętnik.

Stella Penn Pechanac, jak nazywała się agentka, po odejściu z Black Cube zapewniała, że jej zadaniem było odkrycie prawdy i ustalenie, czy ktoś nie steruje kampanią przeciw Weinsteinowi, o którym wtedy jeszcze nie wiedziano, że jest „potworem". Weinsteinowi skorzystanie z pomocy Sześcianu zarekomendował były premier Izraela, Ehud Barak.

Działania Black Cube w sprawie Weinsteina polegały także na podszywaniu się pod jego ofiary, by zbliżyć się do dziennikarza Ronana Farrowa, który opisywał grzechy Weinsteina na łamach miesięcznika „New Yorker". Nie wyszło, bo jeden ze współpracowników agencji zmienił strony i został informatorem Farrowa. Złapana za rękę Black Cube przepraszała, obiecała też przekazać honorarium otrzymane od Weinsteina organizacjom kobiecym.

Z kolei przed wyborami w 2018 r. na Węgrzech ludzie Black Cube wcielili się w aktywistów i starali się skontaktować z organizacjami związanymi z George'em Sorosem, amerykańskim inwestorem węgierskiego pochodzenia, wspierającym inicjatywy, z którymi nie po drodze Orbánowi. Cztery lata później Sześcian tworzył na Węgrzech fałszywe profile i oferty pracy, by zachęcać do kontaktu dziennikarzy i aktywistów krytykujących Orbána. Potem nagrania rozmów z nimi pojawiały się w mediach popierających premiera Węgier.

Interes Izraela

Węgierski *modus operandi* najbardziej podobny był do tego, co wydarzyło się w marcu w Słowenii. Tuż przed wyborami słoweński kontrwywiad i policja opublikowały raport o domniemanej zagranicznej ingerencji w kampanię, który m.in. potwierdził wizyty personelu Black Cube.

Tylko czy Janša faktycznie na tym skorzystał? Od wielu miesięcy badania preferencji wyborczych przewidywały zwycięstwo jego SDS. Tymczasem tuż przed głosowaniem 22 marca doszło do sondażowej mijanki. Ruch Wolności Roberta Goloba ostatecznie wygrał jednym mandatem. Nie wiadomo, kto będzie teraz premierem – gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, negocjacje koalicyjne trwały.

Jedynie poszlaki wskazują, że operację Sześcianu pomyślano tak, by to Janša stał się jego beneficjentem. Pozostaje w bliskich stosunkach z Orbánem, który eksportuje swoją rewolucję poza Węgry. Także w Słowenii i przez media, które są własnością węgierskich oligarchów.

Wynajęcie Black Cube jednak nie jest tanie, lata temu Weinstein zapłacił agencji 1,3 mln dol. Tymczasem Słowenia jest krajem niewielkim, czołowe partie na kampanie wydają góra pół miliona euro. Mekina spekuluje, że zakontraktowanie Black Cube mogło być prezentem od kogoś, kto był zainteresowany przegraną ekipy rządowej. Od kogo? Słowenia była bardzo krytyczna wobec Izraela i premiera Beniamina Netanjahu, uznała też państwowość Palestyny. A Janša sympatyzuje z Netanjahu. – *W przypadku słoweńskich wyborów Izrael miał interes i motywację* – kończy dziennikarz. ■

eprasa.pl c085a3b354

Bajka o Królewnie Śnieżce

Rozmowa z Charlesem Heckerem, brytyjskim analitykiem i ekspertem od rosyjskiej gospodarki, o tym, czy i kiedy możliwy będzie reset z Rosją.

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Mateusz Mazzini: – Czy powrót Rosji do globalnej gospodarki jest już nieunikniony?

CHARLES HECKER: – Amerykańscy biznesmeni są od dawna gotowi na współpracę z potencjalnymi rosyjskimi partnerami. Zresztą nie tylko oni. Uwaga mediów koncentruje się na Stevie Witkoffie i Kirillu Dimitrijewie, bo oni najczęściej są twarzami kolejnych szczytów pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą. W ciągu ostatnich 14 miesięcy Witkoff był w Rosji siedem razy. Dimitrijew do USA pojechał co najmniej dwa razy, przynajmniej z tego, co wiemy. Oni na pewno odgrywają ważną rolę, ale tylko dlatego, że są pośrednikami pomiędzy Trumpem i Putinem. Odkąd Trump wrócił do Białego Domu, w USA pojawił się apetyt na reset z Rosją i z każdym miesiącem jedynie rośnie.

Ale skąd on się w ogóle bierze? W polskiej polityce mówi się, że każda kolejna amerykańska administracja musi zafundować sobie reset z Rosją, żeby się potem tej Rosji sama nauczyć. Działania Trumpa to powtórka z tego schematu?

I tak, i nie. Putin rządzi Rosją od 2000 r., to już 26. rok jego władzy. W tym czasie Ameryka miała czterech różnych prezydentów, kilka ekip rządzących, a mimo to wszyscy ciągle zadają pytanie: kim pan jest, panie Putin? Zupełnie jakby każda kolejna administracja chciała się tego Putina uczyć na nowo i ostatecznie go przejrzeć. Pod tym względem Trump nie różni się od poprzedników. Natomiast to, co sprawia, że obecna sytuacja jest wyjątkowa, to fakt, że mówimy o ewentualnym resecie z Rosją, po tym jak wcześniej nastąpił stamtąd potężny exodus zachodniego biznesu.

Kiedy Putin przejmował władzę w 2000 r., zachodni biznesmeni powoli wracali na rosyjski rynek po krachu z 1998 r. Wtedy też słyszeliśmy różne fantazje ze strony amerykańskich przywódców. George W. Bush mówił przecież, że „patrzy w głąb duszy Putina i ją rozumie". I też był nacisk, żeby wracać i zbudować silną pozycję na rosyjskim rynku, aczkolwiek kwoty, o których mówimy, były wielokrotnie niższe niż dzisiaj. Obecnie zachodnie firmy chcą wracać do Rosji, bo większość z nich uważa, że ma gwarancje prawne, żeby odzyskać swoje majątki, które tam pozostawiły.

W standardowych kontraktach, które przed wybuchem wojny zawierano między zachodnimi podmiotami gospodarczymi a ich rosyjskimi spółkami córkami czy partnerami, wpisywano klauzule o możliwości odkupienia mienia, gdyby zostało znacjonalizowane albo przejęte przez rosyjskie spółki. Na Zachodzie dominuje przekonanie, że jeśli działania wojenne w Ukrainie zostaną zawieszone albo zakończone, wszystko wróci do normy i będzie można znów zarabiać pieniądze. Co więcej, ten

eprasa.pl c085a3b354

problem nie dotyczy wyłącznie USA, europejskie spółki palą się do wejścia na rosyjski rynek jeszcze bardziej niż amerykańskie. To zresztą zrozumiałe, bo wielkość europejskiego kapitału, który został w Rosji, jest znacznie większa od kapitału amerykańskiego.

Czy to wciąż ta sama typowa zachodnia fantazja o rosyjskim gospodarczym eldorado, które tylko czeka na porządne inwestycje?

Podoba mi się użycie w tym kontekście słowa „fantazja", bo to rzeczywiście nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ale nie zmienia to faktu, że Trump może mieć takie właśnie wyobrażenia: że Rosja, ten potężny kawałek ziemi zajmujący tyle miejsca na mapie, kryje w sobie jakieś wielkie skarby gotowe do zagarnięcia. Zresztą kiedy Witkoff instruował Rosjan, jak mają się komunikować z Trumpem, właśnie na to zwracał uwagę. I to właśnie pokazuje, że to nie Witkoff, a sam prezydent właśnie jest jednoosobowym rozgrywającym po amerykańskiej stronie.

Oczywiście nie wszyscy żyją myśleniem życzeniowym. Sporo jest firm, które po prostu rozważają działalność tam wyłącznie na podstawie rachunku ekonomicznego. Niemniej największa, najbardziej naiwna fantazja Zachodu nie polega wcale na myśleniu o nieprzebranych złożach Syberii czy o zasobnych portfelach domniemanej rosyjskiej klasy średniej.

A na czym?

Na tym, że rosyjskie państwo przez ostatnie cztery lata było Królewną Śnieżką. Kiedy tylko skończą się walki w Ukrainie, królewna się obudzi, a świat będzie wyglądać tak jak przed 2022 r.

Ta wojna trwa dużo dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał. W tym czasie wiele zmieniło się nie tylko na świecie, ale i w samej Rosji, w jej polityce wewnętrznej. To jest kraj, którym Putin zarządza zupełnie inaczej, za pomocą innych instrumentów niż przed inwazją. Niektórzy zachodni prezesi zachowują się, jakby mogli za chwilę wejść do samolotu, polecieć do Moskwy, otworzyć drzwi swojego starego biura i usiąść za biurkiem, które tam zostawili. Jeśli naprawdę ktoś w to wierzy, to ma urojenia.

Warto pamiętać, że rozmiar rosyjskiego rynku też jest zupełnie inny niż wcześniej. Ten rynek się zmniejszył, działa na innych zasadach, gdzie indziej w rosyjskiej gospodarce są teraz pieniądze. Zmieniła się też legislacja dotycząca inwestycji zagranicznych. Obcokrajowcy mają dużo bardziej utrudniony dostęp do własności, do różnych źródeł finansowania, do współistnienia na tym rynku – wszystko to zrobiono, żeby prawnie uzasadnić przejęcie zachodnich zasobów i żeby zachodni inwestorzy nie mogli ich potem odbić na drodze sądowej. Do tego trzeba dodać fakt, że gospodarka nie działa w próżni. Wyszli Amerykanie czy Europejczycy, pojawili się nowi gracze – głównie z Chin i Turcji. To nie byle kto, za ich pieniędzmi często stoi wsparcie rządów tych państw, potężne konglomeraty, siły produkcyjne. Zachód prawie w ogóle nie bierze tego czynnika pod uwagę w swojej kalkulacji powrotu do Rosji.

Nie mówiąc o tym, że część Rosjan już zwyczajnie nie chce robić interesów z Europą czy Stanami Zjednoczonymi. Oni się na tym exodusie poważnie sparzyli. Zostali nagle odcięci od waluty, od instrumentów finansowych, od łańcucha dostaw. Wiele rzeczy musieli stawiać od zera, czują się porzuceni, zdradzeni – w końcu wojna w Ukrainie wciąż cieszy się niemałą popularnością, więc nawet społeczność biznesowa nie rozumie, dlaczego Zachód w takim pośpiechu się z Rosji wycofał. ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ W ich mniemaniu wcale nie musiał tego robić, bo przecież wojna jest sprawiedliwa, po co więc sankcje, koniec inwestycji? Jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie te czynniki, widać jak na dłoni, że powrót do Rosji, jeśli w ogóle się wydarzy, będzie bardzo trudny.

Ale ci, którzy wrócą, do czego właściwie będą wracać? Mam wrażenie, że Zachód nie umie się zdecydować, jaka jest realna kondycja rosyjskiej gospodarki. Raz czytam, że się wali od środka, raz – że jest wyjątkowo stabilna, bo napędzają ją zamówienia wojenne.

Rosyjska gospodarka nie jest na granicy upadku, ale nie jest też w dobrym stanie. Ten upadek był zapowiadany od kilku lat i ciągle nie następuje, choć ja sam staram się nie brać udziału w tej dyskusji. Moim zdaniem ona jest w dużej mierze bezprzedmiotowa, bo jeśli te cztery lata nauczyły nas czegokolwiek, to na pewno tego, że Putin nie bierze pod uwagę kwestii gospodarczych przy podejmowaniu decyzji o prowadzeniu wojny.

Charles Hecker – brytyjski analityk, dziennikarz, ekspert od rosyjskiej gospodarki i relacji Rosji z Wielką Brytanią. Przez lata pracował dla „Miami Herald" i „The Moscow Times". Pełni funkcje doradcze na Wydziale Slawistyki University College London i w Davis Center na Harvardzie. Jego najnowsza książka „Zero Sum. The Arc of International Business in Russia" opowiada o zachodnich inwestycjach w Rosji po 1989 r.

To nie jest konflikt ekonomiczny, tylko polityczny. On się opiera na narracji o dobrej Rosji i złym Zachodzie – i w tej narracji Rosja musi być zwycięzcą, musi podbijać, czyli w swoim mniemaniu wyzwalać, ratować kolejne terytoria. Putina nie obchodzi szeregowy Rosjanin jako jednostka czy w formie praw obywatelskich, czy tego, na co Rosjan stać jako konsumentów. Nie wydaje mi się, żeby przejmował się inflacją, ratami kredytów czy stabilnością gospodarczą i finansową rosyjskich gospodarstw domowych. To tematy ważne w krajach demokratycznych, bo mają przełożenie na decyzje w czasie wyborów. A Rosja to nie jest demokracja.

Tylko czy nie dojdzie w tej wojnie do momentu, w którym Putin zostanie zmuszony, żeby kwestie gospodarcze wziąć pod uwagę?

Przepraszam, ale wejdę na chwilę w rolę cynika. Zmuszony przez kogo? Przez co?

Przez rzeczywistość.

Żeby tak było, najpierw musielibyśmy się zgodzić, że Putin w ogóle żyje w świecie rzeczywistym.

A nie żyje?

Ja nie jestem co do tego przekonany. To oczywiście pewne uproszczenie, ale nie można zakładać, że przez głowę Putina przechodzą te same myśli, projekty i zmartwienia co przez głowy zachodnich liderów, nie mówiąc już o mieszkańcach Rosji czy jakiegokolwiek innego kraju na świecie. Jeśli cokolwiek martwi go w kwestiach gospodarczych czy poziomu życia, to jest to dobrobyt elit. Kreml nie analizuje opinii publicznej na masową skalę, ale bada opinię elit. A elity w Rosji mają się akurat bardzo dobrze. Wielu ich przedstawicieli znalazło przystań w spółkach zbrojeniowych albo firmach, które zarabiają na wojennym boomie, więc kontynuowanie walk w Ukrainie im się zwyczajnie opłaca. Póki ten stan rzeczy się utrzymuje, Putinowi nie zagraża żadna rewolta, przewrót pałacowy, ryzyko pochodzące z wewnątrz.

To schemat znany z każdej dyktatury w historii ludzkości. Przywódca musi zadowolić elity tak, żeby miały co robić, z czego czerpać korzyści i na co wydawać swoje pieniądze. Wszystkie produkowane w Rosji drony, czołgi, zestawy amunicji pozwalają na utrzymanie takiego stanu rzeczy. Rosyjska gospodarka jest znacznie bardziej zmilitaryzowana niż przed 2022 r. Co też jest problemem, bo nie da się z dnia na dzień przejść z produkcji czołgów na produkcję ciastek.

Jak to wygląda z perspektywy Rosji? Czy czasem nie jest tak, że Moskwie taki reset się opłaci, bo zidentyfikują pojedynczych inwestorów, zaproszą ich, pozwolą im zarobić i potem zaczną nimi manipulować?

To jest akurat bardzo ważna kwestia, bo reset wcale nie musi dotyczyć wszystkich i nie wszyscy, w domyśle nie całe gospodarki, muszą na nim korzystać. W tym miejscu warto wrócić do Witkoffa i Dimitrijewa. Rolą tego drugiego nie jest wynegocjowanie możliwie najlepszych warunków partnerstwa gospodarczego pomiędzy Rosją i USA. On jeździ za ocean, żeby uwodzić bogatych amerykańskich biznesmenów, wciskając konkretnym osobom wizje inwestycji wartych miliardy dolarów. Tak było już w ubiegłym roku, kiedy pojechał na negocjacje rosyjsko-amerykańskie do Rijadu jako członek oficjalnej rosyjskiej delegacji, zabierając ze sobą dokumenty mówiące o 300 mld dol. potencjalnych zysków dla amerykańskich firm. Przekaz był prosty: wszystko to będzie wasze, jeśli do nas wrócicie.

W pewnym sensie to, że o inwestycjach rozmawia się w taki sposób, nie jest akurat dziwne. Z tego, co wiadomo publicznie, na razie Moskwa i Waszyngton rozmawiają o sektorach strategicznych, jak energetyczny – i tu rozmowy na szczeblu rządowym są całkowicie normalne. Trudno się spodziewać, żeby w takim gronie rozmawiano o produkcji mebli, ubrań, samochodów czy innych zwykłych dóbr konsumpcyjnych. Następne w kolejce są metale ziem rzadkich, minerały, pewnie też sektor farmaceutyczny. Rosjanie najpierw chcą ściągnąć zachodni kapitał właśnie w te obszary, a potem ewentualnie pozwolić rozszerzać działalność europejskim czy amerykańskim firmom. Ale oczywiście nie każdemu się uda. Może Witkoff zrobi coś, co spowoduje, że ExxonMobile uzyska dobre warunki inwestycyjne albo Boeing, albo inny gigant surowcowy czy przemysłowy. Tylko czy to naprawdę oznaczałoby reset dla całej rosyjskiej gospodarki? Absolutnie nie.

A co z sankcjami? Bez ich ściągnięcia nie ma mowy o inwestycjach, a wycofanie amerykańskich sankcji sprawiłoby, że te europejskie nie mają już większego sensu. Będzie efekt domina?

Podejrzewam, że to w tej chwili jedna z najważniejszych kwestii dla przyszłości europejskich gospodarek, ale też dla przyszłości samej Rosji. Teoretycznie wydaje się, że kiedy Amerykanie wycofają sankcje, zwłaszcza na rosyjskie węglowodory, Europa zrobi to samo, bo reżim sankcyjny nie będzie już tak skuteczny. Wtedy kraje takie jak Norwegia, które bardzo dużo zarabiają na usunięciu rosyjskich surowców z europejskiego rynku, mogą powiedzieć, że nie chcą dalej wspierać Ukrainy, bo wyczerpały im się źródła przychodu. Ale jest też druga strona tego medalu. Odkąd Europa przestała sprowadzać gaz i ropę z Rosji, znacznie więcej surowców, zwłaszcza LNG, kupuje ze Stanów Zjednoczonych. Amerykański sektor energetyczny zarabia na tym potężne pieniądze. Gdyby doszło do zniesienia sankcji, ta społeczność biznesowa, niemała i bardzo bogata, zaczęłaby wyrażać swoje niezadowolenie. Niewykluczone więc, że powrót rosyjskich

eprasa.pl c085a3b354

surowców na europejski rynek zostanie przeprowadzony przy pewnych ograniczeniach. Na przykład, że państwa Unii Europejskiej będą mogły sprowadzać tylko pewną ich ilość w określonych odstępach czasowych. Wtedy amerykański rynek się nie zawali, Norwegowie będą zadowoleni i wszystko zostanie po staremu. Nie wiem, czy tak będzie, ale to z pewnością najważniejsze pytanie, jeśli chodzi o przyszłość relacji gospodarczych Rosji z Europą.

Istnieje scenariusz, w którym Amerykanie wycofują swoje sankcje, a Europa jednak nie decyduje się na powrót do rosyjskiej ropy i gazu?

Sankcje zostały wprowadzone w 2022 r. po to, żeby osiągnąć pewien poziom symetrii. Europejskie i amerykańskie sankcje na Rosję różnią się bardzo nieznacznie, jeśli w ogóle. Jeśli zostaną usunięte asymetrycznie, jednostronnie, to pojawia się problem. Utrzymanie europejskich sankcji bez amerykańskiego odpowiednika byłoby ekstremalnie trudne. Z politycznego punktu widzenia być może Europa byłaby w stanie to zrobić, bo incydent wokół Grenlandii pokazał, że w sytuacji całkowitego kryzysu Unia potrafi jednak mówić w miarę jednolitym głosem. Ale gdyby do tego doszło, wyobrażam sobie, że europejski biznes krzyczałby z niezadowolenia, bo to zabija ich konkurencyjność względem Amerykanów. Poza tym rozmontowywanie struktur sankcyjnych to dość złożony proces, który trudno kontrolować. Kiedy wyjmie się jeden klocek, pozostałe szybko zaczynają się sypać.

Jaka jest logika sankcji wtórnych? Bo jeśli Trump w ogóle mówi o sankcjach, to właśnie o wtórnych – że opodatkuje kraje, które kupują rosyjską ropę, głównie Chiny i Indie, nałoży na nie cła, ale w Rosję wciąż boi się uderzyć. To kwestia polityczna czy może coś zupełnie innego?

To w ogóle nie chodzi o Rosję, tylko o projekcję siły. Przecież te wtórne sankcje nie zostały nałożone, a teraz, po wybuchu wojny z Iranem, Indie znowu mogą kupować rosyjską ropę. Trump wie, że nie może nałożyć dodatkowych ceł na Chiny, bo licytacja celna z Pekinem doprowadzi do całkowitej implozji światowej gospodarki. Zresztą wiemy już, że prezydent USA kocha przede wszystkim uwagę całego świata, wielokrotnie straszył wielkimi konsekwencjami, ale nic z tego nie wychodziło.

Cała nasza rozmowa kręci się wokół sankcji i resetu z Rosją. Z punktu widzenia Polski to bardzo ważne, ale czy reszta Europy i Wielka Brytania rozumieją znaczenie tego tematu?

Na pewno nie wszyscy i nie w tym samym stopniu. A szkoda, bo nie ma ważniejszej kwestii w tej chwili w Europie. W rozmowie o sankcjach nie chodzi tylko o pieniądze ani o to, kto zyska dostęp do rosyjskiego rynku i czy rosyjska ropa wróci do Europy. To jest dyskusja o tym, w którą stronę ma podążać kontynent. Albo układamy się z Putinem i przy okazji ktoś zarobi pieniądze, albo kontynuujemy wsparcie militarne i finansowe dla Ukrainy. Niewielu w Wielkiej Brytanii rozumie, że Rosja już walczy z nami wszystkimi, choć nie za pomocą czołgów czy konwencjonalnej broni. Dezinformacja, szantaż, sabotaż, ataki na naszą infrastrukturę krytyczną – to wszystko wojna, choć pod inną postacią.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

© FACEBOOK

REKLAMA

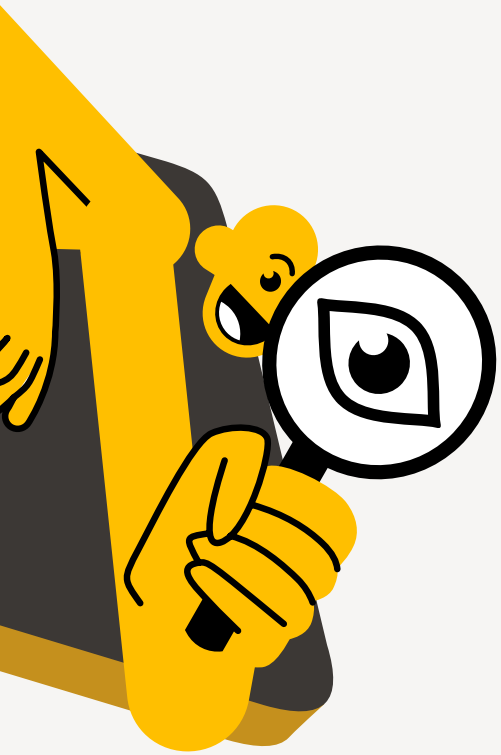

CODZIENNIE
w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia

GAZETA wyborcza

eprasa.pl c085a3b354

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Kopiuj i popraw

Moralizujący bogowie nie stworzyli cywilizacji, ale pomogli ją utrzymać, a rozwój społeczeństw napędzały rolnictwo i wojna – twierdzi brytyjski antropolog Harvey Whitehouse, autor książki „Dziedzictwo. Ewolucyjne początki współczesnego świata".

KASPER KALINOWSKI: **– Konformizm, religijność i trybalizm. To dzięki nim homo sapiens podbił świat?**

HARVEY WHITEHOUSE: – Myślę, że te trzy cechy umożliwiają nam zwiększenie złożoności współpracy do stopnia, jakiego nie osiągnął żaden inny gatunek. W przypadku konformizmu najważniejszy jest mechanizm naśladownictwa, który odegrał kluczową rolę w przekazywaniu i zachowaniu wiedzy kulturowej. Każde pokolenie tworzy wspaniałe innowacje, ale byłyby bezużyteczne, gdybyśmy nie potrafili ich skopiować i przekazać. W książce opisuję też, jak nasze intuicje religijne i trybalizm zostały wykorzystane przez instytucje w celu osiągnięcia współpracy na olbrzymią skalę. Jeszcze 10 tys. lat temu nikt nie mógł sobie wyobrazić systemu politycznego łączącego miliony ludzi.

W konformizmie jest coś dziwnego – tylko my, ludzie, potrafimy precyzyjnie naśladować działania, które nie mają jasnego celu. Co nam daje ta „supermoc"?

Psycholodzy od dawna wiedzą, że jeśli pokażemy dzieciom przezroczyste pudełko, które zawiera nagrodę, a między czynności niezbędne do jego otwarcia wplecie się coś zupełnie bezcelowego, np. pukanie w pudełko piórkiem, dzieci wiernie to powtórzą. Stosujemy strategię „kopiuj wszystko, popraw później". To przydatne przy nauce skomplikowanej technologii,

eprasa.pl c085a3b354

której na wczesnym etapie nie rozumiemy. Zakładamy, że później wszystko ułoży się w logiczną całość.

Uważam jednak, że kopiujemy również niepotrzebne czynności z innego powodu – aby nawiązać więź z osobą, którą naśladujemy. Eksperymenty pokazują, że jeśli usuniemy cel końcowy, dzieci – zwłaszcza te, u których wzbudzono lęk przed wykluczeniem społecznym – powielają bezcelowe działania jeszcze dokładniej.

Dziś, w dobie iPhone'ów i ChatGPT, wciąż mamy tysiące rytuałów. Ich funkcją jest wzmacnianie grup?

Wszystko zależy od tego, jak zdefiniujemy rytuał. W moich badaniach skupiam się na aspekcie kopiowania konwencji i zwyczajów, który określiłem jako „nieodwołalnie przyczynowo nieprzejrzysty" – nie ma w nim znanego związku przyczynowego między działaniem a zamierzonym rezultatem. Są zatem instrumentalnie bezcelowe. Takie rytuały służą jako wyznaczniki tożsamości i naśladujemy je, aby związać się z innymi. Koszty bycia poza nią w naszej historii ewolucyjnej były ogromne. Wykonywanie rytuałów to świetny sposób na przypodobanie się grupie i zapewnienie sobie bezpiecznej pozycji. Rytuały nie znikną zatem tylko dlatego, że żyjemy w zaawansowanym technologicznie świecie.

Czy rytualizacja jest kluczem do sukcesu religii na całym świecie?

Jeśli przez sukces rozumiemy zdolność organizacji religijnej do przetrwania i wzrostu, to tak. Różne religie wykorzystują jednak rytuały do rozwiązywania odmiennych problemów. Np. jeśli religia jest jedyna na jakimś obszarze, nie służy przyciąganiu nowych członków. Ale religie ewangelikalne, które konkurują o wiernych, tworzą atrakcyjne nabożeństwa przypominające koncerty rockowe. Stworzyłem teorię „trybów religijności", która tłumaczy to szczegółowo. Prowadząc badania w Papui-Nowej Gwinei, dostrzegłem dwa wymiary życia religijnego: jeden oparty na częstych, zrutynizowanych rytuałach budujących duże populacje, i drugi – oparty na rzadkich, spójnych działaniach w małych grupach. Później, wspólnie z Quentinem Atkinsonem, stworzyłem bazę danych ponad 70 kultur i setek rytuałów. Odkryliśmy coś szokującego – częste, mniej wymagające rytuały zyskują na znaczeniu tam, gdzie rolnictwo staje się intensywne. To tzw. tryb doktrynalny, który zaczął wypierać rzadszy, bardziej ekstatyczny.

Na czym polegają?

Tryb doktrynalny jest oparty na częstych i zrutynizowanych rytuałach. Cechuje go częstotliwość powtarzania działań przy niskim poziomie pobudzenia emocjonalnego. Umożliwia to standaryzację wierzeń i praktyk w bardzo dużych populacjach, co sprzyja budowaniu rozległych, szybko rozprzestrzeniających się tożsamości religijnych. Sięgają po niego wszystkie wielkie religie. Już w prehistorycznym Çatalhöyük, jednym z pierwszych regionów na świecie, gdzie uprawianie roli się upowszechniło, zaczęły się pojawiać ustandaryzowane symbole, takie jak pieczęcie oraz konkretne wzory na ceramice, wspólne dla dużych społeczności.

Drugi tryb skupia się na działaniach o niskiej częstotliwości, które wywołują silne pobudzenie emocjonalne. Obejmują bolesne rytuały inicjacyjne i doświadczenia związane z walką na froncie. Wspólne przeżywanie jej koszmaru powoduje „fuzję tożsamości", w której bojownicy mogą się stać bardziej lojalni wobec towarzyszy z batalionu niż wobec własnej rodziny. Wczesne społeczeństwa łowców-zbieraczy opierały się na sporadycznych, nieregularnych rytuałach zbiorowych, które budowały silną więź w małych grupach. Dlatego tak wiele tradycyjnych społeczności, które potrzebują silnej spójności społecznej, aby przetrwać, praktykuje również niezwykle bolesne rytuały inicjacyjne. Podobne praktyki można zaobserwować również we współczesnych grupach wojskowych i paramilitarnych, gangach ulicznych, komórkach terrorystycznych, a nawet niektórych grupach agresywnych kibiców piłkarskich.

Czy dzieci na bezludnej wyspie, bez żadnej edukacji etycznej, po kilku pokoleniach stworzyłyby własną religię i rytuały?

Myślę, że zrobiłyby to spontanicznie już w pierwszym pokoleniu. W trudnych chwilach czułyby pokusę odprawiania magicznych rytuałów. Określamy to zjawisko „dziką religią", bo nie potrzebuje instytucji, aby przetrwać, i rozsiewa się naturalnie jak nasiona na wietrze. Nawet w najbardziej świeckim kraju rodzimy się z pewnym rodzajem myślenia religijnego. Mamy dowody, że jeszcze przed opanowaniem mowy dzieci zauważają różnicę między bytami nadprzyrodzonymi a naturalnymi. Co ciekawe, już wtedy oczekują, że te nadprzyrodzone będą dominujące społecznie.

Jesteśmy więc „urodzonymi teistami"? A wrodzone koncepcje z czasem ulegają ustrukturyzowaniu?

Religie jednoczące wielkie populacje wyłaniały się bardzo długo. Ich początków możemy szukać w pierwszych społecznościach rolniczych ok. 10 tys. lat temu. Wcześniej, przez większość prehistorii, nie było religii doktrynalnych w dzisiejszym sensie. Te mają tendencję do tworzenia rozbudowanych systemów wierzeń, których opanowanie wymaga specjalistycznej wiedzy. W ten sposób powstały profesjonalne kapłaństwo, klasztory i szkoły teologiczne. Jednak nawet w rdzeniu tych religii można znaleźć uniwersalne, intuicyjne idee. Ostatecznie Duch Święty w teologii chrześcijańskiej pozostaje tylko duchem.

A co z pomysłami wojujących ateistów, jak Richard Dawkins czy Christopher Hitchens, którzy twierdzą, że powinniśmy wyeliminować religię?

Istnieją dwa rodzaje ateistów. Ci, o których pan wspomniał, uważają religię za coś złego. Ale są też ateiści tacy jak ja, którzy badają religię z naukowego punktu widzenia i twierdzą, że zjawisko to nie zniknie, bo jest naturalną cechą naszej psychiki, powstałej w toku ewolucji. Najlepsze, co możemy zrobić, to wykorzystać ten fenomen w sposób, który przyniesie korzyści ludzkości. Może być wielką siłą czyniącą dobro. Np. prawie wszystkie większe religie popierają troskę o planetę i przyrodę.

Czy religia była też głównym czynnikiem umożliwiającym powstawanie dużych, złożonych społeczeństw?

Popularna hipoteza „Wielkich Bogów" głosi, że karzące bóstwa moralizujące napędzały wzrost współpracy i zaufania między obcymi ludźmi. Jednak nasze badania oparte na ogromnym materiale historycznym doprowadziły do innych wniosków. Stworzyliśmy ogromną bazę danych obejmującą tysiące lat historii świata, 30 regionów geograficznych i setki systemów politycznych. Wyróżniliśmy 51 cech złożoności społecznej (takich jak liczebność populacji, hierarchia, biurokracja czy infrastruktura) i zestawiliśmy je z danymi na temat wierzeń religijnych. Dzięki analizie statystycznej ustaliliśmy precyzyjną chronologię procesów.

Największy wzrost złożoności społecznej nastąpił *przed pojawieniem się* moralizujących bogów. Rozwój społeczeństw był napędzany przede wszystkim przez dwa czynniki. Pierwszym była intensyfikacja rolnictwa, tj. skala produkcji żywności, która determinowała liczbę osób, które można było wyżywić, w tym nieproduktywne elity. Drugim była technologia wojskowa i wojna. Analizy statystyczne wykazały, że gwałtowne skoki złożoności ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ następowały po innowacjach w uzbrojeniu (np. broń z brązu, rydwany, łuki kompozytowe). Wojna zmuszała mniejsze grupy do łączenia się w większe i lepiej zorganizowane struktury.

Niemniej jednak hipoteza Big Gods jest cenna, ponieważ może pomóc wyjaśnić, co pozwoliło funkcjonować wieloetnicznym imperiom, gdzie potrzebny był wspólny kodeks moralny.

Wojna jako czynnik postępu – dla wielu to prowokacyjna teza.

Niestety, intensywność działań wojennych, mierzona rozwojem technologii zabijania, jest silnym czynnikiem wpływającym na złożoność społeczną. Imperia na ogół rozprzestrzeniały się dzięki dominacji militarnej. Dziś jednak wojna nie może dłużej być sposobem na zwiększanie skali współpracy.

Gdzie można prześledzić, jak zmieniały się praktyki religijne wraz ze wzrostem złożoności społecznej?

Świetnym przykładem jest Çatalhöyük. Znajdujemy tam dowody na ok. 2 tys. lat osadnictwa. W miarę jak intensyfikowało się rolnictwo, widzimy ślady zmiany: od sporadycznych, nieregularnych rytuałów zbiorowych, typowych dla łowców-zbieraczy, w stronę coraz częstszych i ustandaryzowanych praktyk.

W najwcześniejszych fazach istnienia osady dominowały rytuały wyobrażeniowe – rzadkie, ale emocjonalnie intensywne wydarzenia, takie jak wspólne drażnienie ogromnych, dzikich byków. Jednak z czasem rytuały w Çatalhöyük przeniknęły głębiej do życia codziennego. Domostwa stały się wręcz miniaturowymi świątyniami. W zapisie archeologicznym natrafiamy na dowody specyficznych, powtarzalnych praktyk. Rutyna sprzyjała ujednoliceniu kultury materialnej, co widoczne jest w standaryzacji wzorów ceramiki i pieczęci w późniejszych warstwach osady.

Kluczowym elementem spajającym społeczność Çatalhöyük był silny związek ze zmarłymi. Szczątki ludzkie grzebano pod podłogami domów, a następnie wielokrotnie, na przestrzeni wielu pokoleń, wydobywano i ponownie chowano. Niektóre domostwa, zwane domami historii, pełniły funkcję repozytoriów pamięci – lokowano w nich więcej pochówków, malowideł ściennych i trofeów zwierzęcych niż w innych.

Te same mechanizmy psychologiczne, które pozwoliły nam budować imperia i złożone społeczeństwa, prowadzą nas obecnie na ścieżkę samozniszczenia?

Tak, w mojej książce pokazuję jednak, że ten sam mechanizm może skłaniać ludzi do datków na cele charytatywne czy ochrony planety przed zmianami klimatu. Jeśli pomyślimy o całej ludzkości jako o gigantycznej rodzinie mającej wspólnych przodków – co jest faktem biologicznym – możemy przeskalować fuzję na cały gatunek.

Tylko że nasz nowoczesny cyfrowy świat nie jest czymś naturalnym. Przyspiesza rozpad.

Zgadzam się, że może to robić. Media społecznościowe prawdopodobnie wywierają efekt polaryzujący. Algorytmy karmią nas tym, co nas interesuje. Jeśli klikam w informacje pokazujące cierpienie mojej grupy, takie obrazy stają się coraz bardziej sugestywne. To sprawia, że czuję silną potrzebę obrony „swoich" i wrogość wobec „obcych", których postrzegam jako sprawców krzywd. Mechanizm, który ułatwia reklamodawcom zarabianie pieniędzy, wpędza nas do ideologicznych bunkrów.

Harvey Whitehouse – brytyjski antropolog, profesor na Uniwersytecie Oksfordzkim oraz dyrektor Centre for the Study of Social Cohesion. Zajmuje się ewolucją religii, rytuałów i współpracy społecznej. Twórca teorii trybów religijności oraz współautor badań nad rolą religii w powstawaniu złożonych społeczeństw, m.in. w projekcie Seshat: Global History Databank. Rozmowę ze współtwórcą tej bazy danych Peterem Turchinem znajdą Państwo w POLITYCE 13/25.

Prowadził pan badania również w Polsce w związku z polaryzacją w debacie o aborcji. Co udało się ustalić?

Obie strony sporu podzielają te same siedem podstawowych intuicji moralnych (pomoc krewnym, lojalność, wzajemność, odwaga, szacunek wobec autorytetów, sprawiedliwość, własność). To niezależny od kultury ludzki kompas moralny. W badaniach, które przeprowadziliśmy w 60 zróżnicowanych kulturach, wykazaliśmy, że w 99,9 proc. przypadków zachowania zgodne z tymi zasadami były oceniane jako moralnie słuszne. Problem w tym, że w przypadku aborcji ludzie stosują je w odmienny sposób.

Pewne tematy sprawiają, że niektóre cechy naszego repertuaru moralnego stają się ważniejsze od innych. W Polsce osoby po stronie *pro-choice* silniej podkreślały lojalność, w tym przypadku lojalność wobec „siostrzeństwa" i praw kobiet. Z kolei strona *pro-life* bardziej koncentrowała się na szacunku dla autorytetu (Kościoła lub rządu) oraz na odwadze, rozumianej jako gotowość do przyjęcia obowiązku macierzyństwa i stawienia czoła konsekwencjom.

Jednym z najbardziej poruszających tematów w pańskiej książce są postawy bojowników w Libii. Co decyduje o ich gotowości do poświęcenia życia?

W czasie arabskiej wiosny (2010–12) przeprowadziliśmy ankietę wśród dużej grupy batalionów rewolucyjnych w Misracie. Odkryliśmy, że żołnierze walczący na froncie częściej chcieli ratować towarzyszy broni niż własne rodziny. Nasza teoria sugeruje, że to wspólne, intensywne frontowe doświadczenie zwiększyło spójność grupy i gotowość do poświęcenia się na jej rzecz.

W przypadku badania w Libii nie mogliśmy wykluczyć możliwości, że żołnierze zdecydowali się walczyć na froncie, ponieważ wcześniej byli już zintegrowani. Jednak w późniejszych badaniach wykazaliśmy, że nawet jeśli żołnierze nie mają kontroli nad swoim rozmieszczeniem, intensywność wspólnego cierpienia w walce pozwala przewidzieć wysoki poziom więzi grupowych. To stan, w którym tożsamość osobista i grupowa całkowicie się pokrywają.

Pisze pan, że lekarstwem na trybalizm jest… plemienność. Jak to rozumieć?

Wróćmy do algorytmów mediów społecznościowych, które mogą nas tak silnie polaryzować, koncentrując naszą uwagę na cierpieniu własnej grupy. Kiedyś przeprowadziliśmy eksperyment z przemówieniem polityka na temat konfliktu w Strefie Gazy. Przygotowałem wersję, która skupiała się na wspólnym cierpieniu obu stron, i pokazywałem ją badanym. Obejrzenie tego krótkiego filmu miało pozytywny wpływ na poziom zespolenia z „innymi", zwiększyło zaufanie. Efekt był widoczny kilka dni później.

Wyobrażam sobie, że moglibyśmy wprowadzić tzw. algorytmy pomostowe, dzięki którym za każdym razem, gdy klikam na coś pokazującego cierpienie mojej grupy, system ukazywałby mi również cierpienie drugiej strony. Uważam, że mogłoby to być zarówno opłacalne komercyjnie, jak i uzdrawiające psychologicznie. Możemy wykorzystać cechy naszej natury, aby uzyskać większe poparcie dla pokojowych rozwiązań w czasach konfliktu. Da się to osiągnąć, jeśli wykorzystamy to, czego nauczyliśmy się o powstałej w toku ewolucji psychologii i historii – naszym wspólnym dziedzictwie.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© FACEBOOK

eprasa.pl c085a3b354

Babka Ziemia

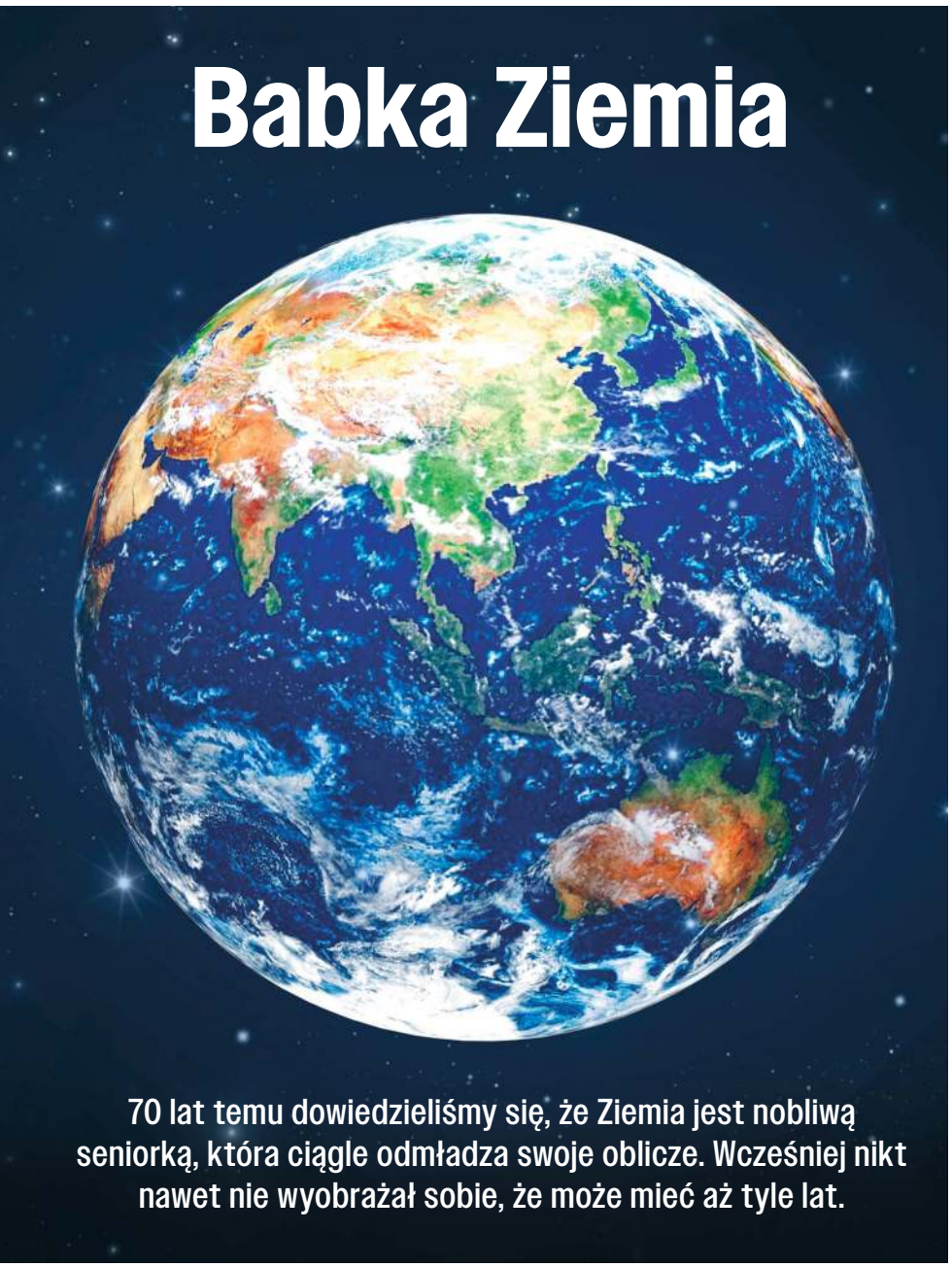

70 lat temu dowiedzieliśmy się, że Ziemia jest nobliwą seniorką, która ciągle odmładza swoje oblicze. Wcześniej nikt nawet nie wyobrażał sobie, że może mieć aż tyle lat.

ANDRZEJ HOŁDYS

Czas jest naszą obsesją. Odmierzamy go nieustannie – zarówno na użytek prywatny, jak i na potrzeby stworzonej przez nas cywilizacji technicznej, która rozsypałaby się błyskawicznie, gdybyśmy zatrzymali zegary. Aby go mierzyć, stworzyliśmy długą listę jednostek: od najmniejszych, jak attosekunda, po ogromne, jak era czy eon. Obie skrajności są trudne do wyobrażenia – właściwie niewyobrażalne. Z percepcją czasu radzimy sobie bowiem znacznie gorzej niż z jego pomiarem. Ogarniamy to, co mieści się w ludzkiej skali, rozpiętej gdzieś między sekundą a setką lat, których dożycia życzymy sobie wzajemnie w urodzinowych życzeniach. Głowa wyćwiczona w podróżach historycznych być może jeszcze poradzi sobie z wyobrażeniem kilku tysiącleci, jakie upłynęły od zbudowania piramid egipskich, ale jak pojąć dystans liczony w milionach lat, nie mówiąc już o miliardach?

Jest to tym trudniejsze, że jeszcze do niedawna nikt nie wiedział, jak stary jest nasz glob. Najwybitniejszym XIX-wiecznym uczonym nie przyszłoby do głowy, że w jego „akcie urodzenia" trzeba będzie wpisać dziesięciocyfrową liczbę. Dowiedzieliśmy się tego dopiero na początku XX w., a dokładną metrykę poznaliśmy 70 lat temu, gdy pewien geochemik z amerykańskiego California Institute of Technology sięgnął po fragmenty meteorytu, który dawno temu spadł w Arizonie.

Ów naukowiec nazywał się Clair Patterson, a jego pasją – i później także przekleństwem – stał się pierwiastek ołowiu. W styczniu 1956 r. wysłał do czasopisma „Geochimica et Cosmochimica Acta" artykuł, w którym opisał, jak dzięki trzem izotopom ołowiu i kilku kawałkom meteorytów określił wiek Ziemi.

Jednak Patterson nie pojawił się znikąd. Przed nim był ktoś, kto podjął trud przełamywania starych schematów myślenia o dziejach Ziemi. Jak zawsze, stare trzymało się mocno – nauka nie jest tu żadnym wyjątkiem. Bez rewolucjonistów, często upartych samotników napotykających opór większości badaczy, którzy niechętnie przyjmują nowe idee, wciąż tkwilibyśmy w czasach przedkopernikańskich. Śmiałe teorie prowadzące do odrzucenia starego paradygmatu formułowali zwykle nieliczni – najczęściej młodzi lub outsiderzy, którzy nie zdążyli jeszcze nasiąknąć zbiorową mądrością swojej dyscypliny. Tak było również w tym przypadku. Ale po kolei, bo chronologia ma w tej historii kluczowe znaczenie...

Narodziny nowej metody

Pod koniec pierwszej dekady XX w. pewien młody człowiek zmagał się w uczelnianym laboratorium z próbkami skał, które wcześniej pracowicie zmielił. Wybierał z nich minerały, a następnie określał zawartość ołowiu i uranu. Było to zajęcie czasochłonne i monotonne, dla wielu wręcz potwornie nudne. Ów student należał jednak do osób wyjątkowo upartych. Każdego ranka pojawiał się w pracowni i zasiadał nad aparaturą, odchodząc od niej dopiero po kilkunastu godzinach. Tak wyglądały jego dni przez wiele miesięcy. Był całkowicie pochłonięty swoją pracą, jakby była wciągającą grą. W końcu dotarł do szczęśliwego finału.

Tym ambitnym studentem był Arthur Holmes. Urodził się w 1890 r. w północnej Anglii, a 17 lat później przybył ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c085a3b354

▶ do Londynu, by studiować fizykę i geologię w Imperial College of Science. Otrzymał stypendium, które ledwo wystarczało na przeżycie, ale początkowo nie miało to dla niego większego znaczenia. Holmesa interesowało tylko jedno: wyznaczenie wieku Ziemi za pomocą nowych metod, które pojawiły się wraz z odkryciem promieniotwórczości.

Pod koniec XIX w. lista odpowiedzi na pytanie o wiek Ziemi była już długa i zróżnicowana. Najbardziej skrajną – choć od dawna nietraktowaną poważnie – zaproponował w XVII w. irlandzki arcybiskup James Ussher, który po analizie Starego Testamentu uznał, że Ziemia powstała w 4004 r. p.n.e. Jednym z pierwszych, którzy uznali ten pogląd za niedorzeczność, był XVIII-wieczny francuski naturalista Georges-Louis Leclerc. W swoim laboratorium rozgrzewał żelazne kule i obserwował tempo ich stygnięcia, próbując w ten sposób oszacować, jak szybko Ziemia traciła ciepło. Doszedł do wniosku, że ma ona 75–150 tys. lat. Za tę śmiałość został potępiony przez teologów z ultrakatolickiej Sorbony.

Następne stulecie przyniosło odkrycia, które francuskich teologów mogłyby przyprawić o zawrót głowy. Na początku XIX w. geolodzy coraz częściej dochodzili do wniosku, że nasz glob jest zdecydowanie za młody jak na mnogość er, okresów i epok geologicznych, które z upodobaniem wydzielali. Do podobnych konkluzji dochodzili także biolodzy i paleontolodzy, znajdujący coraz liczniejsze skamieniałości wymarłych gatunków. Nie chcieli wierzyć, że cała ta menażeria przemaszerowała przez Ziemię w ciągu zaledwie kilkuset tysięcy lat, nie mówiąc już o wyliczeniach Usshera. Uczeni potrzebowali nie dziesiątek, lecz setek milionów lat. Nikt jednak nie miał pojęcia, jak je wyliczyć.

Wtedy pojawił się lord Kelvin. Ten wielki fizyk zainteresował się wiekiem Ziemi w latach 60. XIX w., a następnie przez cztery kolejne dekady regularnie powracał do tego tematu, dysponując przy tym znaczną siłą przekonywania. Kelvin przyjął, że nasz glob był początkowo kulą płynnej magmy, która stopniowo stygła. Ocenił, że potrzeba od ok. 20 do 40 mln lat, aby temperatura na jego powierzchni osiągnęła obecne wartości. W kolejnych wyliczeniach starał się zawęzić margines błędu. W ostatniej pracy z końca XIX w. dowodził, że Ziemia ma niemniej niż 20 mln lat i niewięcej niż 40 mln lat.

Już w XVIII w. Georges-Louis Leclerc stwierdził, że Ziemia ma 75–150 tys. lat. Arthur Holmes (z prawej) **w 1911 r. ogłosił, że liczy ona 1,6 mld lat, po drugiej wojnie wydłużył jej wiek do 3,35 mld lat.**

W czasie, gdy lord Kelvin wykonywał obliczenia do swojej ostatniej pracy na temat wieku Ziemi, inny fizyk Antoine Henri Becquerel ze zdumieniem odkrywał w Paryżu, że istnieją substancje emitujące tajemnicze promieniowanie, które prześwietla płytę fotograficzną. Było to w styczniu 1896 r. Dalsze badania nad promieniotwórczymi związkami prowadzili Maria Skłodowska-Curie i jej mąż Piotr Curie. Cała trójka otrzymała za to Nagrodę Nobla w 1903 r. Mniej więcej wtedy Ernest Rutherford i jego młodszy kolega Frederick Soddy zauważyli, że atomy jednych pierwiastków radioaktywnych przekształcają się w atomy innych pierwiastków, a zmianie tej towarzyszy emisja różnych rodzajów promieniowania. Ustalili też, że każdy pierwiastek promieniotwórczy ma stałe tempo zaniku. Kolejny badacz Bertram Boltwood odkrył, że końcowym produktem rozpadu uranu jest ołów. Swoje badania przedstawił w 1907 r.

Rewolucjonista Holmes

W tym samym 1907 r. zdarzyły się jeszcze dwie ważne rzeczy. Umarł 83-letni lord Kelvin, a 17-letni Arthur Holmes zgłosił się do Imperial College, by prowadzić badania, które zlecił mu jego przełożony i mentor Robert Strutt, profesor fizyki i czwarty baron Rayleigh w jednej osobie. Najpierw do analiz trafiły skały z Norwegii. Pochodziły z dolnego dewonu. Geolodzy potrafili już z dużą precyzją ustawiać po kolei warstwy skalne. Wiedzieli, które z nich są młodsze, a które starsze. Nie mieli jednak bladego pojęcia, czy liczą dziesiątki tysięcy, czy może setki milionów lat.

Holmes miał się na początku dowiedzieć, jak stary jest dolny dewon. Sięgnął po metodę Boltwooda. Znał tempo zamiany uranu w ołów, teraz musiał zmierzyć zawartość obu pierwiastków w skałach. To była właśnie ta mozolna praca, nad którą biedził się miesiącami. W końcu dotarł do mety. Norweskie skały wedle jego wyliczeń miały – bagatela! – 370 mln lat. Zapachniało sensacją. Wszak dopiero co Kelvin dowodził, że cała planeta ma nieco ponad 20 mln lat. A przecież przed dewonem były inne okresy geologiczne. Zamówiono kolejny transport skał z różnych części świata. Pochodziły z karbonu, syluru, ordowiku oraz z ery prekambryjskiej. Te ostatnie przywieziono z trzech miejsc: Szwecji, USA i Cejlonu. Holmes określił ich wiek odpowiednio na 1,0–1,3 mld lat, 1,3–1,4 mld lat oraz 1,6 mld lat. To był szok. Wyglądało na to, że Ziemia może być setki razy starsza, niż dotychczas sądzono.

Pewnego marcowego dnia w 1911 r., gdy wszystkie badania były już zakończone, Holmes – pomiędzy śniadaniem a obiadem – napisał krótki artykuł, w którym ogłaszał rewolucję w pomiarach wieku Ziemi – i że może ona mieć 1,6 mld lat. Praca przeszła bez echa albo sprowokowała lekceważące komentarze. Wierzono Kelvinowi, a nie 21-latkowi. On jednak się tym nie przejął. Uznał, że odtąd jego powołaniem będzie rozwijanie metod datowania prastarych skał oraz ustalenie wieku Ziemi. Pełen młodzieńczej pasji postanowił też edukować starszych kolegów po fachu.

eprasa.pl c085a3b354

Swoje tezy powtórzył w opublikowanej dwa lata później niewielkiej książce „The Age of the Earth". Zaczynała się od słów: „Zapewne nie jest uprzejmie wypytywać Matkę Ziemię, ile ma lat. Jednak naukowiec nie powinien być nieśmiały, lecz śmiało dążyć do poznania sekretu".

Holmes faktycznie nie okazał respektu Ziemi i uczynił z niej staruszkę. Geologów zachęcał, aby poszli w jego ślady, ale chętnych do podjęcia trudnych badań nie było widać na horyzoncie, a stały się jeszcze bardziej żmudne po tym, jak Soddy odkrył w 1913 r. istnienie izotopów. Był to przełomowy moment w rozwoju metod datowania, jednakże fizycy nie interesowali się geologią, natomiast większość geologów ciągnęło w teren, a nie do laboratorium. Dlatego niemal nikt nie kibicował pionierskim badaniom. Niewielu je zresztą rozumiało.

Pewnego dnia Holmes zjawił się w siedzibie Geological Society w Londynie, aby opowiedzieć, jak można datować skały dzięki izotopom uranu i ołowiu. „Podczas dyskusji okazało się, że poza mną nikt nie wie, co to takiego są te izotopy" – wspominał rozczarowany. Co więcej, kolejne uczelnie odrzucały podania Holmesa o pracę. W końcu trafił na prowincjonalny uniwersytet w Durham, gdzie został jedynym pracownikiem nowo otwartego wydziału geologii. Mimo to ściągał skały z całego świata i datował, datował, datował. Uparcie wydłużał wiek Ziemi, dochodząc do 3 mld lat, co niektórzy uznali za przesadę, ale to on ostatecznie wygrał. Opór naukowego establishmentu słabł pod naporem trudnych do zignorowania faktów.

Genialny spektrometr

W nauce nowe instrumenty są równie ważne jak nowe teorie. Nie byłoby współczesnej astronomii bez teleskopu, biologii bez mikroskopu ani fizyki jądrowej bez akceleratorów cząstek – przykłady można mnożyć. Wieku Ziemi nie poznalibyśmy z kolei, gdyby nie genialny instrument zwany spektrometrem mas, dzięki któremu już w pierwszych dekadach XX w. zaczęto poznawać strukturę związków chemicznych, a także ich skład pierwiastkowy i izotopowy. W ten sposób odkryto, że ołów ma cztery stabilne izotopy o liczbach masowych 204, 206, 207 i 208. Tylko pierwszy z nich nie pochodzi z rozpadu promieniotwórczego cięższych pierwiastków, natomiast dwa kolejne – ołów-206 i ołów-207 – są końcowym produktem rozpadu – odpowiednio – uranu-238 i uranu-235. Oznacza to, że z czasem w materiale wyjściowym – niech będzie nim nowo powstała skała – zaczyna ubywać obu izotopów uranu, które w stałym tempie zastępowane są przez izotopy ołowiu. Znając tempo tych przemian oraz proporcje izotopów, można ustalić moment narodzin skały.

Z tej wiedzy skorzystał Holmes, gdy zaraz po drugiej wojnie światowej określił wiek Ziemi na 3,35 mld lat. Nawiasem mówiąc, podobny wynik – korzystając z identycznej metody datowania – uzyskał Fritz Houtermans, urodzony w Sopocie fizyk jądrowy, który również był postacią nietuzinkową (członek Niemieckiej Partii Komunistycznej, pracujący nad bombą atomową dla hitlerowskich Niemiec). Obaj jednak w swoich datowaniach wykorzystywali skały pochodzenia ziemskiego. Rzecz w tym, że powierzchnię naszej aktywnej geologicznie planety tworzą wielkie płyty litosfery, pozostające w nieustannym ruchu. W wyniku ich zderzeń oblicze globu jest stale odmładzane. Z tego powodu nie znajdziemy na nim skał z jego najwcześniejszego, „niemowlęcego" okresu.

Meteoryty Pattersona

Tym, który wpadł na genialny pomysł, by zamiast po skały ziemskie sięgnąć po meteoryty kamienne i żelazne, był Clair Patterson. Założył, że są pozostałościami prastarej materii, z której w krótkim czasie uformowały się w Układzie Słonecznym zalążki planet (planetozymale), a z nich planety. Ideę planetozymali Patterson pożyczył ze sformułowanej na początku XX w. hipotezy, wedle której Układ Słoneczny powstał w wyniku przejścia w pobliżu młodego Słońca innej gwiazdy. Wówczas miało utracić część materii, z której ulepione zostały najpierw mniejsze, a potem większe globy. Hipotezę tę odesłano później do lamusa, ale planetozymale pozostały i odgrywają kluczową rolę we współczesnych teoriach formowania się planet.

Patterson zaczynał tak samo jak Holmes – od ślęczenia całymi dniami w laboratorium. Jego mentor Harrison Brown zaraz po drugiej wojnie światowej wpadł na pomysł, by metodą ołowiową mierzyć wiek nie skał, lecz wchodzących w ich skład cyrkonów – niezwykle odpornych, niemal niezniszczalnych minerałów. Realizacja tego pomysłu okazała się zajęciem niezwykle żmudnym i większość ludzi uznałaby je za śmiertelnie nudne. Na dodatek niemal od razu okazało się, że próbki, które Patterson ściągał do pracowni, w krótkim czasie ulegały zanieczyszczeniu przez obecny w atmosferze ołów. Obecność tego ołowiu zaskoczyła go i uniemożliwiała datowanie. Wyjaśnienie zagadki odłożył na później, a tymczasem zajął się budową sterylnego laboratorium, w którym przystąpił do określania wieku cyrkonów. Po sześciu latach napisał obszerną publikację na ten temat, ale wiek Ziemi wciąż pozostawał nieznany.

Wtedy Patterson sięgnął po meteoryty – trzy kamienne i dwa żelazne – a w celach porównawczych także po próbki współczesnych osadów znad Pacyfiku i Atlantyku. Umieszczał je w spektrometrze mas, by określić proporcje izotopów ołowiu. Najważniejszy okazał się meteoryt, którego upadek utworzył Meteor Crater. Liczne kawałki kosmicznego intruza – największy z nich waży 639 kg – odnaleziono w ciągu ostatnich 200 lat w promieniu kilku kilometrów od miejsca jego upadku. Wiele odkryto w wąwozie Canyon Diablo, od którego przybysz z kosmosu otrzymał nazwę. Należy do klasy meteorytów żelaznych, bogatych w minerały, w tym troilit, będący siarczkiem żelaza. To w nim Patterson dokonał finalnego pomiaru wieku meteorytu. Gdy uzyskał wynik 4,55 mld lat (przy marginesie błędu wynoszącym 70 mln lat), był ponoć tak podekscytowany, że – jak pisze Bill Bryson w „Krótkiej historii prawie wszystkiego" – najpierw pojechał do szpitala, podejrzewając u siebie atak serca.

Kiedy ochłonął, usiadł do pracy nad publikacją opisującą przełomowe odkrycie, a następnie zajął się zagadką zanieczyszczeń ołowiowych unoszących się w atmosferze. Szybko wykazał, że pochodzą ze spalania benzyny ołowiowej, i rozpoczął trwającą trzy dekady kampanię na rzecz jej wyeliminowania. Napotkał przy tym ogromny opór ze strony branży naftowej i powiązanych z nią naukowców. Ostatecznie wygrał tę batalię, toczoną najpierw samotnie, a później wspólnie z garstką pediatrów badających spowodowane przez ołów zaburzenia rozwoju układu nerwowego u dzieci. Benzyna ołowiowa została wycofana (z małymi wyjątkami). W tym czasie inni badacze na podstawie badań kolejnych meteorytów doszli do wniosku, że Ziemia jest być może odrobinę młodsza i liczy 4,54 mld lat przy błędzie pomiaru wynoszącym 50 mln lat.

ANDRZEJ HOŁDYS

© FINE ART IMAGES/HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES, COMMONS WIKIMEDIA/PD

eprasa.pl c085a3b354

Brytyjski atak na pirackie miasto Ras al-Chajma nad cieśniną Ormuz w 1809 r., rycina z epoki

Zwornik świata

Persowie, Rzymianie, Portugalczycy, Brytyjczycy, Amerykanie – Zatoka Perska od zawsze przyciągała imperia. Ale żadne nie utrzymało się tam na stałe.

TOMASZ TARGAŃSKI

Latem 116 r. wody Zatoki Perskiej były świadkami niezwykłej sceny. Był to trzeci rok wojny, którą cesarz Trajan toczył z potężnym wschodnim rywalem Rzymu, królestwem Partów. Trajan spłynął na czele ogromnej floty wojennej w dół Eufratu i zajął starożytny Babilon. Następnie kazał przetoczyć swoje okręty przez błotniste równiny aż do Tygrysu i wraz z jego nurtem dotarł do położonej nad rzeką partyjskiej stolicy – Ktezyfonu. Zajął ją i spalił, dzięki czemu został panem całej Mezopotamii. Po czym ruszył jeszcze dalej na południe, aż do miejsca, gdzie rzeka wlewa się do Zatoki Perskiej. Stał się tym samym pierwszym i jedynym rzymskim cesarzem, który dotarł do jej wód. Na miejscu kazał wznieść swój pomnik jako świadectwo włączenia tego kraju do imperium. W symbolicznej scenie opisanej przez rzymskiego historyka Kasjusza Diona Trajan wpatrywał się w wody zatoki i zobaczywszy statek odpływający właśnie na Wschód, westchnął głęboko, żałując, że nie jest na tyle młody, by podążyć śladami Aleksandra Wielkiego i ruszyć ku Indiom.

Rzymskie marzenia

Trajan świadomie przywołał macedońskiego króla, ponieważ każdy rzymski cesarz marzył o dorównaniu mu i dotarciu na krańce ziemi. Ponad cztery wieki wcześniej w 324 r. p.n.e. Aleksander, wróciwszy z wyprawy do Indii, założył nad Zatoką Perską miasto – kolejną ze swoich Aleksandrii – i zaludnił je weteranami ze swojej armii. Gdyby nagła śmierć kilka miesięcy później nie zniweczyła jego planów, macedoński zdobywca uczyniłby je punktem wyjścia nowej ekspedycji, zmierzającej

© MARY EVANS/BE&W, DP

eprasa.pl c085a3b354

do opanowania Półwyspu Arabskiego. Aleksander miał daleko idące plany wobec całego regionu. Wedle greckiego historyka Flawiusza Arriana chciał skolonizować wybrzeże zatoki, ustanowić tam porty i uczynić akwen swoistym pomostem pośredniczącym w handlu między Egiptem i Morzem Śródziemnym z jednej strony a Indiami z drugiej.

Aleksandria nad Tygrysem (gr. *Charax Spasinu* – jak ją wtedy nazywano) przetrwała rozpad imperium swojego założyciela i przez kilka wieków odgrywała rolę jednej z najważniejszych metropolii handlowych starożytności, spajającej świat od Mezopotamii po Indie. To przez jej port przepływały towary z Dalekiego Wschodu, by następnie trafiać do wielkich ośrodków w głębi lądu, takich jak Babilon czy Suza. Ale w III w. n.e. po dawnej świetności nie było już śladu. Można powiedzieć, że zdecydowała sama natura. Rzeka Tygrys stopniowo przesuwała swoje koryto na zachód, a wody zatoki cofnęły się do tego stopnia, że miasto znalazło się w głębi lądu, odcięte od szlaków wodnych.

Panowanie Rzymu w regionie okazało się efemerydą. Trajan szybko stracił swoje zdobycze. Zarówno ekspedycja tego cesarza, jak i wcześniejsza wyprawa Aleksandra były pierwszymi „interwencjami" nad Zatoką Perską. I choć działają one na wyobraźnię, to stanowią tylko przerywniki w długiej historii tego akwenu, którego dzieje są naturalną częścią Oceanu Indyjskiego. I to właśnie tam, na Wschód, zwrócony był wektor aktywności jego mieszkańców.

Z lewej Ocean Indyjski, z prawej Morze Śródziemne, ich wody zbliżają się do siebie tam, gdzie Bagdad łączy się z Zatoką Perską, mapa świata z X w.

Perska dominacja

Greccy i rzymscy geografowie uważali Zatokę Perską za część Morza Erytrejskiego (gr. *Erythra Thálassa*, dosł. Morze Czerwone), które obejmowało ogromne przestrzenie od Morza Czerwonego i Rogu Afryki aż po Ocean Indyjski i ujście Indusu. To za pośrednictwem tego akwenu bogactwa Wschodu trafiały na Zachód. Były to przede wszystkim diamenty, złoto, kość słoniowa, jedwab, żółwie skorupy oraz pieprz nazywany przez starożytnych czarną jagodą, który – jak podejrzewał Pliniusz Starszy – mógł być zbierany jedynie przez małpy i dopiero po zmieleniu zmieniał się w przyprawę. Persja Achemenidów była jedynym starożytnym imperium, które podjęło realne kroki, aby zjednoczyć cały obszar Morza Erytrejskiego pod swoim panowaniem. Jej władca Dariusz I Wielki (550–486 p.n.e.) podbił Egipt i zapewnił sobie kontrolę nad Morzem Czerwonym. Następnie zarządził, by z perskiego terytorium granicznego (w dzisiejszym Afganistanie) dotrzeć do „wielkiej rzeki", czyli Indusu, i popłynąć nią w stronę ujścia, aby sprawdzić, czy istnieje morskie połączenie z Zatoką Perską.

Achemenidzi i ich następcy nie tylko zdominowali północne i wschodnie wybrzeże Zatoki. Kontrolowali też ruch statków w cieśninie Ormuz dzięki ufortyfikowanym punktom handlowym na wyspach Fajlaka (dziś Kuwejt) i Dilmun (dziś Bahrajn). Ta ostatnia stanowiła ważny ośrodek morskiej wymiany handlowej. Imperialne ambicje kolejnych perskich dynastii zawsze rzucały cień na porządek polityczny w zatoce. Ale cechą charakterystyczną tego zakątka świata zawsze było to, że nikt – ani potęga regionalna, ani mocarstwo zewnętrzne – nigdy nie zdołał jej na trwałe zdominować.

Chińska flota skarbów

Ważną cezurą w dziejach zatoki był podbój arabski, a szczególnie okres świetności kalifatu Abbasydów (IX–X w.). Założony przez nich Bagdad stał się prawdziwym centrum świata, przyciągając niezrównane bogactwa. Połączenie z zatoką zapewniał mu Tygrys oraz port w Basrze. Niebywały sukces Bagdadu sprawił, że kalifowie stracili zainteresowanie Morzem Śródziemnym i zwrócili się ku Oceanowi Indyjskiemu. Porty położone na południu Iranu czy omański Maskat określano jako „granicę Indii". Arabski historyk al-Jakubi pisał z dumą w IX w., że za sprawą wód Tygrysu „nie ma przeszkody między nami a Chinami – wszystko z morza trafia do nas rzeką". Ta wizja świata znajdowała wyraz w arabskiej i perskiej kartografii tego okresu. Ówczesne mapy przedstawiają świat na planie koła, z lewej i prawej strony w masę Eurazji wbijają się Morze Śródziemne i Ocean Indyjski. Ich wody zbliżają się do siebie w samym środku mapy – tam gdzie Bagdad łączy się z Zatoką Perską. W tej wizji jej wody są naturalnym pomostem między najbogatszymi częściami świata.

Układ sił wokół samej zatoki wiecznie się zmieniał. W IX w. Basrę zamieszkiwało ok. 200 tys. ludzi, ale kiedy abbasydzkich kalifów sprowadzono do roli marionetek, środek ciężkości handlu przesunął się do Sirafu położonego na irańskim wybrzeżu. Niezwykle suchy klimat sprawiał, że tamtejsze miasta od zawsze miały problem z wodą pitną. Sprowadzenie jej z gór Zagros wymagało budowy sieci kanałów i cystern. Kupcy z Sirafu znani byli jako importerzy drewna tekowego z Afryki Wschodniej, z którego wznosili imponujące kilkupiętrowe domy z widokiem na morze. Woda stanowiła jednak ważną barierę ekologiczną, z którą do dziś boryka się wiele państw zatoki. Wysokie koszty utrzymania infrastruktury i zależność od importu sprawiły, że kupcy zaczęli przenosić się do takich miejsc jak Bahrajn, który słynął z podziemnych źródeł słodkiej wody wypływających prosto z morskiego dna.

W 1413 r. na wody zatoki wpłynęła niezwykła „flota skarbów" dowodzona przez chińskiego admirała Zheng He. Liczyła ona ponad 60 okrętów, w tym wiele baochuanów – największych statków, jakie pływały po ówczesnych morzach. Była to czwarta podróż na Zachód, jaką z woli cesarza przedsięwziął admirał. Jego celem było nawiązanie relacji dyplomatycznych i handlowych z muzułmańskimi władcami regionu. Flota zacumowała w porcie na wyspie Ormuz, a chińscy podróżnicy mieli czas, aby odnotować wysoki poziom zamożności jej mieszkańców. Jeden z nich napisał: „tu nawet ludzie niżsi statusem są bogaci". Inny ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ zauważył, że: „kończyny i twarze tych ludzi są wyrafinowane i piękne (...), a oni sami krzepcy i przystojni".

Portugalski Ormuz

W wieku XVI Zatoka Perska stała się centrum rywalizacji aż trzech światowych potęg. Do zmagań między perskim imperium Safawidów a Turcją Osmanów włączyli się Portugalczycy, którzy za sprawą Vasco da Gamy otworzyli bezpośrednią drogę morską z Europy do Indii. Portugalczycy chcieli ustanowić monopol na handel ze Wschodem i aby go wyegzekwować, zakładali wzdłuż wybrzeża Półwyspu Arabskiego sieć umocnionych fortów. Dzięki sile dział i niebywałemu terrorowi kapitan Afonso de Albuquerque podporządkował sobie wybrzeże Omanu, a także zdobył i złupił Maskat.

Zdobyczą, o którą toczyła się gra, była wysepka Ormuz kontrolująca żeglugę w całej cieśninie. Dla Safawidów Ormuz z tętniącym życiem portem był ośrodkiem handlu drogimi kamieniami, w szczególności perłami, z których słynęły wody zatoki. „Gdyby świat był pierścionkiem, Ormuz byłby jego brylantowym oczkiem" – głosiło perskie przysłowie. We wrześniu 1507 r. portugalska flota zjawiła się na redzie portu. Albuquerque nie zgodził się przyjąć okupu – zażądał kapitulacji i uznania zwierzchności króla Portugalii. Doszło do bitwy. Mniejsze i lżejsze muzułmańskie okręty nie wytrzymały siły ognia portugalskich karawel. Mimo przewagi liczebnej obrońców starcie zmieniło się w masakrę. Albuquerque napisał później do króla Manuela: „Przy możnych znaleźliśmy pełno złota i mieczy wysadzanych srebrem i klejnotami. Wyłowienie tego łupu zajęło naszym ludziom osiem dni, a niektórzy mocno się wtedy wzbogacili".

Portugalczycy stali się panami Ormuzu i wznieśli na wyspie fort. Jego działa sprawowały kontrolę nad przepływającymi przez cieśninę statkami, a Lizbona czerpała ogromne dochody z ustanowionego przez siebie systemu licencji handlowych. Odtąd każdy statek musiał wykupić *kartaz*, swoiste pozwolenie, które zapewniało ochronę portugalskiej floty. Podstawy portugalskiego imperium okazały się jednak kruche. Żadna, nawet najbardziej liczna flota nie byłaby w stanie kontrolować handlu w całej zatoce, a Portugalczycy wciąż cierpieli na niedostatek ludzi, co sprzyjało przemytnikom i piratom. Jednocześnie tureccy Osmanowie opanowali tereny dzisiejszego Egiptu oraz Iraku (w tym port w Basrze) i prowadzili stamtąd nieustającą wojnę morską przeciw Portugalczykom.

Brytyjska ropa

W 1620 r. safawidzki sułtan Abbas zawiązał sojusz z angielską Kompanią Wschodnioindyjską, której flota pomogła mu przetransportować na Ormuz armię i odbić wyspę z rąk Portugalczyków. Persja odzyskała władzę nad cieśniną, a Anglicy po raz pierwszy uzyskali przywileje handlowe w regionie. Zatoka Perska stawała się dla nich coraz bardziej cenna ze względu na lukratywny handel z Indiami.

W XVIII w., gdy Wielka Brytania rozciągnęła swoje panowanie nad szlakiem do Indii, jej nadrzędnym celem było zapewnienie bezpieczeństwa żeglugi. W tym czasie kontrolę nad wejściem do Zatoki Perskiej sprawowali emirowie z rodu Al Qassimi z terenu dzisiejszych Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Tamtejsi władcy od stuleci żyli z pobierania opłat od statków handlowych i nie zamierzali respektować brytyjskiego monopolu. W odpowiedzi w 1809 i 1819 r. Kompania Wschodnioindyjska przeprowadziła działania przeciwko „piratom".

Sukcesy Brytyjczyków były jednak krótkotrwałe. Geografia zatoki – z niezliczonymi zatoczkami i wysepkami – sprzyjała mniejszym, bardziej ruchliwym przeciwnikom. W 1820 r. Wielka Brytania podpisała traktat pokojowy z władcami nadmorskich szejkanatów. W tekście traktatu znikło określenie „Pirackie Wybrzeże", jak nazywano Oman. W jego miejsce pojawił się „Oman Traktatowy" (przyszłe Zjednoczone Emiraty Arabskie).

Przez kolejnych 150 lat Brytyjczycy utrzymywali kontrolę nad polityką zagraniczną i obronną emiratów, a przez to pośrednio również nad cieśniną Ormuz. Zatoka Perska nie była jednak w centrum uwagi Londynu. Odnalezienie ropy w Iranie w 1908 r. całkowicie zmieniło sytuację. Czarne złoto najpierw stało się paliwem napędzającym okręty Royal Navy, a potem podstawą zachodnich gospodarek, co nadało całemu regionowi strategiczny charakter. Ropa spowodowała, że zatoka znalazła się – jak nigdy wcześniej – w centrum uwagi Zachodu. Była też jedynym powodem, dla którego Londyn tak długo podtrzymywał tam swoją obecność.

Ogłaszając wycofanie z zatoki w 1971 r., Londyn porzucił szejków z Omanu Traktatowego. Wykorzystując ich osłabienie, Iran zajął należące do nich wyspy w cieśninie Ormuz: Wielki i Mały Tunb oraz Abu Musę, o które do dziś toczy się spór. Wielka Brytania stała się tym samym kolejnym imperium, które nie było w stanie narzucić regionowi swojej dominacji. Stany Zjednoczone zajęły jej miejsce z nadzieją, że tym razem będzie inaczej. Ale nad Zatoką Perską nic nie trwa wiecznie. Zwłaszcza władza.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Roger Crowley „Zdobywcy. Jak Portugalczycy zdobyli Ocean Indyjski i stworzyli pierwsze globalne imperium"; Allen James Fromherz „The Center of the World: A Global History of the Persian Gulf"; Lincoln Paine „Morze i Cywilizacja. Morskie dzieje świata"

REKLAMA

Zachęcamy do zapisywania się do nowego newslettera historycznego Polityki.

Co tydzień wybór tekstów i tematów poświęconych **przeszłości Polski, Europy i świata.**

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl c085a3b354

Portret Eryka Pomorskiego (Bogusława), króla Danii, Norwegii i Szwecji. Obok: **jego herb.**

Polski król Grenlandii

Przez 50 lat największą wyspą świata rządził Bogusław ze słowiańskiego rodu Gryfitów spokrewnionych z Piastami, znany jako Eryk Pomorski. Nie zapisał się tam najlepiej.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Agresywne zainteresowanie Grenlandią ze strony 47. prezydenta USA stawia największą wyspę świata w centrum uwagi. To sprawia, że różne aspekty jej długiej i burzliwej historii są analizowane w licznych tekstach, tłumaczących, jak znalazła się pod duńską kontrolą. Pomija się w nich jednak epizody polskie. Tymczasem tytuł tego artykułu nie jest żadnym żartem ani przenośnią, która wymagałaby umieszczenia przymiotnika w cudzysłowie. Przeoczony konkret historyczny może stanowić dobrą ilustrację tego, jak bardzo skomplikowane były losy wyspy tak odległej od Polski, że trudno podejrzewać istnienie jakichś dawnych związków polsko-grenlandzkich.

Zacznijmy jednak od bardziej znanej w Polsce historii, wiążącej się z duńską wyprawą zaoceaniczną wysłaną w 1476 r. przez króla Christiana I, który chciał zweryfikować informacje o losach osadników skandynawskich zamieszkujących Grenlandię od końca X w. Flotyllą kilku statków dowodzili dwaj doświadczeni kapitanowie: Niemiec Didrik Pining i Portugalczyk João Vaz Corte-Reale. Według trudnych do potwierdzenia informacji mieli oni dotrzeć do wybrzeży Labradoru, chociaż podejrzewa się, że chodziło raczej o zachodnie wybrzeże Grenlandii, którą też wówczas nazywano Labradorem.

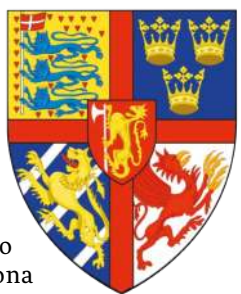

Jeżeli uczestnik tej wyprawy Johannes Scolvus (lub Scolus) faktycznie był gdańskim żeglarzem, to byłby on pierwszym Polakiem, który postawił stopę na zaatlantyckiej wyspie. Jest to jednak identyfikacja bardzo późna, bo umieszczona w wydanej dopiero w 1597 r. książce „Continens Indica" napisanej przez Holendra Corneliusa Wytflieta. Podał on, że „zaszczyt tego odkrycia należy się Polonusowi Johannesowi Scolusowi".

Podchwycił to nasz wielki historyk Joachim Lelewel i połączył postać Scolusa z Gdańszczaninem Joannisem de Colno (żyjącym ok. 1435–84). Od tego czasu Jan z Kolna (chodzi o Kolno koło Wejherowa) stał się częścią naszych dziejów chwalebnych. Ta legenda pielęgnowana w Polsce, aczkolwiek niepotwierdzalna, sprawiła, że Jan z Kolna został patronem ulic w kilkunastu miastach – nie tylko na Pomorzu, ale też w Łomży i Zielonej Górze. Na szczecińskich Wałach Chrobrego, a konkretnie tarasie widokowym położonym u nadodrzańskiego podnóża tamtejszego Zamku Książąt Pomorskich, umieszczono po drugiej wojnie światowej nawet kamienny pomnik żeglarza, który miał przepłynąć Atlantyk szesnaście lat przed Krzysztofem Kolumbem.

Jak to często bywa, legendy są trwalsze od faktów historycznych, bo skuteczniej odwołują się do emocji. Tak jest ▶

© DOMENA PUBLICZNA (2)

eprasa.pl c085a3b354

Ruiny katedry zbudowanej w XIII w. w Gardarze. Poniżej: **Jan z Kolna na rysunku Artura Szyka, 1939 r.**

▶ i z Grenlandią, którą chcielibyśmy włączyć w nasze dzieje, wykorzystując do tego postać na wpół mityczną, a zapominamy o wydarzeniach mających solidne umocowanie źródłowe.

A przecież jeden z Polaków był przez pewien czas władcą wielonarodowego imperium, którego część stanowiła też Grenlandia. Było to skutkiem hegemonistycznej polityki duńskiej królowej Małgorzaty I. W 1397 r. przemyślnie doprowadziła do zawarcia panskandynawskiej unii kalmarskiej. Połączyła ona Danię z Norwegią i Szwecją, tworząc północnoeuropejskie i transoceaniczne imperium, w skład którego wchodziły też wszystkie wyspy północnego Atlantyku – od Orkadów do Grenlandii.

Już wcześniej królowa – bezdzietna po przedwczesnej śmierci swojego syna Olafa II w 1387 r. – niespodziewanie adoptowała siedmioletniego Bogusława (1382–1459), syna pomorskiego księcia z dynastii Gryfitów. Nadano mu przy tej okazji skandynawskie imię Eryk, a potem dorzucono jeszcze adekwatny przydomek Pomorski. Po podpisaniu unii kalmarskiej 17 czerwca 1397 r. Małgorzata I wymusiła na przedstawicielach trzech państw skandynawskich koronację Eryka na władcę: Danii (jako Eryka VII), Norwegii (jako Eryka III) i Szwecji

(jako Eryka XIII). Chociaż do 1412 r. sama sprawowała faktyczną władzę, to przecież Eryk Pomorski niewątpliwie był faktycznym królem Grenlandii.

Nasz rodak okazał się jednak wyjątkowym nieudacznikiem politycznym, bo wskutek swojej porywczości, skłonności autokratycznych i nadmiernego fiskalizmu udało mu się dokonać rzeczy doprawdy niezwykłej. Gładko stracił wszystkie trzy korony: duńską i szwedzką w 1439 r., norweską zaś w 1442 r. Zajął wtedy Gotlandię, z której próbował odzyskać skandynawskie trony, a równocześnie prowadził pirackie ataki na statki pływające po Bałtyku. Po nieudanych próbach sprzedania tej wyspy Krzyżakom, Szwedom i Duńczykom opuścił ją w 1449 r., zabierając ze sobą duńską kochankę Cecylię (dawną pokojówkę swojej żony Filippy) i zrabowany wcześniej duński skarbiec koronny. Wrócił na Pomorze, aby objąć księstwo słupskie, którym rządził do śmierci w maju (lub czerwcu) 1459 r. w rodzinnym Darłowie, gdzie do dzisiaj można oglądać jego sarkofag.

Polityczna nieudolność Eryka Pomorskiego sprawiła, że niemal pięćdziesięcioletnie (1397–1443) rządy Słowianina nad Grenlandią stały się tylko niezwykłym epizodem historycznym. Rozpoczęły się jako kontynuacja wspaniałego, ambitnego programu jego przybranej matki królowej Małgorzaty I, a skończyły jako tragifarsa z ekskrólem obsadzonym w roli znienawidzonego bałtyckiego pirata.

Gdyby potomkowie skandynawskich Grenlandczyków przeżyli na swojej wyspie, to na pewno wspominaliby rządy Eryka Pomorskiego ze szczerą niechęcią. To on bowiem walnie przyczynił się do upadku europejskiej kolonii założonej w końcu X w. po zachodniej stronie Atlantyku. A przecież Grenlandczycy dobrowolnie zgłosili akces do królestwa Norwegii w 1261 r., licząc na gwarancje

eprasa.pl c085a3b354

stałych kontaktów handlowych, które warunkowały ich los, bo dostarczały choćby niedostępnego na wyspie żelaza, ale też drewna szkutniczego.

Jednak już w 1294 r. Eryk II Magnusson ustanowił norweski monopol na kontakty ze swoimi posiadłościami zaatlantyckimi, zabraniając pływania tam zagranicznym kupcom. Kolejni władcy powtarzali ten zakaz, zazdrośnie broniąc swojej zwierzchności nad zamorskimi prowincjami – łącznie z Islandią i Wyspami Owczymi.

Już w 1341 r. ekspedycja rozpoznawcza wysłana z Bergen stwierdziła głęboki kryzys trapiący grenlandzką kolonię. Kiedy w 1369 r. rozbił się królewski „statek grenlandzki" (*Grænland knarr*) przeznaczony właśnie do pływania na drugą stronę Atlantyku, kontakty wyspiarzy z Europą stały się zupełnie nieprzewidywalne. Ostatnia potwierdzona źródłowo wyprawa norweska dotarła na Grenlandię w 1410 r.

Tragiczny los zaoceanicznej forpoczty cywilizacji europejskiej przypieczętował właśnie panskandynawski król Eryk Pomorski, który w 1431 r. ponownie zabronił cudzoziemcom pływania na drugą stronę Atlantyku. A przecież gdyby zamiast prowadzić nieudolne próby zdobycia niemieckiego Holsztynu uruchomił stabilną komunikację transatlantycką, to dzisiaj znaczną część zdominowanej przez Inuitów populacji Grenlandczyków stanowiliby potomkowie Skandynawów.

To jednak nie koniec związków polsko-grenlandzkich, bo mamy jeszcze ich zaskakujący aspekt kościelny i to dotyczący najwyższej hierarchii. Chodzi o obsadę diecezji ulokowanej w Gardar (dzisiejsze Igaliku). Pierwszym biskupem Grenlandii i Winlandii (dzisiejsza Nowa Fundlandia) został w 1112 r. Eiríkr Gnúpsson mianowany na to stanowisko przez papieża Paschalisa II. Później przez ponad 250 lat konsekrowano kolejnych ordynariuszy tej egzotycznej diecezji, ale nie wszyscy przypływali na wyspę, aby tam zamieszkać na stałe. Ostatnim biskupem faktycznie rezydującym na terenie swojej diecezji był Álfur, zmarły w 1378 r.

Mimo zanikania bezpośrednich kontaktów w Rzymie trwała pamięć o tej odległej prowincji, bo papieże nie mogli się doliczyć należnego im stamtąd świętopietrza. Aż do 1537 r. podtrzymywali więc fikcję organizacyjną, konsekwentnie konsekrując kolejnych biskupów Gardaru, których funkcja miała już wymiar czysto tytularny. Jednym z nich był franciszkanin Jan, który w 1440 r. został też poznańskim biskupem pomocniczym.

Gdyby „nasz" Jan z Kolna w 1476 r. faktycznie dotarł na Grenlandię i jeszcze wpłynął w głąb zamieszkanych niegdyś fiordów, to nie zastałby tam już nikogo, kto mógłby się pożalić na tragiczną w skutkach decyzję Eryka Pomorskiego i na biskupów, którzy nawet nie próbowali objąć swojej diecezji – łącznie z polskim biskupem Janem.

Zobaczyłby natomiast kamienne kościoły – łącznie z monumentalną katedrą zbudowaną w XIII w. w Gardarze z czerwonego piaskowca. Dzisiaj te rozsiane po wyspie ruiny są jedynym widocznym świadectwem heroicznej, chociaż tragicznej historii skandynawskiej Grenlandii, w której zapisali się też trzej Polacy.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

© BE&W, DP

REKLAMA

NOMINACJE
do Nagród Historycznych POLITYKI
im. Mariana Turskiego za rok 2025

29 kwietnia
Prace naukowe, popularnonaukowe, debiuty

6 maja
Wydawnictwa źródłowe, pamiętniki

Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

eprasa.pl c085a3b354

galeria

Stała, ale zmienna 5/6

Plakat polski. Kolekcja, Muzeum Plakatu w Wilanowie, bezterminowo

To było – szczególnie w czasach PRL – nasze artystyczne dobro narodowe. Z dumą mówiliśmy o polskiej szkole plakatu, hołubiliśmy organizowane w Warszawie międzynarodowe biennale, z satysfakcją podkreślaliśmy, że Muzeum Plakatu było pierwszą tego typu placówką na świecie. Po 1989 r. wszystko się zmieniło. Nowe, kapitalistyczne reguły gry rynkowej, przemiany cywilizacyjne, a w końcu upowszechnianie się internetu sprawiły, że ze wszechobecnego medium plakat stopniał do graficznej ciekawostki. Otwarte więc teraz, po pięciu latach modernizacji, Muzeum Plakatu nie jest już – jak drzewiej bywało – dokumentacją „pulsu ulicy", ale muzeum *par excellence,* opowiadającym dzieje pewnego artystycznego fenomenu.
Wbrew pozorom opowieść to dość trudna, bo ze zbiorów liczących 36 tys. obiektów trzeba było wybrać 240 plakatów; najciekawszych, najlepszych artystycznie, najpełniej reprezentujących czasy, w których powstały. Przyjęto (i słusznie!) narrację chronologiczną, podzieloną na sześć sekcji, poczynając od najstarszego, typowo reklamowego plakatu, pochodzącego z 1892 r. i zachwalającego wiślaną „Żeglugę Parową Maurycego Fajansa", a skończywszy na politycznym „Russian Bear" Pawła Jońcy z 2022 r. I dopiero taka historyczna panorama w pełni uświadamia widzowi, jak bardzo plakat był powiązany z otoczeniem, w którym i dla którego powstawał. Nie tylko jako świadectwo zmieniającej się sztuki, kolejnych artystycznych stylów, wizualnych pomysłów na dotarcie do wyobraźni odbiorcy. Ale przede wszystkim jako dokument pulsu cywilizacji: politycznego, obyczajowego, kulturowego czy technologicznego.
To wielowątkowa opowieść o tym, czym w kolejnych dekadach żyli Polacy, ale i o tym, jak nam to życie próbowano meblować lub wręcz dekretować. Od przedwojennych zachęt do cukru, który „krzepi", poprzez powojenne pytanie: „Coś TY zrobił dla realizacji planu?", aż po błyskawicę ze Strajku Kobiet na plakacie Oli Jasionowskiej. I uwaga: do muzeum warto zaglądać raz na jakiś czas, bo ze względów konserwatorskich prace w ekspozycji będą rotacyjnie wymieniane raz na trzy miesiące.

PIOTR SARZYŃSKI

Solnit wyjaśniona 3/6

Mężczyźni objaśniają mi świat, reż. Klaudia Gębska, Teatr Narodowy w Warszawie

scena

Reżyserka Klaudia Gębska i dramatopisarz Mariusz Gołosz wzięli na warsztat najgłośniejszy esej Rebekki Solnit z 2008 r., w którym własne doświadczenie – gdy na przyjęciu w Aspen gospodarz wymądrzał się na temat jednej z jej książek, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że przemawia do autorki – uczyniła punktem wyjścia do analizy systemowego, patriarchalnego lekceważenia kobiet. W operującym typami i postawami spektaklu to Solnit przypada rola przemądrzałej objaśniaczki – Rebecca (**Aleksandra Justa**) jest opryskliwa i krytykuje inne kobiety. Po premierze polskie feministki protestowały, przypominając, że prawdziwa Solnit jest przeciwieństwem wyniosłej akademiczki, w efekcie teatr dopisał na stronie internetowej, że bohaterka „nie jest realną reprezentacją" postaci. Ważniejszy dla twórców okazał się kojarzony z bogactwem kurort Aspen, w którym osadzili akcję, oraz wątek klasowy. Pozytywne bohaterki reedukują mężczyzn (Wiesław Cichy w garniturze) działaniami, a nie teoretyzowaniem: Magda (**Kinga Ilgner**), sprzątająca pokoje Kamila (**Edyta Olszówka**) i jej córka, recepcjonistka (**Zuzanna Saporznikow**). Zmęczenie tej ostatniej zasadami, których musi się trzymać kobieta, by nie stać się ofiarą męskiej przemocy, rymuje się z kompleksami gnębionego przez szefową Kelnera (Piotr Kramer). Wnioski są jasne: czas feministycznych esejów minął, zamiast teorii – codzienna praktyka, a szczera rozmowa czyni cuda. Naiwne?

Spektakl Klaudii Gębskiej jest dyskusją z głośnym esejem Rebekki Solnit

ANETA KYZIOŁ

© PAP/RAFAŁ GUZ, KAROLINA JÓŹWIAK, M2 FILMS, MP, ERIKA GOLDRING/GETTY IMAGES

eprasa.pl c085a3b354

film

Ścieżka kobiecego wstydu 5/6

Wpatrując się w słońce (In die Sonne schauen), reż. Mascha Schilinski, prod. Niemcy, 149 min, w kinach od 17 kwietnia

To dopiero drugi pełnometrażowy film 42-letniej Niemki Maschy Schilinski, w co trudno uwierzyć, bo reżyserka posługuje się dojrzałym językiem, czyniąc ze strumienia świadomości narzędzie do opisywania zbiorowej traumy niemieckich kobiet, od wielu pokoleń poddawanych presji patriarchatu. Tworzy tu jedyny w swoim rodzaju labirynt dźwiękowo-wizualny, próbując uchwycić jakiś wzór pamięci czterech generacji kobiet w różnym wieku, wychowanych w tej samej wiejskiej posiadłości w regionie Altmark – nad rzeką, która po 1945 r. stanie się naturalną granicą dzielącą wschodnie i zachodnie Niemcy. Niektórzy ujrzą w tym feministyczny manifest na granicy horroru i surrealizmu. Inni – wizję klasowego oraz seksualnego wykorzystania kobiet. Wieloznaczna symbolika mierzy się też z narodową dumą i ranami wynikającymi z niemieckiej historii. Przebłyski emocji i wprowadzające w trans dźwięki stopniowo przeobrażają się w szerszą panoramę świata, w którym młode kobiety w prawie niewidoczny sposób stawiają czoła gwałtom, śmierci bliskich, przymusowej sterylizacji, kazirodztwu oraz pewnej formie niewolnictwa i prostytucji na wsi. Wiele scen czerpie dynamikę z poetyckich fantazji, w których wyczuwa się lepką atmosferę rodzącego się pożądania lub dziecięcych lęków, co skutkuje olśniewającymi, a niekiedy trudnymi do wytrzymania obrazami.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

festiwal

Perły z Australii

Timeless Film Festival Warsaw, Warszawa, 17–26 kwietnia

Rusza trzecia edycja festiwalu skupiającego się na klasyce, od filmów powszechnie uważanych za arcydzieła po tytuły nieco dziś zapomniane, a warte odświeżenia. Na szczególne wyróżnienie zasługuje retrospektywa filmów Petera Weira, jednego z najważniejszych twórców w dziejach australijskiego kina. Pokazane zostaną wszystkie jego pełnometrażowe fabuły, w tym również niedostępne w polskich serwisach streamingowych wczesne dzieła: apokaliptyczne „Samochody, które pożarły Paryż", mroczny kryminał „Ostatnia fala" i wojenny dramat „Gallipoli". Ale retrospektywę Weira warto uzupełnić innymi seansami z Antypodów, zwłaszcza dwoma wybitnymi filmami australijskiej nowej fali, nurtu, który się pojawił w latach 70. i za pomocą elementów kina gatunkowego mierzył się z poważnymi problemami społecznymi (**„Na krańcu świata"** Teda Kotcheffa, „Pieśń Jimmiego Blacksmitha" Freda Schepisiego). Oprócz pereł australijskiej kinematografii w programie TFFW można w tym roku znaleźć m.in. retrospektywę filmów Jerzego Kawalerowicza, wybór najważniejszych dzieł z nurtu giallo (czyli włoskich thrillerów z lat 70.) oraz sekcje poświęcone Milesowi Davisowi, Brigitte Bardot czy baśniowym opowieściom Václava Vorlička.

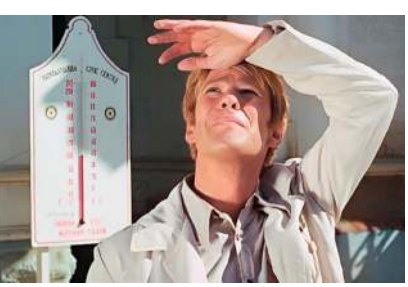

JAKUB DEMIAŃCZUK

Szczegóły: **timelessfilmfestival.pl**

Podróż do przeszłości

Jazz nad Odrą, Wrocław, Impart Centrum i Firlej, 22–26 kwietnia

To już 62. edycja wrocławskiego festiwalu – Jazz nad Odrą jest jedną z najstarszych tego typu imprez w Polsce. I historycznych wątków w tegorocznym programie nie zabraknie. Weźmy kubańskiego pianistę Gonzalo Rubalcabę, z którym Polacy spotykali się już wielokrotnie – występował już na wrocławskiej imprezie, nagrywał z Anną Marią Jopek, wpisał się w rosnące zainteresowanie latynoamerykańskim jazzem. Albo kontrabasistę Larsa Danielssona, którego wizyty w Polsce trudno nawet zliczyć – i ma na koncie długą współpracę z naszym Leszkiem Możdżerem (tym razem przyjeżdża ze swoją międzynarodową grupą Liberetto). Będzie też Peter Erskine, perkusista znany m.in. z Weather Report. Ale największą podróż w przeszłość przygotują Ravi Coltrane i **Terence Blanchard** na koncercie poświęconym dwóm setnym rocznicom urodzin: Milesa Davisa i Johna Coltrane'a. Jazzu w wersji nowszej i najmłodszej też nie zabraknie i będą go reprezentować we Wrocławiu zarówno zagraniczni, jak i polscy artyści. Ci ostatni znaleźli się też jako nominowani w rozstrzyganym na miejscu Konkursie na Indywidualność Jazzową im. Wojtka Siwka.

BARTEK CHACIŃSKI

Szczegóły: **jazznadodra.pl**

eprasa.pl c085a3b354

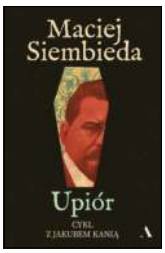

Przebudzeni w grobie 4/6

Maciej Siembieda, **Upiór**, Agora, Warszawa 2026, s. 334

„Wampir" Reymonta, tafefobia, łowcy skór, subkultura gotycka i paraliż przysenny – kto mógł to wszystko połączyć w zgrabną całość? Oczywiście Maciej Siembieda. Potrafi on umiejętnie wpleść w sensacyjną akcję mnóstwo wiedzy – tym razem dowiadujemy się sporo o tafefobii, czyli lęku przed pochowaniem żywcem, i o historycznych przypadkach takich pochówków. I o syndromie Łazarza oraz paraliżu przysennym – i jak z tym wszystkim powiązany był laureat Nagrody Nobla oraz autor „Wampira" Reymont. Pojawia się też prawdziwa postać, założyciel prywatnego muzeum pisarza, który ręcznie skopiował wszystkie jego powieści. Ale nie Reymont – ani jego upiorne wcielenia – jest bohaterem tej powieści, tylko rodzina Kopczyńskich, która prowadzi dom pogrzebowy. Poznajemy ich na uniwersytecie pod koniec lat 80., gdzie Marek Kopczyński – wtedy asystent na filozofii, fan muzyki i kultury gotyckiej – spotyka inną gotkę, Anię, i z czasem zaczynają prowadzić słynny interes pogrzebowy. Marek po nagłej śmierci żony nie może wyzbyć się myśli, że została pogrzebana za życia, i zaczyna tropić podobne przypadki. Tymczasem pewna grupa zaczyna tropić jego. A tropem całej sprawy podąża znany czytelnikom Siembiedy Jakub Kania. Żywy czy martwy? Pierwsze sceny mogą tu wprowadzić pewne zamieszanie. Powieść jest napisana tak, że trudno się od niej oderwać przed rozwiązaniem zagadki. Dowiadujemy się też sporo o samym Reymoncie – o jego okultyzmie, oszustwach i paraliżu przysennym. Ta mnogość wątków jest imponująca, jednak samo rozwiązanie zagadki wypada odrobinę blado.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Tragedia bez sensacji 4/6

Helen Garner, **Woda była strasznie zimna**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 288

W 2005 r. Robert Farquharson stracił panowanie nad kierownicą i wjechał do małego, choć głębokiego zbiornika wodnego. Zdołał wydostać się z samochodu, ale nie uratował żadnego ze swoich trzech kilkuletnich synów. Twierdzi, że na skutek gwałtownego ataku kaszlu stracił przytomność, ocknął się, gdy auto już tonęło, sam ocalał cudem. A jednak prokuratura postawiła mu zarzut potrójnego zabójstwa, sugerując, że motywem była zemsta rozwiedzionego mężczyzny na byłej żonie. Helen Garner, uznana australijska reporterka i pisarka (w Polsce wciąż czeka na odkrycie; jak dotąd ukazały się jedynie jej prozatorskie „Małe preludia"), z uwagą obserwowała ciągnące się przez kilka lat procesy. Jej książka nie jest jednak wyłącznie suchym zapisem postępowania ani zbiorowym portretem zaangażowanych w sprawę osób. To próba uchwycenia emocji panujących na sali sądowej – także jej własnych, jako autorki, która w pewnym momencie traci dystans oraz zdolność do obiektywnej oceny zdarzeń. A także opisania wpływu, jaki samo uczestniczenie w procesie dotyczącym dramatycznej sprawy wywiera na ludzi: oskarżonego, rodziny ofiar, ławników, świadków, a nawet postronnych obserwatorów i dziennikarzy. Wbrew dominującym w literaturze *true crime* trendom Garner nie szuka w opisywanej tragedii tanich sensacji. Pisze z reporterską drobiazgowością, a zarazem z szacunkiem: dla ludzi i dla prawdy.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Chociaż dać świadectwo 5/6

Omar El Akkad, **Któregoś dnia okaże się, że wszyscy od zawsze byli przeciwko**, przeł. Agata Ostrowska, Wydawnictwo Obroty, Warszawa 2026, s. 208

„To przykre, że zginęły dziesiątki tysięcy dzieci, ale…" – jeśli da się to zdanie jakkolwiek dokończyć i potem spać spokojnie, to ze światem stało się coś bardzo złego. Ale to eufemizm, Omar El Akkad nie stosuje takich środków retorycznych. Oskarża. Posługuje się faktami, to wystarcza i to jest druzgocące. Upomina się o zabitych i zabijanych Palestyńczyków. Nazywa rzecz po imieniu, nie wikła się w bałamutne niuanse: Izrael dokonuje ludobójstwa, pierwszy raz w historii transmitowanego na żywo. Świat biernie się przygląda, ale i wspiera tę rzeź, finansując broń i szczędząc słów potępienia. El Akkad jest Egipcjaninem, reporterem, pisarzem. Całe życie się tułał, bo jest „brązowy", a takich ludzi karze się nie za to, co robią, ale za to, do czego mogliby być zdolni. Autor wie z doświadczenia, jak ludzie zamieniają się w nieludzi, muzułmanie w terrorystów, Ujgurzy, Meksykanie – w obcy element do wytępienia. Nic z tym nie robi liberalny Zachód, który ma na ustach wartości, ale własny interes liczy się bardziej. Czy będzie się liczył, gdy klimat stanie się nieznośny, a z kranów przestanie płynąć woda? Ten erudycyjny esej polityczny, w jakiejś mierze reportaż, powstał, żeby „dać świadectwo". Wstrząsa, frustruje, wpędza w dyskomfort. Paradoksalnie daje też nadzieję: każdy przejaw buntu ma sens, bo historia się odwróci, musi, zawsze tak jest. Kiedyś „wszyscy będą mówić, że byli przeciwko", zawstydzeni własnym – w najlepszym razie – milczeniem.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl c085a3b354

komiksy miesiąca

Jak w filmie

W przedwojennej polskiej prasie komiksy nazywano chwytliwie – nawet jeśli nie do końca trafnie – „filmami rysunkowymi". Wspaniały album **„Krew dziewicy" Sammy'ego Harkhama** (przeł. Wojciech Góralczyk, Kultura Gniewu, 6/6) byłby w tej nomenklaturze filmem o filmie: jego bohaterem jest Seymour, ambitny montażysta tandetnych horrorów, który dostaje szansę, by rozwinąć w branży skrzydła. Musi tylko przemyśleć, czy warto dla kariery poświęcić prywatne życie. Harkham, który nad swoim komiksem pracował 14 lat, stworzył dzieło rzadkiej jakości. Wychodząc od nerdowskiego spojrzenia na głębokie i zakurzone zaplecze Hollywoodu, opowiada o miłości do kina, kryzysach rodzinnych, tożsamości i cenie sławy. A robi to w sposób, który nie pozwala oderwać się od lektury.

Już sam tytuł komiksu **„Universal Monsters: Dracula"** (przeł. Bartosz Czartoryski, Lost In Time, 5/6) kieruje uwagę w stronę klasycznych horrorów z lat 30. I choć komiksowych adaptacji książki Brama Stokera, także w Polsce, ukazało się już sporo, twórcy tego albumu szukają inspiracji przede wszystkim w legendarnym filmie z Belą Lugosim – stąd fabularne zmiany, które wielbiciele filmu bez trudu rozpoznają. Jednocześnie scenarzysta **James Tynion IV** przesuwa tytułowego wampira na drugi plan. Dracula jest tu nie tyle równorzędną postacią, ile nieokiełznaną siłą determinującą działania bohaterów. A fenomenalne ilustracje **Martina Simmondsa** nadają całości oniryczny, niepokojący kształt. Niby znamy tę historię, lecz jak się okazuje, da się ją opowiedzieć jeszcze raz w zaskakujący sposób.

W przypadku tomu **„Po ucieczce z Alcatraz"** (scenariusz: **Christopher Cantwell**, rysunki: **Tyler Crook**, przeł. Marek Starosta, KBOOM, 5/6) filmowe skojarzenia budzi nie tylko (polski) tytuł oraz okładka stylizowana na plakat wielkiego Saula Bassa. Sama fabuła także dobrze zniosłaby transfer na wielki ekran; jej scenarzysta karierę zaczynał zresztą w filmie i telewizji. Tu zaś spekuluje, jak mogły potoczyć się losy trzech skazańców, którym w 1962 r. udało się wydostać z osławionego więzienia (choć rzekomo zginęli w wodach Zatoki San Francisco). Zamiast stawiać na tanią sensację, Cantwell – odwołując się w wielu miejscach do różnych teorii związanych z ucieczką – przygotował przejmujący komiks o lęku, życiu w poczuciu winy i braku nadziei na przyszłość. Co dotyczy nie tylko zbiegłych więźniów, ale także ścigających ich dwóch agentów federalnych.

JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

W dobrą stronę 4/6

Raye, **This Music May Contain Hope**, Human Re Sources

Trudno powiedzieć, czego brakuje Brytyjce Rachel Agacie Keen, lepiej znanej jako **Raye**, do pełni sukcesu. A pełnia w jej sytuacji jest wysoko – wokalistka i autorka piosenek z Londynu wydaje się spełnieniem marzeń o następczyni Amy Winehouse; sprawnie łączy soul i R&B z elementami jazzu, śpiewa rewelacyjnie, czuje emocjonalną głębię, którą można zaszyć w piosenkach. Początek jej drugiej płyty „This Music May Contain Hope", swoista orkiestrowa uwertura, brzmi jak akces do nowego filmu o Jamesie Bondzie. Tylko filmu nie ma, a fraza o diabelskich zapędach dziennikarzy, którzy zamęczyli Winehouse, a teraz atakują porównaniami Raye, wydaje się przesadzona. Autorka płyty odbierana jest wyraźnie przez pryzmat muzyki, a nie życia prywatnego – to duża różnica. Ma wśród gości Hansa Zimmera i Ala Greena, stworzyła mocny zestaw piosenek, ale jej gwiazda będzie rosła wolniej i potrzebuje więcej cierpliwości. Być może publiczność oczekuje więcej dramy niż tytułowej nadziei, ale sukces singla „Where Is My Husband" potwierdza, że Raye idzie w dobrą stronę. BCH

© MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, ANDREW WEVERS/GETTY IMAGES, MP (6)

REKLAMA

Wybierz Architektoniczną Realizację Roku 2025

PLEBISCYT

Laureata Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI wybierze jury, ale chcemy też poznać opinię czytelników i internautów o finałowej piątce.

Na Twój głos czekamy do niedzieli 19 kwietnia 2026 r.

Zagłosuj na polityka.pl/architektura

© SLAS architekci

15 NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

Sponsor Główny Nagrody Architektonicznej POLITYKI

ATLAS

eprasa.pl c085a3b354

Jak przemówiło radio

100 lat temu stacja Warszawa rozpoczęła nadawanie regularnych audycji na cały kraj. Wybraliśmy 10 wydarzeń i audycji z historii Polskiego Radia, które ukształtowały jego wizerunek.

JAKUB DEMIAŃCZUK

1926. „Halo, halo, Polskie Radio Warszawa"

Wiosna 1926 r. była w Polsce burzliwa. Polityczne i gospodarcze wstrząsy naruszały stabilność młodego państwa, lecz nie były w stanie powstrzymać nadchodzącej nowoczesności. 18 kwietnia punktualnie o godz. 17 w eter popłynęły słowa wygłoszone przez spikerkę Janinę Sztompkównę: „Halo, halo, Polskie Radio Warszawa, fala 480". W uroczystym otwarciu rozgłośni – która mieściła się w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ul. Kredytowej – uczestniczyli także państwowi oficjele. „Mam nadzieję, że radiostacja i ten wynalazek cudowny, który pozwala nam przemawiać do najbardziej odległych zakątków Polski, przyniesie dzisiejszym i przyszłym słuchaczom wiele przyjemności i rozrywki" – **mówił premier Aleksander Skrzyński**. Po części oficjalnej Stefan Jaracz czytał fragmenty „Popiołów", śpiewała sopranistka Adela Comte-Wilgocka. Nowa antena nadawała odtąd codziennie, początkowo w godz. 17–23. Abonentów jeszcze niewielu: na koniec 1926 r. było zarejestrowanych 42,5 tys. odbiorników.

Pierwszy dzień Polskiego Radia nie był jednak początkiem radiofonii w Polsce: prace nad jej rozwojem trwały od kilku lat, eksperymentalne audycje emitowano już w lutym 1925 r. Utworzenie ogólnopolskiej anteny wpisało się w światowy trend: pierwsza stacja radiowa KDKA powstała w 1922 r. w Pittsburghu.

Dwa dni przed rocznicą powstania Polskiego Radia stacja zaczęła regularnie – codziennie w południe – nadawać hejnał z Wieży Mariackiej w Krakowie. Tradycja przetrwała do dziś, a grany zawsze na żywo hejnał jest uznawany za najstarszą cykliczną audycję radiową na świecie.

1927. Chopinowskie szaleństwo

Nie ma Polskiego Radia bez Fryderyka Chopina. Już pierwszego dnia regularnej emisji został nadany odczyt poświęcony kompozytorowi, a pierwszym sygnałem stacji były otwierające takty Poloneza A-dur. I nie ma też Polskiego Radia bez konkursu chopinowskiego: już pierwsza edycja, ze stycznia 1927 r., była transmitowana na antenie. Wtedy konkurs miał tylko dwa etapy, eliminacje (w których uczestniczyło 26 zawodników z ośmiu krajów) oraz finał. Zwyciężył Rosjanin Lew Oborin, kolejne miejsca przypadły jednak Polakom: Stanisławowi Szpinalskiemu oraz Róży Etkin. Również od pierwszej edycji przyznawana jest nagroda za najlepsze wykonanie mazurków ufundowana przez Polskie Radio. W 1927 r. otrzymał ją Henryk Sztompka.

1927. „Szkoda, że państwo tego nie widzą"

Radiowy sport kojarzy się przede wszystkim z męskimi głosami, jednak pierwszeństwo w tej dziedzinie należy do kobiety:

© NAC, YOUTUBE, STANISŁAW DĄBROWIECKI/ARCHIWUM ELŻBIETY JASIŃSKIEJ/FOTONOVA, WIESŁAW M. ZIELIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl c085a3b354

w lutym 1927 r. Ada Artztówna prowadziła pierwszą w historii radia transmisję sportową z konkursu skoków narciarskich w Zakopanem. Potencjał transmisji na żywo został doceniony niemal natychmiast, a dzięki szybko powstającym rozgłośniom regionalnym (pierwsza, krakowska, zaczęła nadawać już w lutym 1927 r.) w eter szły relacje m.in. z meczów piłkarskich i pojedynków bokserskich. Były tak ważnym elementem codzienności, że trafiły nawet do kina – w **„Sportowcu mimo woli"**, nakręconym tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, gdzie **Wojciech Trojanowski** pojawia się w roli komentatora meczu hokejowego.

Komentatorzy sportowi – obecni nie tylko podczas transmisji, lecz także w unikatowej audycji „Kronika sportowa" nadawanej od 1954 r. – zawsze byli siłą Polskiego Radia. Łączyli wiedzę, pasję i elegancję słowa, a czasami mimowolnie wprowadzali do języka nowe powiedzenia: „Szkoda, że państwo tego nie widzą" – mawiał Wojciech Trojanowski, znakomity lekkoatleta i wybitny dziennikarz radiowy, który relacjonował m.in. igrzyska w Berlinie w 1936 r. (po wojnie pracował jako komentator dla radia BBC). Bohdan Tomaszewski z pasją i elegancją relacjonował m.in. mecze tenisowe i lekkoatletykę na igrzyskach olimpijskich. Bogdan Tuszyński był niezrównanym komentatorem Wyścigu Pokoju, a także autorem innowacyjnych pomysłów, takich jak Studio S-13, w którym łączono się na żywo z różnymi stadionami piłkarskiej ekstraklasy. Jan Ciszewski wspominany będzie zawsze w kontekście wielkich sukcesów polskiej piłki: komentował m.in. legendarny mecz na Wembley, występy Polaków na mundialach w 1974, 1978 i 1982 r., a także pucharowe potyczki Górnika Zabrze. W kolejnym pokoleniu przyszli zaś Dariusz Szpakowski, Włodzimierz Szaranowicz i Tomasz Zimoch.

1937. Największa polska filharmonia

Choć radiowa Dwójka po wojnie zaczęła regularnie nadawać w 1949 r., jej początki sięgają jeszcze czasów przedwojennych. Stacja Warszawa II po raz pierwszy odezwała się 1 marca 1937 r. o godz. 13.10. Wtedy skupiała się na tematach lokalnych, ale nadawała również słuchowiska na żywo w ramach Teatru Wyobraźni – być może czasami wyglądało to tak, jak w komedii „Skarb", w której Adolf Dymsza grał radiowego imitatora dźwięków – a jednym ze spikerów był wówczas Jeremi Przybora.

Powojenne oblicze Dwójki, „największej polskiej filharmonii", kształtowało się przez lata, lecz od samego początku działalności stacja łączyła zadania propagandowe z edukacją i popularyzacją kultury wysokiej. W programie z jesieni 1949 r. pogadanka o Chopinie sąsiadowała z odczytem z cyklu „Historia ruchów robotniczych", wykład o historii ekonomii zaś poprzedzał transmisję finałowego koncertu z konkursu chopinowskiego. Z czasem zaczęła stawać się synonimem radia inteligenckiego, skupionego przede wszystkim na muzyce klasycznej i współczesnej, oferującego koncerty na żywo ze studia S-1, nagradzane reportaże radiowe, audycje poświęcone jazzowi i muzyce ludowej. Niebawem wejdzie w dziesiątą dekadę działalności – 90. urodziny będą obchodzone za rok.

1939. „Dziś widzę wielką Warszawę"

„Halo, tu Warszawa i wszystkie inne rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś o godzinie 5.40 oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji" – donosił 1 września Zbigniew Świętochowski w porannej audycji. Wraz z wybuchem

wojny zmieniono ramówkę; już dzień później zaczęto likwidować rozgłośnie regionalne; 7 września z Londynu BBC zaczęła transmisje biuletynów informacyjnych w języku polskim, ale stacja Warszawa nadawała przez trzy tygodnie. Do dziś zachowała się część przemówień Stefana Starzyńskiego, prezydenta stolicy: „Dziś widzę wielką Warszawę (...) widzę ją z okna w całej wielkości i chwale, otoczoną kłębami dymu, rozczerwienioną płomieniami ognia, wspaniałą, niezniszczalną, wielką walczącą Warszawę" – mówił w ostatniej odezwie do słuchaczy, wygłoszonej 23 września.

Wtedy też ostatni koncert przed mikrofonami zagrał **Władysław Szpilman**: „Tego dnia miałem grać Chopina. Była to, jak się później okazało, ostatnia audycja żywej muzyki na antenie Polskiego Radia. Bomby spadały co chwilę, w bezpośredniej bliskości studia, okoliczne zaś domy stały w ogniu. W takim huku nie słyszałem prawie dźwięku własnego fortepianu (...) Tego też dnia, parę minut po trzeciej, rozgłośnia zamilkła. Odtwarzano płytę z koncertem c-moll Rachmaninowa i właśnie kończyła się piękna, pełna spokoju druga część, gdy niemiecka bomba uszkodziła elektrownię i głośniki w mieście przestały działać" – wspominał w „Pianiście".

Polskie Radio zamilkło na niemal całą wojnę, część jego pracowników współtworzyła jednak radiostacje konspiracyjne lub wydawała biuletyny informacyjne. Wznowiło działalność dopiero w 1944 r. w Lublinie, do Warszawy wróciło już po wyzwoleniu miasta.

1956. Słynne radiowe rodziny

Powieści radiowe w odcinkach okazały się fenomenem na rzadko spotykaną skalę. **„Matysiakowie"**, saga o losach robotniczej warszawskiej rodziny, zadebiutowali 15 grudnia 1956 r. Wśród pomysłodawców słuchowiska znalazł się Jerzy Janicki, później uznany pisarz i scenarzysta, wtedy młody reporter, który kilkanaście miesięcy wcześniej rozpoczął pracę w redakcji ▶

eprasa.pl c085a3b354

▶ literackiej Polskiego Radia. „Matysiakowie" to był hit, jakiego nawet jego twórcy nie mogli przewidzieć. W okresie największej popularności przy odbiornikach siadało nawet 12 mln słuchaczy śledzących perypetie mieszkańców lokalu przy ul. Dobrej 21. W scenariusze często wplatane były odniesienia do bieżących wydarzeń – w ramach dozwolonych przez cenzurę – a w codzienności Matysiaków mógł się przejrzeć każdy odbiorca. No, prawie każdy, bo pod wpływem listów nadsyłanych do stacji cztery lata później powstała powieść radiowa nie tyle konkurencyjna, ile komplementarna: „W Jezioranach" (nie chodzi o miasteczko na Warmii, lecz o fikcyjną wieś na Lubelszczyźnie) zadebiutowało na radiowej antenie 29 maja 1960 r.

Słuchowisko „miało odbijać życie i problemy współczesnej wsi oraz jej przemiany, ale także beletryzować pewne wątki dydaktyczne i propagandowe", notował Maciej Kwiatkowski w książce „Kulisy radia". Formuła sprawdziła się ponownie; rodzinę Jabłońskich słuchacze pokochali miłością równie silną, co Matysiaków. Oba seriale wciąż są nadawane. „Matysiakowie", którzy będą w tym roku obchodzić 70-lecie, doczekali się już blisko 3,6 tys. epizodów, „W Jezioranach" – ponad 3,3 tys.

1957. Czarny pokój

Jeśli „Matysiakowie" byli pionierską propozycją w dziedzinie radiowej rozrywki, to powstałe z inicjatywy **Józefa Patkowskiego** Studio Eksperymentalne Polskiego Radia znalazłoby się na drugim końcu skali: projektem unikatowym, jedną z pierwszych tego typu placówek w Europie, poświęconą badaniu i tworzeniu ambitnej muzyki elektronicznej, choć często niepozbawionej walorów użytkowych. W Studiu Eksperymentalnym powstawały ścieżki dźwiękowe do słuchowisk radiowych, spektakli teatralnych i filmów, pracowali tam wybitni polscy kompozytorzy, z **Krzysztofem Pendereckim**, Bogusławem Schaefferem i Eugeniuszem Rudnikiem na czele, a słynny „Czarny pokój"

(ze ścianami z obrotowych paneli, których jedna strona odbijała, a druga pochłaniała dźwięk), w którym powstawały nagrania, został zaprojektowany przez Zofię i Oskara Hansenów.

Efekty działalności studia nie zawsze trafiały w gusta komunistycznych oficjeli: podobno jeden z delegatów radzieckich zaproszony na prezentację możliwości studia miał spytać, czy utwór, którego właśnie wysłuchał, będzie brzmiał równie źle puszczony od tyłu (co zainspirowało Eugeniusza Rudnika do napisania słynnej kompozycji „Skalary"). „Muzyka szumów, muzyka podłych materii, muzyka zrobiona z dźwięków nieszlachetnych" – mówił o jednej ze swoich kompozycji Rudnik. I choć oficjalnie SERP zakończyło działalność w 2004 r., oryginalny sprzęt trafił do Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie przygotowywana jest odrestaurowana wersja „Czarnego pokoju".

1958. Wychowani na Trójce

Początki były skromne, lokalne. Program Trzeci Polskiego Radia zaczął nadawanie 1 marca 1958 r. w Warszawie i Katowicach, dopiero cztery lata później stał się kanałem ogólnopolskim. Oficjalna data rozpoczęcia działalności to 1 kwietnia 1962 r. i był to być może primaaprilisowy żart, który komunistyczne władze spłatały same sobie. Trójka w zamierzeniu miała być propozycją skierowaną do młodych odbiorców, swoistym „wentylem bezpieczeństwa" – to hasło pojawia się w wielu wspomnieniach – ale kontrolowanym przez państwo. Jeśli jednak miała służyć wtłaczaniu propagandy w młode głowy, to pomysł nie wypalił. Przez dekady istnienia Trójka nadążała za światowymi trendami w muzyce rozrywkowej i prezentowała muzykę niedostępną w innych oficjalnych kanałach, kreowała osobowości radiowe i niezapomniane programy: „Mój magnetofon" Mateusza Święcickiego i „MiniMax" Piotra Kaczkowskiego (który za mikrofonem tej audycji zasiadał przez ponad pół wieku, a ostatnio wrócił do Trójki). Debiutowały w latach 60.; następna dekada przyniosła m.in. „Zapraszamy do Trójki" oraz niezrównane audycje satyryczne „60 minut na godzinę", „Powtórka z rozrywki" i **„Kocham pana, panie Sułku"**, a w latach 80. pojawiły się m.in. „Radio Mann" oraz „Lista Przebojów Programu Trzeciego".

Trójka przez wiele lat była zbiorem niezwykłych osobowości: przed mikrofonami zasiadali m.in. Wojciech Mann, Tomasz Beksiński, Marek Gaszyński, Maciej Zembaty, Paweł Sztompke, Marek Niedźwiecki, Monika Olejnik, Jan Ptaszyn Wróblewski i dziesiątki innych dziennikarzy, którzy wnosili na antenę wiedzę, jakość i luz, jakiego brakowało innym stacjom Polskiego

© PAP/MACIEJ KŁOŚ, KRZYSZTOF GIERAŁTOWSKI/FORUM, MIROSŁAW STĘPNIAK/FOTONOVA

eprasa.pl c085a3b354

Radia. Trójka stała się symbolem dla całego pokolenia słuchaczy, co wiele lat później wykpiwał popularny fanpage na Facebooku „Wychowany na Trójce". Zepsuł tę markę dopiero rok 2020: po zmianach wprowadzonych przez prawicowe kierownictwo z Trójki odeszli najlepsi dziennikarze, zakładając dwie konkurencyjne stacje internetowe: Radio 357 i Radio Nowy Świat (więcej m.in. POLITYKA 21/20).

1971. W Warszawie 147 cm, ubyło osiem

Komunikat o stanie wód nie był integralnym elementem „Lata z Radiem", ale zrósł się z tą audycją w pamięci słuchaczy, szczególnie tych, którzy dorastając w latach 70. i 80., wakacyjne poranki spędzali w towarzystwie Polskiego Radia. Stan wód na Wiśle, Sanie i Narwi brzmiał niczym szpiegowski szyfr, dane dla wtajemniczonych – podobnie zresztą jak komunikaty o stopniach zasilania Państwowej Dyspozycji Mocy. Pojawiały się dramatyczne wezwania, by taki czy inny wczasowicz pilnie skontaktował się z rodziną lub poszukiwania właścicieli psa, który pogryzł dziecko, by przedstawili zaświadczenie o szczepieniu na wściekliznę („dziecku grozi seria bolesnych zastrzyków w brzuch"). A to wszystko wydawało się jeszcze bardziej uderzające poprzez kontrast z radosnym, rozrywkowym, zabawnym „Latem z Radiem". Już wtedy Jedynka wydawała się wyjęta z innych czasów, ale „Lato z Radiem" – po raz pierwszy wyemitowane 1 lipca 1971 r. – okazało się odtrutką na nudę, od pierwszych taktów „Polki Dziadek", która zawsze już będzie kojarzyła się z wakacjami przed radioodbiornikiem, po nadawany w południe hejnał mariacki. Była muzyka, były kąciki humoru, ciekawostek, powieści w odcinkach i osobowości: od Tadeusza Sznuka i Ireny Kwiatkowskiej, po Bogusława Kaczyńskiego i Krystynę Czubównę. To nie było radio dla wymagających, ale niosło ze sobą wakacyjną radość, także w podłych czasach.

1982. Lista wszystkich Polaków

„Lista Przebojów Programu Trzeciego" to był natychmiastowy sukces. W czasach największej świetności młodsi słuchacze siadali przy radioodbiornikach z magnetofonami i nagrywali na kasety puszczane przez **Marka Niedźwieckiego** nowości,

nieco starsi urządzali pod „Listę" prywatki, bo zestawienie hitów nadawane było w piątkowe (lub sobotnie, to się czasami zmieniało) wieczory. Proste zasady głosowania, nieoczywista charyzma Niedźwieckiego – prezentera wyciszonego, spokojnego, obdarzonego lekko absurdalnym poczuciem humoru – oraz stałe elementy audycji, takie jak rozmowa z korespondentami zagranicznymi sprawiły, że LPP3 wciągała lepiej niż niejeden ówczesny serial. Była kolejnym oknem na świat pozwalającym odetchnąć od peerelowskiej szarzyzny i jeszcze jedną trójkową audycją, która na dobre i na złe kształtowała muzyczny gust młodych Polaków.

Paradoksalnie to również „Lista" okazała się symbolem upadku stacji pod rządami PiS. Gdy w maju 2020 r., w środku covidowego lockdownu, notowanie nr 1998 wygrała krytyczna wobec Jarosława Kaczyńskiego piosenka Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój", przychylne władzy kierownictwo stacji anulowało głosowanie. Awantura skończyła się odejściem Niedźwieckiego z radia, a „Lista" zniknęła ostatecznie z anteny, pieczętując w ten sposób trwający od kilku lat rozkład Trójki. Dopiero w 2024 r., pod nowym kierownictwem Agnieszki Szydłowskiej, stacja zaczęła odbudowę dawnej reputacji. Wtedy też historia LPP3 została symbolicznie zamknięta emisją specjalnych wydań nr 1999 i 2000.

JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA

DYREKTORKA NFM
OLGA HUMEŃCZUK

DYREKTOR ARTYSTYCZNY
PAWEŁ HENDRICH

NPN
35. MUSICA POLONICA NOVA

FESTIWAL
POLSKIEJ MUZYKI
WSPÓŁCZESNEJ

14—17.05
2026
WROCŁAW
NFM

ZMYSŁY

ORGANIZATOR
NFM NARODOWE FORUM MUZYKI

NFM – INSTYTUCJA KULTURY WSPÓŁPROWADZONA PRZEZ
Wrocław miasto spotkań
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOLNY ŚLĄSK

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

NFM.WROCLAW.PL
@MUSICAPOLONICANOVA

Istota rzeczy

Nowa wizja malarstwa XX w. to zasługa wielu twórców. W rzeźbie wystarczył praktycznie jeden wielki rewolucjonista: Brâncuși. Jak bardzo namieszał, przekonać się można na wystawie w Berlinie.

„Śpiąca muza", 1910 r.
Na sąsiedniej stronie:
„Ptak w kosmosie", 1941 r.

PIOTR SARZYŃSKI Z BERLINA

Młodość Constantina Brâncuşiego nie wskazywała, by w swym życiu mógł mieć wpływ na cokolwiek poza wyborem łąki do pasania owiec, które to zajęcie uprawiał jako dziecko. Pochodził z prostej chłopskiej rodziny, ale miał – jak to się mówi – smykałkę do strugania i ów dar zauważył lokalny zamożny przedsiębiorca. Wysłał więc młodziana najpierw do szkoły rzemiosła artystycznego do Kraiowej, a następnie do Narodowej Szkoły Sztuk Pięknych w Bukareszcie. Dalsza edukacja wiodła przez Wiedeń i Monachium (krótkie pobyty), z ostatecznym zakotwiczeniem w Paryżu i, począwszy od 1905 r., trzyletnimi studiami w École nationale supérieure des beaux-arts. Podobno większość drogi z Rumunii do Francji przebył pieszo.

eprasa.pl c085a3b354

Już po trzydziestce Brâncuși rozpoczął własną, dorosłą wędrówkę przez świat sztuki. Tak bardzo wierzył w siebie i we własne pomysły na rzeźbienie, że po miesiącu zrezygnował z asystentury u wielkiego Auguste'a Rodina i wedle historycznych przekazów, odchodząc z pracowni mistrza, miał wygłosić sentencję, która do dziś hula po rozlicznych książkach o sztuce: „W cieniu wielkich drzew nic nie rośnie".

Brâncuși idealnie odnalazł się w owym estetyczno-towarzyskim tyglu Paryża pierwszych dekad XX w., choć przesiadywanie w kawiarniach nie było jego ulubionym zajęciem. Pracował za to bez taryfy ulgowej nad kolejnymi dziełami, w samotności, oddając się równocześnie – jak twierdził – medytacjom. Ubierał się i wyglądał jak mnich, a ze swej pracowni uczynił miejsce mistycznej kontemplacji. Zapamiętano go jednak z tych czasów także jako niezłego kompana doceniającego dobre wino i cygara, cieszącego się muzyką, z przyjemnością przyjmującego gości u siebie daniami tradycyjnej rumuńskiej kuchni, której pozostał wierny do końca życia. Zbudował sobie krąg przyjaciół z artystów, którzy dziś tworzą panteon kultury owych czasów, by wymienić choćby Amadeo Modiglianiego, Guillaume'a Apollinaire'a, Marcela Duchampa, Ezre Pounda, Pabla Picassa czy Erica Satiego.

Ale oczywiście nie lista przyjaciół wpadających do rzeźbiarza na baraninę i śliwowicę sprawiła, że i jego samego wpisano na krótką listę tych, którzy najmocniej zamieszali w sztuce XX w. Zadecydowała o tym twórczość. Zaczynał wprawdzie dość konwencjonalnie, w stylu XIX-wiecznego akademizmu, a już w Paryżu podczas studiów pozostawał pod wyraźnym wpływem Rodina. Ale na berlińskiej wystawie znalazły się cztery prace powstałe w czasie, gdy artysta wychodził z „cienia wielkiego drzewa". Pierwsza to prymitywizujący „Pocałunek" z 1907 r., druga to młodsza o rok „Głowa kobiety", trochę w stylu malarstwa Modiglianiego, i wreszcie „Maiastra" oraz „Śpiąca muza" z 1910 r. Wszystkie stanowią wyraźny sygnał, że oto artysta nieodwołalnie porzuca realizm i wstępuje na drogę redukcji, upraszczania, syntezy. To, co kanciaste, się zaokrągla, zanikają szczegóły. Właśnie „Śpiąca muza" uchodzi za symbol tego procesu.

Brâncuși nie potrzebował do uprawiania swej sztuki zbyt wielu inspiracji. Wystarczało mu kilka wątków, wokół których krążył przez całe życie: ptak, kobieta, ludzka głowa. Zoologii było zresztą więcej: kogut, ryba, żółw (słynny „Latający żółw"), foka. Dużo ważniejsza od mnogości wątków była wędrówka w głąb tematu, jego drążenie, zgłębianie, docieranie do istoty, idei, esencji. Jego rzeźbiarska droga do złudzenia przypomina tę, którą w malarstwie równolegle, ale niezależnie, przechodził starszy od niego o cztery lata Piet Mondrian. I tak jak u Holendra bujne drzewo przekształciło się ostatecznie w kilka pionowych i poziomych linii oraz kilka podstawowych barw, tak u Rumuna cały świat mieścił się w najprostszych kształtach, niekiedy geometrycznych, częściej biomorficznych.

Z czasem krytycy sztuki na potrzeby opisu dzieł Brâncuș iego ukuli termin „abstrakcja organiczna". Sam artysta jednak wzdragał się przed takimi przypisywaniami. Przy okazji wystawy w Brummer Gallery w Nowym Jorku w 1926 r. pisał: „Są idioci, którzy określają moją twórczość mianem abstrakcyjnej; ale to, co oni nazywają abstrakcją, jest najbardziej realistyczne. Rzeczywisty nie jest wygląd, lecz idea, istota rzeczy". Kiedy indziej wzywał: „Szukaj esencji, a nie formy zewnętrznej". I to właśnie oderwanie rzeźby od naśladowania i odwzorowywania rzeczywistości przypisuje się Brâncuș iemu jako jego główną zasługę w poszerzaniu pola sztuki. Choć nie brakuje i takich, dla których w ten sposób zamordował rzeźbę.

Skoncentrowany na pewnych wątkach Brâncuș i pracował seriami. W Berlinie zgromadzono np. kilka rzeźb z cyklu „Mlle Pogany", będących portretami węgierskiej malarki i przyjaciółki artysty Magrit Pogany. W sumie przez 20 lat wykonał aż 19 takich rzeźb. Formalnie różnią się szczegółami, ale doskonale dokumentują powolny proces geometryzacji i upraszczania rysów w jego popiersiach. Podobnie po kilka wersji mają obecne na wystawie dzieła „Ptak w przestrzeni" (pierwsza wersja w 1923, a ostatnia w 1940 r.) czy „Kogut". Z tym ostatnim artysta mierzył się trzykrotnie. Po raz pierwszy, gdy miał 48 lat, a po raz ostatni w wieku 73 lat. To się nazywa wierność.

Obszerna berlińska wystawa zawiera ok. 150 eksponatów. Są wśród nich także unikatowe zdjęcia z pracowni artysty (pokazywano je całkiem niedawno na wystawie w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie!) oraz filmy. Wśród wielu prezentowanych prac warto zwrócić uwagę – ze względu na towarzyszące im w przeszłości wydarzenia – na trzy. Pierwsza to „Niekończąca się kolumna". Od 1918 r. powstało jej – tradycyjnie u tego artysty – kilka wersji i jedna z nich znalazła się na wystawie. Ale tę najważniejszą stworzył Brâncuș i (rezygnując z honorarium) w 1938 r. jako 30-metrowy pomnik pamięci poległych w pierwszej wojnie światowej w obronie miasta Târgu Jiu w Rumunii. „Stworzyłem kolumnę, aby uświadomić, że droga do nieba jest uciążliwa, jest trudna. Nie możesz pokonać jej, lecąc jak ptak. Musisz mozolnie się wspinać" – komentował własne dzieło.

Praca druga to „Księżna X" z 1916 r. Słynna z powodu skandalu, jaki wywołała na paryskim Salonie Niezależnych w 1920 r. Artysta został zmuszony przez policję do jej usunięcia jeszcze przed rozpoczęciem imprezy, bo kojarzyła się z wizerunkiem męskiego przyrodzenia. Sam tłumaczył, że to portret znanej psychoanalityczki i wyznawczyni teorii Freuda, księżnej Marii Bonaparte, a to, co brane jest za penis we wzwodzie, to jej pochylona sylwetka, jej piersi niesłusznie postrzegane są zaś jako męskie jądra. Pole interpretacyjne, którego dostarcza sztuka abstrakcyjna, może okazać się zwodnicze.

Kwestia interpretacji okazała się decydująca także przy pracy „Ptak w przestrzeni", powstałej w 1923 r. Gdy trzy lata później współpracujący z artystą fotograf Edward Steichen przewoził rzeźbę na wystawę do Stanów Zjednoczonych, służby celne zakwestionowały jej charakter i nałożyły 40-procentowe cło (dzieła sztuki były z cła zwolnione), klasyfikując do kategorii „wyrób metalowy". Z powództwa artysty rozpoczął się osobliwy proces sądowy o to, czy obiekt ów spełnia warunki pozwalające uznać go za rzeźbę, czy nie. Po wysłuchaniu wielu świadków, ▶

© CENTRE POMPIDOU (2)

eprasa.pl c085a3b354

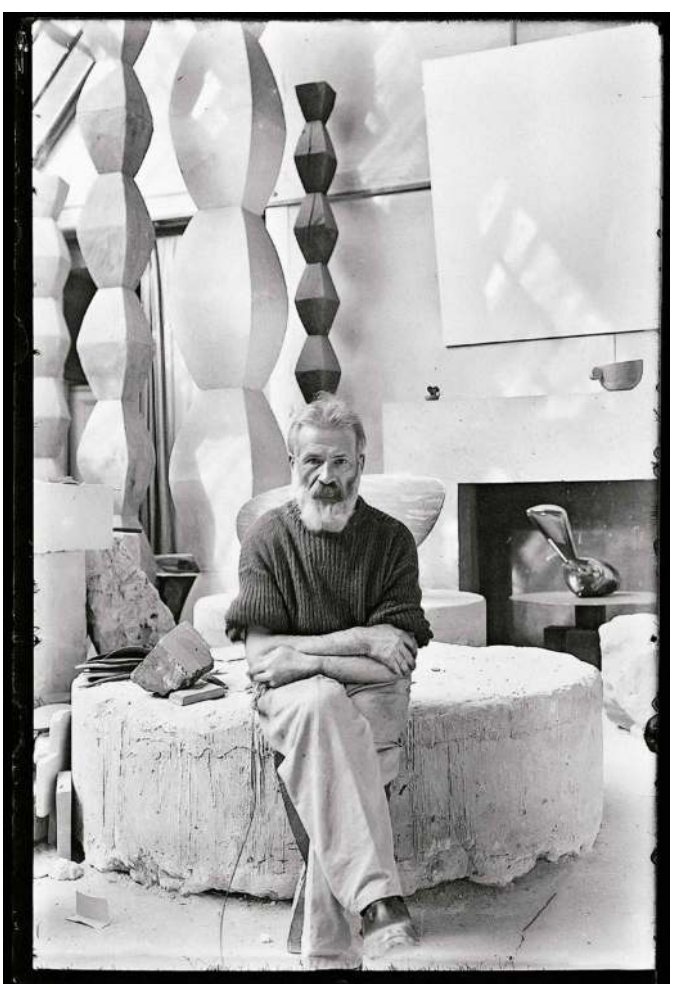

Brâncuși w swojej paryskiej pracowni, ok. 1934 r. Teraz po raz pierwszy można ją oglądać na wystawie w Berlinie. Powyżej: **„Pocałunek", 1923–25 r.**

▶ przy dużym zainteresowaniu mediów, sędzia J. Waite wydał ostateczny werdykt na korzyść Brâncușiego, a w uzasadnieniu napisał m.in.: „Obiekt, który jest obecnie przedmiotem rozpatrywania, jest piękny i ma symetryczny zarys, i chociaż można napotkać pewne trudności w powiązaniu go z ptakiem, niemniej jednak jest przyjemny dla oka i bardzo ozdobny".

Szczególną atrakcję berlińskiej wystawy stanowi… pracownia rzeźbiarska Brâncușiego. I jej losy są ciekawe. Krótko przed śmiercią w 1957 r. artysta zapisał swój dorobek narodowi francuskiemu. Warunek był jeden: pracownia musi zostać w całości odtworzona i udostępniona publiczności. Udało się to częściowo w 1962 r. we wnętrzach Palais de Tokyo. A na stałe dopiero w 1977 r. na placu naprzeciwko otwieranego równocześnie Centre Pompidou. Niestety, ucierpiała w wyniku powodzi w 1990 r. i ponownie została otwarta siedem lat później w pawilonie zaprojektowanym przez słynnego architekta Renzo Piano. Z okazji berlińskiej wystawy pracownia po raz pierwszy w historii opuściła Paryż.

Chodzi tu nie tylko o miejsce, meble i narzędzia pracy. To rodzaj szczególnej instalacji artystycznej. Twórca nieustannie przestawiał tu swoje prace, badając relacje przestrzenne między nimi, sposób ich oświetlenia itd. A gdy sprzedawał rzeźbę, w jej miejscu stawiał gipsowy odlew, by zachować wypracowaną harmonię.

Brâncuși obsesyjnie dbał o jakość używanych materiałów rzeźbiarskich i o ich ostateczną obróbkę. Pozostało w jego duszy coś z rzetelnego wiejskiego rzemieślnika, który jest dumny ze swoich warsztatowych umiejętności. Potrafił więc miesiącami szlifować i polerować stworzoną pracę, by osiągnąć efekt perfekcyjnej gładzi, która najlepiej odbijała światło. W sposób szczególny dbał także o postumenty do swoich dzieł. Bardzo starannie je projektował i dopasowywał do konkretnych prac, uważał za równoważną część dzieła. Zwiedzając wystawę, warto więc czasami przenieść wzrok z rzeźby na jej cokół i podumać, dlaczego artysta nadał mu taki, a nie inny kształt i w jakiej relacji pozostają oba te elementy.

W niemieckiej prasie z okazji wystawy jak refren powraca jeden wątek: ubolewanie, że Brâncuși pozostawał dotychczas w Niemczech słabo znany, i nadzieja, że dzięki tej ekspozycji może to się zmieni. Przedziwne to i zaskakujące, bo chodzi o jedną z najważniejszych figur sztuki minionego stulecia. Gdy w 1999 r. POLITYKA w specjalnej ankiecie poprosiła o wskazanie najważniejszych twórców XX w., rumuński rzeźbiarz znalazł się na siódmym miejscu, wyprzedzając m.in. takich tuzów jak Piet Mondrian, Jackson Pollock, Salvador Dali czy Francis Bacon.

Brâncuși był jednym z pierwszych, obok kompozytora George Enescu, wybitnych Rumunów, którzy w pierwszych dekadach XX w. przybyli na stałe do Paryża. Dziś, z perspektywy czasu i zweryfikowanych przez historię zasług, ich lista imponuje. Przypomnę, że nad Sekwaną znaleźli się jeszcze m.in.: filozofowie Mircea Eliade i Emil Cioran, rzeźbiarz surrealista Victor Brauner, współtwórca dadaizmu Tristan Tzara, dramaturg Eugène Ionesco, poeta Paul Celan czy dyrygent Sergiu Celibidache.

Artysta pozostawił po sobie 215 rzeźb. Katalogi tych, których miejsce przechowywania jest znane, obejmują ok. 140 rzeźb. Warto więc uważnie rozglądać się dokoła, może gdzieś w świecie jakiś nieuważny lub niewyrafinowany spadkobierca uznał stojący w kącie obiekt za „sprzęt metalowy" i chce beztrosko wyrzucić go na złom?

PIOTR SARZYŃSKI

Brâncuși, Neue Nationalgalerie, Berlin, wystawa czynna do 9 sierpnia.

© CENTRE POMPIDOU (2)

eprasa.pl c085a3b354

Dziewczyna pracująca

Zyskała sławę dzięki roli w kiczowatym „Zmierzchu", teraz debiutuje jako reżyserka filmem o traumie i o tym, jak tworzenie boli. Ale Kristen Stewart nigdy nie tańczyła, jak jej grają.

OLA SALWA

Molestował ją własny rodzic. Uzależniła się od alkoholu i narkotyków. Straciła dziecko. Miała związki z mężczyznami i kobietami. Uratowała ją autobiograficzna twórczość. „Wszystko, co przechowuję w pamięci, wiruje wokół wydarzeń w moim życiu jak woda" – pisze. Czy to mroczna przeszłość, którą przez lata skrzętnie chowała przed światem Kristen Stewart? Utnijmy te spekulacje już w tym miejscu, zanim fałsz wymknie się spod kontroli – kluczowego słowa w życiu Stewart. Przytoczone fakty nie pochodzą z życia 35-letniej aktorki; to historia i wypowiedź Lidii Yuknavitch, autorki „Chronologii wody", którą Stewart zekranizowała po latach przygotowań jako swój debiut reżyserski.

Film, który od 17 kwietnia można obejrzeć, czy raczej przeżywać – bo to opowieść skupiona na emocjach – to nomen omen czystej wody kino artystyczne. Narracja jest rwana, obraz czasem rozmyty, czasem mocno skupiony na fragmentach ciała bohaterki, Lidii (Imogen Poots), świetnej pływaczki, która marzyła o olimpiadzie. Zresztą jednym z tematów „Chronologii wody" jest ciało właśnie. Wykorzystywane przez innych, używane jako narzędzie do zdobywania laurów, dające przyjemność, męczone narkotykami. Kto śledził uważnie filmografię i czytał pogłębione wywiady ze Stewart, nie będzie zaskoczony jej debiutem. To nie kaprys celebrytki, która chce udowodnić, że jest poważną artystką, tylko jej kolejny, świadomie stawiany krok.

Tańczy do swojej muzyki

Co ujęło ją w książce Yuknavitch? „To, jak Lidia mówi o posiadaniu ciała i wstydzie z tym związanym. Robi to w sposób obleśny, zawstydzający, dziewczyński. To opowieść o dorastaniu, z jaką do tej pory się nie spotkałam" – mówi Stewart. „Dorastałam, oglądając cholerne »American Pie«, w którym goście onanizują się za pomocą skarpety, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, i było to przezabawne. No i teraz wyobraźcie sobie dziewczynę, która robi coś analogicznego. To z kolei byłoby przerażające i dziwne".

Kristen Stewart dodaje, że w książce „Chronologia wody" ujął ją też opis tego, jak kobiety robią wszystko, aby się przypodobać – innym i światu. Sama przyznaje, że nie jest typem buntowniczki i chce być lubiana jak każdy, ale nie zamierza wyginać się w chińskie osiem, żeby to osiągnąć.

Podczas większości wywiadów promujących ekranizację sagi „Zmierzch" i kolejne mainstreamowe filmy, w których wystąpiła, często wyglądała na znudzoną, bawiła się włosami, skubała brwi, ▶

© EMMA MCINTYRE/GETTY IMAGES

eprasa.pl c085a3b354

▶ machała nogą – złośliwi orzekli, że jest zblazowana i niewdzięczna. W odpowiedzi na to Stewart nie poszła na szkolenie medialne, tylko przyznała, że nie ma medialnej osobowości i nie przepada za powierzchownymi rozmowami. Szczerze, bez pozy czy nastoletniej arogancji.

„Nie tańczy tak, jak jej branża zagra, lub wedle tego, czego chce jej agent. Chroni siebie i potrafiła wybierać projekty tylko w zgodzie ze sobą" – mówi o niej francuski reżyser Olivier Assayas. Pracowali razem dwukrotnie – za zagranie asystentki gwiazdy (Juliette Binoche) w „Sils Maria" Stewart dostała francuską nagrodę filmową Cezar za najlepszą drugoplanową rolę – i to jako pierwsza Amerykanka w historii. W „Stylistce" była już na pierwszym planie, ponownie zagrała asystentkę sławnej osoby, ale jej postać najbardziej interesowało nawiązanie kontaktu z nieżyjącym bratem bliźniakiem i rozwijanie swoich umiejętności mediumicznych, w poważaniu miała zaś blichtr, drogie metki i szampana.

To samo można wytropić w jej podejściu do pracy w hollywoodzkiej branży pełnej fasad, czerwonych dywanów i drogich ubrań. Od lat współpracuje z luksusową marką Chanel, ale na oficjalne wyjścia nie przebiera się za lalkę. Zestawia kosztowne stroje tak, aby wyglądać dziewczyńsko, prowokująco, nowocześnie. Lubi *naked trend*, czyli wygląda, jak gdyby zapomniała kluczowego elementu garderoby: spodni lub bluzki. W ten sposób kontroluje czy też negocjuje swój wizerunek: Chcecie mnie na czerwonym dywanie? Proszę bardzo, ale na moich zasadach. Cannes nakazuje kobietom noszenie obcasów na galowe pokazy? To nie w porządku, więc zdejmę szpilki i pójdę boso.

Takie gesty nie są tylko na pokaz, skoro przygotowując się do adaptacji „Chronologii wody", Stewart często spała w samochodzie zaparkowanym pod domem Yuknavitch. A mogła zlecić asystentce znalezienie jakiegoś luksusowego hotelu w okolicy. Podejście, że liczy się praca, a nie jej otoczka, wyniosła z domu. I nikt jej tam nie dręczył ani nie molestował. Było skandalicznie wręcz dobrze i spokojnie.

Ellen Ripley nowej ery

Stewart wychowała się w rodzinie filmowców, ale nie gwiazd ekranu, tylko ciężko pracujących członków ekipy. Tata to kierownik planu, a mama przez większość życia pracowała jako sekretarka planu i dopiero po latach zaczęła reżyserować. Mała Kristen często wpadała do rodziców do pracy, chcąc uniknąć szkoły. Lubiła tę żywą, twórczą atmosferę i chciała być jej częścią. Jako dziecko mogła sprawdzić się w jednej tylko roli – i to dosłownie – dziecięcej aktorki. Zaczęła więc chodzić na castingi, ale po wielu niepowodzeniach postanowiła odpuścić. I wtedy właśnie dostała pierwszą rolę – w filmie „Witamy w naszej dzielnicy" reżyserki Rose Troche.

Kristen Stewart, tym razem jako reżyserka, z Imogen Poots w głównej roli Lidii na planie „Chronologii wody"

Spodobała się i następny występ był już u boku Jodie Foster w „Azylu" Davida Finchera. Dziesięcioletnia Stewart nieświadomie weszła na ścieżkę, którą miała kroczyć przez kolejne lata – pracy z filmowymi autorami oraz z silnymi, wyrazistymi kobietami. Zarówno przed, jak i za kamerą. Gdy grała Śnieżkę, to waleczną, w „Królewnie Śnieżce i Łowcy" – i z Charlize Theron w roli złej macochy rządzącej królestwem. Film jest zresztą w takiej samej mierze widowiskiem fantasy, jak i gorzkim komentarzem na temat losu kobiet hołubionych za urodę, wyrzucanych na śmietnik historii, gdy się starzeją. Z kolei w „Głębi strachu" Kristen, obcięta na zapałkę, gra współczesną wersję Ellen Ripley, tyle że jej przeciwnikiem jest potwór nie z kosmosu, ale z dna oceanu.

Jednocześnie, gdy Stewart słyszała komentarze, że grywa silne babki, podkreślała, że są to tylko naskórkowo feministyczne role i zagrywka branży. „Widzki chcą, aby kobiety na ekranie były silne, więc powstało wiele scenariuszy szytych pod kobiecą publiczność. Tyle tylko, że cała zmiana polega na tym, że męski bohater ma żeńskie imię. To nie są postaci kobiet. Kobieca siła wygląda inaczej. Te bohaterki po prostu imitują mężczyzn" – mówiła w rozmowie z magazynem „Interview". Sama jednak nie wchodziła w te koleiny, dając każdej ze swoich bohaterek siłę, nawet jeśli tylko sugerowaną spojrzeniem, gestem.

Determinację widać także w postaci Belli w „Zmierzchu" (pierwszą część nakręciła Catherine Hardwicke) – gotowej na wszystko, byle być z ukochanym wampirem Edwardem (Robert Pattinson). Stewart nigdy zresztą nie odcinała się od tamtej roli, przeciwnie – broniła i postaci, i swojej pracy w pięciu kolejnych filmach.

A te wychodzące między 2008 a 2012 r. były gigantycznymi hitami. Fani, a przede wszystkim fanki, mdleli na widok swoich idoli albo dostawali histerii i do upadłego dyskutowali o konkretnych scenach. Jeden z reżyserów kolejnej części „Zmierzchu" do dziś pamięta, jak zaskoczył go widok grupki wielbicieli Kristen, którzy stawili się na wiejskiej drodze o piątej rano z kwiatami, mimo że sceny były kręcone na bezludziu, a ich współrzędne ściśle tajne.

Z dnia na dzień aktorzy grający główne role stali się zwierzyną łowną. Polowali na nich paparazzi i wszelkiej maści plotkarze, także ci z raczkujących dopiero serwisów internetowych. O tym, jak niszczący może być wpływ tego rodzaju mediów, przekonały się na własnej skórze inne sławy – Amy Winehouse czy księżna Diana, którą (pewnie nieprzypadkowo) Stewart zagrała kilkanaście lat później w filmie „Spencer".

Prawdziwy szał miał dopiero nadejść, gdy Stewart i Pattinson stworzyli parę także poza ekranem. Każdy szanujący się plotkarz chciał wyszarpać choćby mały kawałek ich prywatnego życia – całus, wspólną kolację czy choćby spacer. Gdy Stewart po latach zdradziła Pattinsona z żonatym reżyserem, rozpętała się burza, a sprawę komentował na Twitterze nawet pomarańczowowłosy biznesmen Donald Trump. Oczywiście stanął po stronie mężczyzny, twierdząc m.in., że „stać go na kogoś lepszego". Jak aktorce udało się wyjść w miarę obronną ręką z tego polowania? Nie dała się zapędzić do medialnego tańca, między kolejnymi częściami „Zmierzchu" grała w niezależnych filmach, takich jak „Witamy u Rileyów", gdzie wciela się

© ANDREJS STROKINS

eprasa.pl c085a3b354

w nastoletnią striptizerkę, czy ekranizacji „W drodze” Jacka Kerouaca.

Zrobiła film, kupiła kino

Jak sama mówi, zawsze wiedziała, po co pracuje w swoim fachu – aby tworzyć dobre, autentyczne role, a nie dla sławy czy pieniędzy. Nie robi afer na planach, przeciwnie – szanuje pracę każdego członka ekipy. Gdy Assayas potrzebował skrócić jeden z filmów, wpadł na pomysł, że uprości napisy końcowe, bo „jest tam mnóstwo nazwisk, których nikt nie czyta”. Stewart zrobiła mu wtedy awanturę. „Dla ciebie to kilka sekund materiału, a dla nich coś niesamowicie ważnego” – wspominał jej słowa twórca „Sils Maria”.

Mimo tej sprzeczki bardzo ceniła sobie pracę z Assayasem w europejskim systemie produkcji, podobnie jak potem z Amerykanką Kelly Reinhardt albo Chilijczykiem Pablo Larraínem. Rola w filmie tego ostatniego – „Spencer” – przyniosła jej pierwszą nominację do Oscara. Cieszyła się z niej zresztą jak dziecko, nie udawała, że jest „ponad to”. Jednocześnie podpatrywała ich reżyserskie patenty, bo od dawna zamierzała stanąć po drugiej stronie kamery. Trumpowi też się odcięła, tyle że po pięciu latach. Gdy w 2017 r. była gospodynią komediowego programu „Saturday Night Live”, rzuciła: „Donald, jeśli wtedy ci się nie spodobałam, to teraz nie spodobam ci się tym bardziej, no bo wiesz, jestem meeeega homo, stary”.

Po rozstaniu z Pattinsonem Stewart miała dłuższe lub krótsze związki, także z kobietami, zakończone w zeszłym roku ślubem z filmowczynią Dylan Meyer. Warto to przytoczyć nie tyle w trybie plotkarskim, ile jako kolejny rys w charakterystyce aktorki. Gdy przyznała, że jest biseksualna, dystansowała się od roli przedstawicielki społeczności LGBT+. Nie chciała się ukrywać, ale też nie zamierzała zajmować się polityką, aktywizmem, mieszać się. Dziś patrzy na sprawę inaczej. „Cieszę się, że to, co robię, może pomóc komuś, kto się zmaga z własną tożsamością. To mnie nakręca. Gdy widzę, że jakiś dzieciak ewidentnie czuje coś, czego w czasach mojej młodości by do siebie nie dopuścił, aż skaczę z radości”. Dziś chce działać też na rzecz innej społeczności – niezależnych filmowców. Kilka miesięcy temu kupiła tyleż historyczne, co wymagające gruntownego remontu kino The Highland Theatre. Chce w nim pokazywać odważne, łamiące schematy filmy, ale nie – jak sama mówi – grupce snobistycznych kinofilów, tylko prawdziwym miłośnikom sztuki. Kręcić chce w Europie, a „efekty pracy wpychać do gardła amerykańskiej publiczności” – mówi z przekorą. Razem z przyjaciółmi przygotowuje niskobudżetowy film.

Wchodząca na nasze ekrany „Chronologia wody” mimo braku wątków autobiograficznych jest bardzo osobistym filmem, chociaż jak na ironię Stewart nienawidzi pływać i wchodzić do wody. Po prostu nie próbuje przypodobać się widowni poprzez tworzenie przyjemnej i linearnej narracji, rysuje portret delikatnej bohaterki, która ma jednak w sobie siłę i determinację, aby na przekór wszystkiemu zostać pisarką. Stewart nigdy więc nie była typową hollywoodzką księżniczką, którą ze snu obudził pocałunek prawdziwej miłości. To dziarska, pracująca dziewczyna. Jeśli meandruje, to tylko po to, aby idąc do celu, przeżyć coś ciekawego.

OLA SALWA

REKLAMA

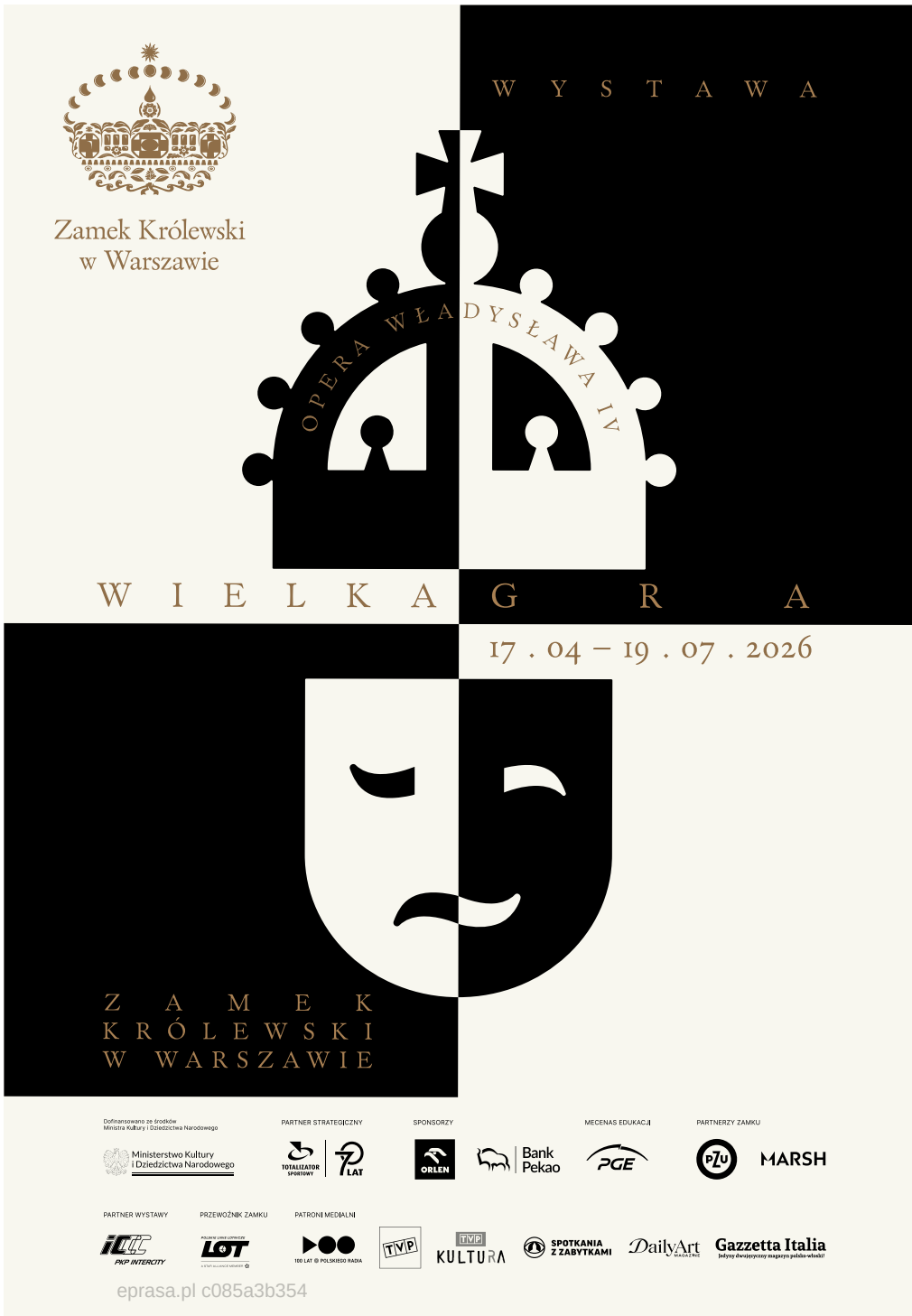

eprasa.pl c085a3b354

Świat w kropce

Kariera dziwnego rockowego duetu z Kanady pokazuje, że w czasach algorytmów zaskoczenia są jeszcze możliwe. I przypomina, że jest życie pomiędzy półtonami w muzyce.

BARTEK CHACIŃSKI

Wygląd Angine de Poitrine odciąga uwagę od muzyki. Khn i Klek (to pseudonimy członków duetu) występują w strojach w kropki – białe na czarnym tle lub czarne na białym – i w maskach z długimi nosami, jak postacie z kreskówki. Khn gra na instrumencie będącym połączeniem gitary i basu, a Klek – na perkusji. Kilka miesięcy temu łatwo byłoby ich wziąć za animatorów przedszkolnych, bo w świecie muzycznym prawie nikt ich nie znał – może poza lokalną sceną rodzinnego Quebecu, francuskojęzycznej prowincji Kanady. Ale w grudniu ubiegłego roku wystąpili na francuskim festiwalu Trans Musicales de Rennes, gdzie przy okazji nagrało im sesję radio KEXP. Całość poszła w świat na YouTube, doczekała się wielomilionowej widowni, fragmenty publikowane na Instagramie i TikToku stały się wiralami, a Dławica Piersiowa (tak należałoby przełożyć nazwę zespołu na polski) – globalnym fenomenem.

Pierwsza płyta tej rockowej grupy, wydana dwa lata temu i wcześniej kompletnie niezauważona, zaczęła osiągać na winylu ceny powyżej tysiąca euro. Nakład drugiej, wydanej 3 kwietnia „Vol. II", rozszedł się błyskawicznie, magazyn świeci pustkami, na aukcjach spekulanci handlują płytami po 200–300 dol. „Kiedy zapowiedzą światową trasę, powinni jeszcze sprecyzować, w którym świecie", zauważył przytomnie jeden z komentatorów. Na razie jednak ponad 80 koncertów zaplanowanych w różnych miejscach globu do końca tego roku sprzedało się na pniu.

Quebecki żart

Wybuch internetowej sławy zastał tajemniczy duet w Quebecu, więc pierwszą okazję do jej skonsumowania miały tamtejsze media. Zamaskowani muzycy pojawili się więc w „Tout le monde en parle" (dosł. O tym mówią wszyscy), najpopularniejszym miejscowym talk-show, gdzie popisywali się nieartykułowanymi rykami i piskami (konsekwentnie udają, że pochodzą nie z tego świata, więc nie znają francuskiego). Na tegoroczne nagrody Gala Les Olivier przyznawane najlepszym quebeckim komikom prezenterka Korine Côté wyszła w stroju w grochy, z wielkim nosem z tektury i pozdrawiała publiczność rękami ułożonymi w trójkąt, udając, że nazywa się Korine de Poitrine. Kostium był najwyraźniej pożyczony z garderoby Angine de Poitrine, którzy stali się tak popularni, że komicy piszą o nich skecze.

Ukrywanie tożsamości pod maskami – jak u The Residents, Daft Punk czy Lordi – w takich sytuacjach zwykle potęguje zainteresowanie. Pojawiły się więc spekulacje, kim są członkowie nowej grupy i jak długo im nie wychodziło na rynku (podobno nawet kilkanaście lat, m.in. pod szyldem La Poëysce), dopóki nie znaleźli tej nowej, spektakularnej metody. W lokalnej telewizji śniadaniowej tłumaczyli swoimi piskami (przekładanymi na francuski – swoją drogą we frankofońskiej kulturze muzycznej wymyślone języki to tradycja sięgająca legendarnej Magmy), na czym polega ich wizja muzyki gitarowej. „Masz dwa gryfy, a na każdym można zagrać dwa razy więcej nut niż normalnie, więc ryzyko błędu jest dwa razy większe" – opowiadali.

Właśnie: więcej nut. Jednocześnie w sieci, gdzie każdy materiał o Angine de Poitrine zbiera wielotysięczne zasięgi, pojawiły się poradniki: jak grać riffy, które skomponował Khn, a przede wszystkim – jak zmodyfikować w tym

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c085a3b354

celu gitarę elektryczną, doklejając dodatkowe progi. Bo na zwykłej nie da się ich odtworzyć. Są też propozycje gotowych instrumentów do kupienia oraz zabawne przeróbki nagrań Kanadyjczyków. Wszystko to bowiem jest głównie opowieścią o tym, w jaki sposób niemal z dnia na dzień coś, co dotąd traktowano jako egzotykę lub awangardę, czyli muzyka mikrotonowa, może się stać zjawiskiem głośnym i masowym.

Khk ma dwa razy więcej progów na gryfie gitary nie bez powodu. Zwykła gitara – ale też np. tradycyjny fortepian – daje do dyspozycji dwunastostopniową paletę dźwięków, na której zbudowano większą część tradycji muzyki zachodniej. I sprawia, że stajemy się jej więźniami. Inaczej niż np. skrzypce czy puzon, które dają szansę odegrać wszelkie możliwe stany pośrednie. Ten fenomen znają dobrze rodzice dzieci stawiających pierwsze kroki w grze na skrzypcach – tyle że dla nich fakt, że dziecko gra mikrotonowo, nie trafiając w odpowiedni dźwięk, jest zwykle powodem frustracji, a nie dumy.

Małe dużo zmienia

Tymczasem Angine de Poitrine są zespołem gitarowym, a jednak też słychać u nich to coś pomiędzy jednym półtonem a drugim, czyli coś spomiędzy progów w zwyczajnej gitarze albo klawiszy w pianinie: ćwierćtony. To dlatego ich melodie bardziej przypominają choćby skale bliskowschodnie (arabskie, perskie), w które mniejsze interwały są wpisane z natury.

To poszerzenie palety o mikrotony w muzyce popularnej to bynajmniej nie quebecki wynalazek. Kilka lat temu ściągnęło falę zainteresowania na australijską grupę King Gizzard & The Lizard Wizard. Jej lider Stu Mackenzie, zafascynowany muzyką turecką i perską, chwycił najpierw za tradycyjny irański setar i spróbował przełożyć jego możliwości na gitarę, modyfikując ją dodatkowymi progami. Płyta „Flying Microtonal Banana" przyniosła zespołowi rozgłos, a utwór „Rattlesnake" stał się czymś najbliższym mikrotonowego przeboju, jak tylko można sobie wyobrazić. King Gizzard od lat zapraszany jest na największe festiwale, także do Polski: od Pol'and'Rock (tu ostatecznie z powodów zdrowotnych nie dotarli) aż po zeszłoroczny Inside Seaside, gdzie wystąpili z orkiestrą.

Mieliśmy też okazję zobaczyć w Polsce amerykańskich Horse Lords, jeszcze jeden zespół tej fali inspirujący się muzyką Wschodu (dziś choćby „Utzp" Angine de Poitrine wprost odnosi się do Orientu). Choć ci wszyscy, którym istnienie zjawiska na łonie muzyki rockowej umknęło, też mieli okazję usłyszeć mikrotony. Bo i na nasze listy bestsellerów zawędrowała Dua Lipa ze swoim „Good in Bed", gdzie ćwierćtony pojawiają się w refrenie: „Bad, bad, bad, bad, bad!", który brzmi dzięki temu jak lekko sfałszowany.

Pamiętamy wreszcie Nancy Sinatrę, której kontrabasista w przeboju „These Boots Are Made for Walkin'" już w latach 60. zagrał partię mikrotonową. A utwór wylądował w 1965 r. na pierwszym miejscu listy bestsellerów Billboardu. Co można by uznać za wynik pionierski, gdyby nie to, że wiele nurtów – w tym jazz i blues – od dawna operowało interwałami mniejszymi niż półton, elementem ich ekspresji były i są dźwięki zawieszone niejako między stopniami skali.

Czasem to „zawieszenie" wychodziło przypadkiem – jak w słynnym oryginalnym nagraniu „Strawberry Fields Forever", znanej piosenki The Beatles, której tonację zmieniły manipulacje taśmą w studiu nagraniowym. John Lennon uparł się, żeby połączyć dwie różne wersje, różniące się tempem, stopniowo więc przybliżono je do siebie, zmieniając obroty magnetofonu. Nie bez powodu mikrotonowe riffy gitarowe Angine de Poitrine też wydają nam się czasem dziwnie zmieniać tempo.

W zachodniej muzyce fakt, że wysokość dźwięku jest nieograniczonym continuum, od dawna wykorzystywał też świat muzyki poważnej. Regularnie po ćwierćtony sięgał Charles Ives, później m.in. Pierre Boulez czy Krzysztof Penderecki, w ostatnim czasie np. Paweł Mykietyn w opisywanym w POLITYCE II Kwartecie smyczkowym. Francuska kompozytorka Pascale Criton na poszerzonej palecie uwzględniającej 1/4 czy 1/16 tonu oparła całą swoją twórczość. Harry Partch, chcąc wrócić do sposobu myślenia starożytnych Greków, proponował podział oktawy na 43 interwały, Ezra Sims – na 72. Twórcy muzyki elektronicznej – jak choćby Karlheinz Stockhausen, a później Wendy Carlos – w sposób naturalny zwracali się ku mikrotonowości, bo posługiwanie się taśmą czy syntezą dźwięku to ułatwiało.

Jeden z najważniejszych pionierów muzyki mikrotonowej, Czech Alois Hába, nie tylko pisał jeszcze przed wojną muzykę w tym nurcie (włącznie z dużymi formami, jak ćwierćtonowa opera „Matka"), ale też projektował instrumenty pozwalające ją wykonywać: ćwierćtonowy fortepian i 1/6-tonową fisharmonię (zbudowane przez niemiecką firmę August Förster). Faszystowskie władze wpisały Hábę na listę twórców zakazanych, po wojnie komuniści odwiedli go od poszukiwań formalnych, ale instrumenty przetrwały (część eksponowana jest w Czeskim Muzeum Muzyki w Pradze).

Oszukać algorytmy

W wypadku Angine de Poitrine na tonach się jednak nie kończy. Dochodzą do tego nieoczywiste dla muzyki rockowej podziały rytmiczne: 5/8, 7/8 czy 12/8, które zespół wykorzystuje, jednocześnie posługując się urządzeniem do zapętlania fraz – dzięki czemu basista może być zarazem gitarzystą. Sporo w tym więc matematyki, jak w nagraniach King Crimson, Rush czy Battles. „Okazuje się, że jeśli chcecie się stać wiralem na TikToku, nie wystarczy założyć kostiumy w kropki" – zauważa David Bruce, brytyjski kompozytor muzyki współczesnej i youtuber, oceniając niemały stopień komplikacji rytmów duetu z Kanady.

Przypadek Angine de Poitrine pokazuje jeszcze coś: kanały mediów społecznościowych przestały już proponować tylko najpośledniejszą rozrywkę. Wypełniły się na tyle, że sporo w nich treści całkiem złożonych. A na YouTube od dawna jest miejsce dla muzykologicznych analiz najnowszych trendów – ten omówili już niemal wszyscy popularni fachowcy z tej branży. Bo nie sposób tego zignorować, trudno też nie wykorzystać – coś tak ożywczego nie pojawia się codziennie. W Polsce Maciej Karbowski z kanału Nebula Studio docenił u Angine de Poitrine właśnie nieprzewidywalność w czasach muzyki generowanej przez sztuczną inteligencję na bazie tego, co już znamy: „AI nie jest w stanie wymyślić niczego tak naprawdę oryginalnego".

Pytanie oczywiście, ile czasu blask nowości przetrwa i czy Khn i Klek mają jeszcze jakiś pomysł na siebie. Na razie pokazali i tak dużo: da się oszukać algorytmy social mediów, najlepiej jednak swój złożony pomysł przebrać w kostium żartu, żeby wylądował na TikToku i w telewizji śniadaniowej. Ten przykład zachęci innych. ■

eprasa.pl c085a3b354

FELIETON

Sulej

Bal przebierańców

Miałam dwa ulubione kostiumy na bale karnawałowe w przedszkolu. Jeden to „Chinka" zwana też „Japonką": różowy szlafrok ze smokiem, wbite w koczek pałeczki do sushi i długie kreski na powiekach sugerujące skośne oczy. Drugi to „Cyganka": długa patchworkowa spódnica, kwietna chusta na głowie, duże kolczyki koła i bransolety na rękach. Czułam się wspaniale i jako pięciolatka nie miałam pojęcia, w kogo się właściwie bawię, a moi rodzice nawet sobie nie wyobrażali, że w moich przebraniach może być cokolwiek niewłaściwego. „Cyganka", „Chinka", „Indianka", „Murzynek" stały w tym samym rzędzie co „księżniczka", „pszczółka", „biedronka" i „Myszka Miki" – szereg przebrań do wyboru dla małej białej dziewczynki w młodziutkiej III RP, na samym początku lat 90.

Ta dziewczynka poszła studiować kulturoznawstwo, została aktywistką i przygląda się dzisiaj swym zdjęciom z przedszkola jako dowodom w sprawie, tylko z pozoru błahej – kulturowemu przywłaszczeniu. Nie, to nie jest termin zapożyczony od amerykańskich studentów, to pojęcie, które opowiada o cierpieniu zadawanym tym, czyja kultura służy za egzotyczną dekorację. Bo nikt nie chce być redukowany do kilku rekwizytów, stereotypizowany.

Już słyszę ten jęk: „Och, no naprawdę, w d*** się poprzewracało". Ja wolę mówić, że świat staje się trochę lepszy za każdym razem, kiedy mamy na tyle empatii, żeby jednak nie włożyć bluzki w stylu „cygańskim" ani nie nazywać kogoś „Cyganem" zamiast „Romem". W słowniku polszczyzny PWN „cygan" oznacza też osobę, która kradnie i kłamie. Co z tego, że to w drugim podpunkcie, skoro osoby, które tak o Romach mówią, mają ten podpunkt zrośnięty z pierwszym, co podsumowuje się argumentami w stylu „w każdym stereotypie jest ziarno prawdy".

Wciąż podobne reakcje budzą takie słowa jak „Murzyn" czy „Indianin", argumentuje się, że przecież my niczego niewłaściwego na myśli nie mamy. Czy to znaczy, że jeśli ktoś czuje się dotknięty i tłumaczy, dlaczego zamiast uszanować jego wolę, należy go przekonać, że jest przewrażliwiony lub zwariował? Przecież to kulturowy (uwaga, modne słowo) *gaslighting*. Siedź cicho, ofiaro, co się rzucasz. Władza nie chce się zmieniać, nie chce oddawać pola, traktować „innego" po partnersku. Podałam przykłady kostiumów, ale społeczności, których zdania i wrażliwości powszechnie się nie szanuje, jest więcej.

Nie wymienię wszystkich, ale dodać wypada: osoby z niepełnosprawnościami (zwane „inwalidami" i „kalekami"), osoby z zaburzeniami psychicznymi (zwane „wariatami" lub „szaleńcami"), geje (zwani „pedałami i ciotami"), lesbijki („lesby, babochłopy"). Jestem pewna, że gdyby jakieś dziecko fanatycznych nacjonalistów przebrało się za „tęczową lambadziarę z psieckiem", uznano by to za zabawny pomysł. Niech idzie zapozować do grupowego zdjęcia obok „Chinki" i „Indianki"!

Solidarność polega na tym, że kiedy jakiejś grupie dzieje się krzywda, to idziemy i naprawiamy tak, żeby się nie działa. W Polsce ta solidarność wciąż jest bardzo wybiórczo rozumiana. Na niektóre protesty się chodzi, ale generalnie raczej każdy sobie. Grupy, których u nas jest mniej, to nie nasz problem, wiedza o prawach człowieka i społecznej empatii jest niekonieczna, nie jesteśmy krajem imperialistycznym, sami dostawaliśmy tylko po głowie, niech o nas lepiej dbają. Jasne – nie byliśmy imperium, ale to tylko powinno nam ułatwić empatię. Czy nie ma o nas *Polish jokes*? Czy nie jest tak, że Polak w Niemczech kradnie samochody?

Nie chodzi o to, żeby się teraz wzajemnie obwiniać, lecz o to, byśmy się zastanowili, jak się w tym różnorodnym świecie urządzić, żeby żadna społeczność nie czuła się traktowana z pogardą, bez prawa do podstawowej wiedzy o niej i szacunku. Żeby, jeśli się korzysta z jej dorobku i tożsamości, przynajmniej zapytać: „Czy mogę? Czy robię to dobrze?". Nawet dzieciom w piaskownicy się mówi, żeby nie brały cudzych zabawek bez pytania.

Justyna Steczkowska się oburzyła, kiedy Joanna Talewicz z Fundacji W Stronę Dialogu powiedziała jej, że ją boli to, jak w swoich mediach społecznościowych promuje trasę koncertową z „muzyką cygańską", okryta złotymi wisiorami, półnaga, rozpuszczony zmysłowo włos, karty, z których wróży. Talewicz to nie śmieszy – jako Romki – za to czuje się wyśmiana. Ale w powszechnym odbiorze tą „biedną" okazuje się Justyna, zdaniem obrońców niesłusznie atakowana, bo przecież przemawia przez nią fascynacja kulturą romską i poczucie humoru.

> Justyna Steczkowska się oburzyła, kiedy skrytykowano ją za to, że promuje trasę koncertową z „muzyką cygańską".

Wyobrażam sobie, co by się działo w mediach, gdyby – dajmy na to – Beyoncé przebrała się za góralkę w stylu sexy: lateksowe kozaki z parzenicami, haftowane miniszorty, top z góralskiej chusty, czoker z czerwonych korali, włosy afro. I do tego układ choreograficzny z ciupagą. O matko! Wszystkie amerykańskie dzieci, a w szczególności „Murzyniątka", z radością by się tak przebierały na Halloween. Sukces murowany! Kogoś to uraża? Niech wyluzuje, przecież to komplement.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl c085a3b354

FELIETON

Orliński

Kryzysy i kompromisy

Media straszą nas perspektywą wyjścia USA z NATO. To oczywiście nie byłaby dobra wiadomość, ale też nie powód do paniki. Bardziej przeraża mnie perspektywa katastrofy gospodarczej wywołanej przez nieprzemyślane działania Donalda Trumpa. Co będzie, jeśli jutro ogłosi wyjście z NATO? Po pierwsze: złamie amerykańskie prawo. Nie pierwszyzna dla niego, zgoda, ale po drugie: traktat przewiduje roczne wypowiedzenie. Jesienią są wybory, które Trump albo zablokuje (a wtedy i tak nie chcemy takiego sojusznika), albo straci po nich kontrolę nad parlamentem. Nowy Kongres poprosi nas, żebyśmy nie zwracali uwagi na dalsze wrzaski prezydenta, teraz już szczęśliwie bezsilne. I wszystko pójdzie w zapomnienie.

A jeśli Putin zaatakuje do listopada? W praktyce ruszy na Łotwę i/lub Estonię, z innymi państwami NATO ma zbyt problematyczną granicę. Teoretycznie może napaść na nas z Królewca, ale to by w praktyce dało nam szansę naprawienia błędu króla Zygmunta sprzed 500 lat, gdy polskie wojska były „pół mili" od krzyżackiej stolicy, ale niepotrzebnie zgodziliśmy się na rozejm i hołd pruski (i tylko Stańczyk wiedział, czym to się skończy).

Wszystkie państwa bałtyckie i nordyckie należą do sojuszu JEF (Joint Expeditionary Force), powołanego pod egidą Wielkiej Brytanii i zaprojektowanego tak, by działać natychmiast (zanim kraje NATO zakończą konsultacje w sprawie art. 5). Jest też elastyczny, czyli każdy może szybko dołączyć (np. Ukraina), nie oglądając się na NATO.

> Dotychczas NATO z każdego kryzysu znajdowało kompromisowe wyjście. Może wygłupy Trumpa też przyniosą dobre rozwiązania?

Hipotetyczny rosyjski atak na Estonię byłby atakiem na JEF. A więc pierwszego dnia wojny duńskie cieśniny zostają wreszcie zamknięte na dobre, wszystkie rosyjskie jednostki pływające na Bałtyku są internowane lub zatopione, szwedzkie Grippeny bombardują resztki rosyjskiej infrastruktury portowej (która i tak od paru tygodni płonie, nieustająco bombardowana przez Ukrainę), Finlandia odzyskuje Karelię, a brytyjskie Tridenty stają w gotowości bojowej na wypadek, gdyby Putinowi przyszło do głowy coś jeszcze głupszego. Poradzimy sobie bez USA.

Jasne, Trump spowodował kryzys w sojuszu, ale historia NATO to nieustający ciąg kryzysów. Po 1945 r. alianckie mocarstwa miały rozbieżne wizje powojennego ładu. Amerykanie marzyli o silnej roli ONZ we współpracy z sojuszami regionalnymi. Reliktem tej wizji są wzmianki o ONZ w pakcie północnoatlantyckim. W naiwnej wizji Roosevelta istotną rolę miał tu odgrywać ZSRR, czego oczywiście nie chciała Europa. Brytyjczykom marzył się pakt odzwierciedlający ich „specjalne relacje" z USA. Reliktem tej wizji jest Oceania w „Roku 1984" Orwella. Francuzi z kolei chcieli paktu wykluczającego Niemcy (reliktem ich oporu było zaproszenie RFN dopiero w 1955 r.).

Zachód nie mógł się dogadać, ale coraz bardziej agresywne poczynania Stalina uświadomiły wszystkim pod koniec lat 40., że jakiegoś sojuszu potrzebują na wczoraj. Stąd zgoda na plan B, który wypracował belgijski premier Paul-Henri Spaak (Dlaczego zachodnie struktury są bezradne wobec weta kraju wielkości Słowacji? Bo wymyślono je w kraju wielkości Belgii).

Interesy zachodnich mocarstw zawsze były rozbieżne, dlatego pakt zaprojektowano tak, żeby nikt nie mógł nikogo wciągnąć w swoją wojnę zaczepną. W 1956 r. Anglia, Francja i Izrael napadły na Egipt. Eisenhower nie tylko ich nie poparł, lecz także stanął w obronie Nasera, zmuszając sojuszników do kapitulacji. Charles de Gaulle chciał wyjść z NATO, ale art. 13 traktatu stanowi, że przez pierwsze 20 lat jest to niemożliwe. Gdy w 1969 r. ten okres minął, de Gaulle był na wylocie. Jedynym trwałym skutkiem było więc przeniesienie siedziby z Paryża do Brukseli.

W 1974 r. zorganizowano szczyt na 25-lecie sojuszu. Gdy go planowano, Richard Nixon był świeżo po triumfalnej reelekcji. Gdy do niego doszło, odchodził w niesławie. W rezultacie sojusznicy odwoływali udział w przyjęciu w amerykańskiej ambasadzie. Holenderski premier Joop den Uyl wzniósł się na wyżyny dyplomacji, tłumacząc, że nie ma czasu dla prezydenta USA, bo musi oglądać mecz Holandia–Argentyna. Kryzys przyniosła też wojna o Falklandy. Amerykanie wspierali argentyńską juntę, więc początkowo sami nie wiedzieli, po czyjej są stronie.

Z kryzysu zrodziła się nasza akcesja. W 1997 r. państwa NATO były podzielone co do tego, czy w ogóle przyjmować kraje naszego regionu, a jeśli tak, to kogo. Tony Blair wspominał, że podczas tych kłótni miał wrażenie, że Gerhard Schröder chce go uderzyć. Ostatecznie wypracowano typowo brukselski kompromis: listę trzech państw, na której mieliśmy szczęście się znaleźć (razem z Czechami i Węgrami). I to już optymistyczna puenta: dotychczas NATO z każdego kryzysu znajdowało kompromisowe wyjście. Grupa G7 zrodziła się z kolejnego paraliżu, gdy NATO nie było w stanie się zebrać i podjąć decyzji (wówczas jako grupa G5). Kto wie, może wygłupy Trumpa też na dłuższą metę przyniosą dobre rozwiązania.

WOJCIECH ORLIŃSKI

PS Ciekawostki z historii Sojuszu przytaczam za „NATO. From Cold War to Ukraine" Stena Rynninga.

eprasa.pl c085a3b354

Chutnik Plebanek

Głośniej nad tą trumną

Kiedy umiera pisarz, mówi się, że był wielki. W redakcjach wyszukuje się przygotowany na zaś życiorys. Zapobiegliwie uaktualniany, zawsze pod ręką, bo im starszy autor, no wiadomo, kwestia czasu... Lecą więc spisy nagród, zaszczytów, tytułów. Tytułów, które nosił, bo był przez chwilę prezesem albo jeszcze lepiej, profesorem. Tytuły dzieł wymienia się tylko wtedy, jeśli doceniła je krytyka.

Krytyka, ciało wieloosobowe zamknięte w kręgu siedmiu liter, zbiera się nad trumną pisarza, jak krasnoludki wokół ciała Śpiącej Królewny. Najpierw taktownie milczą. Potem półgębkiem wspominają, ale w samych superlatywach. Wreszcie, popatrując łzawo, rzucą anegdotę. Im dalej w las, tym obficiej. I naraz wychodzi, z kim to pisarz spał, że mógł się ześwinić, a jednak wysoko niósł sztandar przyzwoitości. Narasta i podskórny nurt wspominków, jak ten o nierealnym podejściu nieboszczyka do zawodu. Bo przecież Sztuka (pisana wielką literą i na klęczkach) to walka. Nikt niczego nie obiecywał, a ten tu – proszę bardzo! – oszalał na starość. Kto liczy na zarobki z pracy twórczej?! Toż to zaprzeczenie idei Sztuki. Nie profanujmy monetami złotych zgłosek natchnienia.

Czasem, zwłaszcza jeśli pisarz był nobliwy, wytacza się resentymentalne bajanie, jakby ckniło się za toposem intelektualisty. Zmarły nie miał konta na Facebooku, w golfie chodził i przetartych adidasach. Nie zważał na dobra doczesne, niosła go twórczość. Jadł papier, popijał atramentem, odbijało mu się zakurzoną książką. I tak to romantyzujemy personę siedzącą przy biurku, potrzebną tylko do tego, by raz na jakiś czas wyciągnąć ją zza kotary biedniusieńkiej biblioteki. A kiczowaty ów obrazek pochodzi z lamusa i nie ma nic wspólnego z ponurą rzeczywistością.

> Zachwycajmy się literaturą, no i obiecujmy! Przecież pisarzy i tak nikt nie będzie brał na poważnie. Chyba że po śmierci.

Tymczasem nasz pisarz nadal nie żyje. Za jakiś czas do urzędu miasta wpływa wniosek, by nadać ulicy jego imię. Może znajdzie się chociaż wolny skwerek na nowym osiedlu? Przyjeżdża polityk, rozpościera pawi ogon, a na nim wielkimi literami wytłuszczone, że czytanie jest dobre i potrzebne, również ze względu na patriotyzm. Osoba polityczna przecina wstęgę i odjeżdża swoim SUV-em. Ma furę spraw do załatwienia, trwa protest rolników i górników, ludzi, którzy naprawdę pracują.

Jest w tej baśniowej powtarzalności gorycz. I wściekłość, że nikt nad grobem nie mówi o prawdziwym życiu pisarza. O tym, że nie miał emerytury, bo twórcy niezatrudnieni nie mają do niej prawa. Na szczęście żona dzierżyła etat, więc życzliwi pocieszali: „Urządziłeś się. Emerytury nie masz, ale stara cię utrzymuje". A on nawet oszczędności się nie dorobił, bo ze sprzedanego egzemplarza kapało mu kilka procent zarobku. Cieszył się z tego jak głupi, z książki wycenionej na 60 zł miał chrapkę na 4 zł, ale musiał obejść się smakiem – produkt pisarza upłynniano za 40 zł albo i za 20. Nikt nie wiedział, ile sztuk dzieła sprzedano, na pewno nie pisarz.

Kiedyś się wściekł i został działaczem. Tyrał społecznie, wyrabiał pro bono roboczogodziny. Ale europejskie organizacje pisarzy nie zamierzały się narażać wydawcom ani dystrybutorom. Niezrażony, żebrał u polityków, by wprowadzili status artysty. Nie wsparli go koledzy ani koleżanki po piórze. Część z nich twierdziła, że im się powodzi fantastycznie. Nie po to mozolnie skrobią po soszalach, żeby im ktoś torpedował markę. Wypięli się na niego i ci, którzy z masochistyczną radością weszli w rolę XIX-wiecznego suchotnika, który by tworzyć, musi głodować. Podnieśli się też krzykacze, bo aktywiści to banda uprzywilejowanych burżujów i nic im się nie należy, a na pewno nie status artysty. A co z technikami pracującymi przy ambitnych produkcjach? To niesprawiedliwe! Po co komu godne życie, skoro innym będzie przykro. Pisarz tak długo się nad tym wszystkim zastanawiał, że aż umarł.

Z okazji nazwania skweru jego imieniem zrobiono dodruk dzieł. Książki w twardej oprawie sprzedały się na pniu. Wdowa nie zobaczyła z tego ani grosza, na szczęście miała emeryturę. Polityk od wstęgi obiecał, że pomyśli nad statusem artysty. W końcu o jego awansie do władz ogólnokrajowych zadecydował nieoczekiwanie elektorat, którego nie brano pod uwagę w sondażach.

Byli to czytelnicy opłakujący pisarza. Tłum stał i płakał, a polityk zacierał ręce. Wyobrażał sobie, jak na następnym pogrzebie obieca autorom system ubezpieczeniowy. W ogóle bardzo dużo obieca, bo nad trumną nikt nie będzie pytał: „A kiedy wejdą w życie te zmiany?". Kolejni twórcy odejdą na wieczne pisanie i jakoś się ułoży. Młodzi w ich ślady nie pójdą, bo chcą zostać głównie influencerami, a zresztą: niech zakładają firmy, postarają się o dofinansowanie. Co z tego, że nie mogą tego zrobić w systemie KPO, bo literatura nie została w nim uwzględniona? Trudno. Niech kombinują.

I tak hołubi się pisarzy, pod warunkiem że nie żyją. A zatem głośniej nad tą trumną, zachwycajmy się literaturą, no i obiecujmy! Przecież i tak nikt nie będzie ich brał na poważnie. Chyba że po śmierci.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl c085a3b354

Hartman

Doktorancka niedola

Nie pamiętam czasów, w których doktoranci nie narzekali na swój los. Tym bardziej nie pamiętam (a i najstarsi górale też nie), żeby kiedykolwiek doktorantom działo się tak dobrze, jak dziś. Co nie znaczy, że nie narzekają ani że do jakiegoś stopnia nie mają racji. Mają jej dużo, a stare wygi akademickie w swej chytrości skwapliwie i po gombrowiczowsku im potakują. Zyskują na tym popularność i więcej siły przebicia „na Wspólnej", czyli w resorcie. Zresztą na uczelniach dawno już zapanowała pajdokracja, czyli władza młodzianków, więc dziekani i rektorzy dogadzają studentom i doktorantom, jak tylko mogą. Nic przeto dziwnego, że apetyty rosną.

Ostatnio dwójka młodych uczonych, Alan Żukowski i Martyna Stępień, poskarżyła się w samym mitycznym „Science" na doktorancką niedolę. Treść skargi nie różni się od wielu podobnych, jakie słyszeliśmy na przestrzeni minionych kilku dekad. Doktoranci mało zarabiają, nie mają przywilejów należnych pracownikom i traktowani są nie dość poważnie. Generalnie to się zgadza.

Problemy biorą się z tego, że status *graduate student* jest pośredni między studentem a pracownikiem. W Europie tzw. robienie doktoratu to dosłownie „trzeci poziom studiów". Nie ma więc właściwie powodu, żeby to doktorantom płacić, a nie odwrotnie. A właściwie jeden powód jest, ale nie do wszystkich doktorantów się stosuje. Jest nim wykonywanie pracy naukowej i dydaktycznej. I tu jest pies pogrzebany. Ja go odgrzebię i naruszę tabu. Otóż doktorat doktoratowi nierówny i nierówny doktorant doktorantowi. Znaczna część doktoratów to prace pisane wyłącznie po to, żeby „zrobić doktorat", a prowadzone przez doktorantów zajęcia dydaktyczne to w wielu przypadkach nieudolne terminowanie w zawodzie nauczyciela kosztem studentów. Prace takich „doktorantów na stopień" są takim samym ćwiczeniem, jak prawie wszystkie prace magisterskie, tyle że kilkakrotnie bardziej czasochłonnym. Są i doktoraty, które, owszem, mają wartość poznawczą czy nawet naukową, lecz zupełnie marginalną, przyczynkarską i przypominają fachową ekspertyzę. No i wreszcie mamy doktoraty w pełni naukowe. Nie mam pojęcia, jaki odsetek całości stanowią te ostatnie, lecz np. w filozofii prace doktorskie mające walor przyzwoitej książki lub serii artykułów to może jedna czwarta wszystkich dysertacji.

> Złudzeń i pychy jest w świecie akademickim pod dostatkiem. A do tego dochodzi świadome udawanie, że uprawia się naukę.

A płacić trzeba wszystkim – zarówno prawdziwym młodym naukowcom, którzy będą już na całego wykonywali ten zawód, jak i tym, którzy po prostu „robią doktorat" i chcą mieć „dr" przed nazwiskiem. Właśnie dlatego stypendia są dość niskie. Zakłada się przy tym, że „prawdziwy" doktorant dorobi sobie w grancie, czyli programie badawczym finansowanym przez agencję rządową. Taki grant może być własny, może to być grant promotora albo kogoś jeszcze innego. I w wielu przypadkach daje to naprawdę dobre dochody. Sam spotkałem doktorantów zarabiających więcej od niejednego profesora.

Niestety, niektórzy nie mają tyle szczęścia i muszą harować w prawdziwej nauce za marne grosze. Nie wiem, ile jest takich osób, ale z pewnością nie jest to zjawisko masowe. Sporo tu jednak całkiem nieuzasadnionej frustracji, albowiem istnieje pewna wstydliwa kategoria doktorantów, która nie będąc małą, dużą ma do frustracji skłonność. A są to doktoranci, którzy niczego ważnego i wartościowego nie robią, ale z różnych powodów wydaje im się, że właśnie robią.

Albowiem złudzeń i pychy jest w świecie akademickim pod dostatkiem. A do tego dochodzą jeszcze maskarady polegające na świadomym udawaniu, że uprawia się naukę. Doktoranci bardzo często są w takie gierki wciągani, a że mają nikłe doświadczenie, łatwo im wmówić, iż robią ważne rzeczy za półdarmo. No i teraz, gdy zsumujemy niezbyt licznych pokrzywdzonych z liczniejszymi pozornie tylko pokrzywdzonymi, to może nam wyjść sporo. Ale to zafałszowany obraz.

Szesnaście lat temu napisałem dla „Gazety Wyborczej" artykuł o doktorantach, w którym znajduje się zdanie następujące: „Oczekiwanie, że doktorant będzie cieszył się pełnią praw pracowniczych, jest nieskromne i egoistyczne. Gdyby miało tak się stać, wydatki państwa i uczelni na jednego doktoranta bardzo by wzrosły, a tym samym znacznie mniej osób mogłoby korzystać ze stypendiów". Za to zdanie brać doktorancka mnie znienawidziła i ciągnie się to za mną do dziś. A jednak to prawda. Doktorant nie może oczekiwać, że będzie kimś takim jak dawniej asystent. Właśnie dlatego zlikwidowano zatrudnienia dla magistrów, żeby szerzej tworzyć drzwi do kariery akademickiej, świadomie ryzykując, że wielu spośród opłacanych z budżetu państwa doktorantów wcale doktoratu nie zrobi. W Polsce jest to, wstyd przyznać, znaczna większość. I owszem, czasami powodem są zbyt niskie dochody młodego naukowca. Jednak wielokrotnie częściej – wyczerpanie się „pomysłu na życie", jakim jest posiadanie przez kilka lat statusu studenta szkoły doktorskiej.

JAN HARTMAN

eprasa.pl c085a3b354

Co wpuszczono do krzyża

Odnowa w PiS ruszyła: partia ma już kandydata na nowego premiera. Potrzeba jej jeszcze nowej religii, bo stara – smoleńska – jest mocno zużyta i nikt, z wyjątkiem prezesa Kaczyńskiego i grupy szarpiących się z nim podczas miesięcznic smoleńskich przeciwników, nie traktuje jej poważnie.

Wydawało się, że nową religię da się zbudować wokół mitu męczeńskiej walki posła Czarnka z zamontowanymi na jego dachu panelami-sranelami, uciskającymi katolicką rodzinę Czarnków poprzez generowanie sprzecznych z jej światopoglądem oszczędności. Niestety, Czarnek nie chce tego świństwa zdemontować, bo twierdzi, że na razie mu się nie opłaca. Na szczęście w zastępstwie paneli religijny zapał w PiS z powodzeniem wznieciło spłonięcie w Wielki Piątek krzyża papieskiego na Ursynowie i osoba Antoniego Macierewicza, który postanowił przyczyny tej katastrofy zbadać.

Komunikat policji wskazujący na to, że powodem pożaru mogły być stojące przy krzyżu znicze, wzbudził podejrzenia Macierewicza, bo chociaż nie był sprzeczny z zasadami fizyki i logiki, to był sprzeczny z jego politycznymi przekonaniami. „Analiza śladów pożarowych wskazuje na umyślne podpalenie" – ocenił Macierewicz, któremu rozum podpowiadał, że sprawcami pożaru nie mogły być maciupeńkie znicze, skoro do jego gaszenia przyjechało sześć o wiele większych od nich zastępów straży pożarnej. Poza tym logiczne jest, że obiekt o tak wielkim znaczeniu religijnym i historycznym nie mógł przypadkowo spłonąć akurat w Wielki Piątek, który zdarza się raz w roku; spłonąłby raczej w jeden z pozostałych dni, których jest co roku 364 razy więcej niż Wielkich Piątków.

„Tak się dzieje, gdy współrządzą sodomici", skomentował podpalenie jeden z polityków PiS z Podkarpacia w mediach społecznościowych. Macierewicz i specjaliści z jego kręgu udziału sodomitów nie wykluczają. „Charakter spalania sugeruje wprowadzenie do wnętrza konstrukcji cieczy łatwopalnej i jej zapalenie" głosi opublikowana przez Macierewicza analiza będąca „wynikiem prac wybitnego członka podkomisji smoleńskiej". Chociaż znając członków tej komisji, zakładam, że poważnie rozważają także umieszczenie w krzyżu ładunku termobarycznego lub rozpylenie w nim łatwopalnej sztucznej mgły.

Cokolwiek sodomici wprowadzili do krzyża, zostanie to dokładnie przebadane i, miejmy nadzieję, ożywi duchowo polityków PiS, znajdujących się obecnie w religijnym i umysłowym marazmie. Niektórzy sugerują, że teorie Macierewicza na temat krzyża to głupi i prymitywny fejk, ale uważam, że jest to próba pomniejszania osiągnięć tego polityka, dlatego z tego miejsca ostro przeciwko temu protestuję.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl c085a3b354

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

20 lat temu, a konkretnie w numerze 16. z 2006 r., Martyna Bunda w okładkowym raporcie „Matka, żona i kucharka" przyglądała się sytuacji kobiet, które nie pracują – a w zasadzie pracują niemal całą dobę, opiekując się dziećmi, mężem, rodziną. Dziś, zgodnie z instagramową modą, nazwalibyśmy je tradwife.

„Gdy poseł Prawa i Sprawiedliwości Tadeusz Cymański publicznie zaapelował o uznanie wartości domowej pracy kobiet, wydawało się, że prawica i feministki przemówiły wreszcie jednym głosem. Ale to złudzenie. Poseł zaraz dodał, że wychowanie pięciorga dzieci w domu to piekło, trzeba więc przywrócić szacunek matkom Polkom, by wbrew modnemu wzorcowi bizneswoman chciały jeszcze te dzieci w domu wychowywać. Tymczasem środowiska kobiece od lat walczą, by zajęcia przy garach i przy zlewie traktować jednak jak pracę.

(...)

Polska w statystykach jest druga w Europie. Tylko Irlandek (65 proc.) pozostaje w domach więcej niż Polek (55 proc.). Za to o 10–15 proc. przewyższamy w statystykach tak tradycyjne społeczeństwa jak Grecja, Włochy czy Hiszpania. (...) Od kilkunastu lat sukcesywnie przybywa kobiet domowych. Lecz nie przekłada się to na dzietność. Nie przekłada się zresztą w żadnym kraju. U nas kobiety coraz mniej chętnie podejmują decyzję o posiadaniu dziecka. Jak wynika z badań prof. Stanisławy Golinowskiej, obecnie młode Polki zdecydowanie bardziej opierają się prokreacyjnym planom niż młodzi mężczyźni.

(...)

Z badań Anny Titkow, Danuty Duch-Krzystoszek i Bogusławy Budrowskiej wynika, że poszczególne typy prac domowych (sprzątanie, prasowanie, zmywanie, pranie) wykonują w 77–92 proc. przypadków kobiety. Mężczyźni najlepsze wyniki uzyskują w trzepaniu dywanów i wynoszeniu śmieci (35–55 proc.). Nie ma wielkich różnic między obciążeniem kobiet, które mają dzieci, i tych, które ich nie mają. Oraz między tymi kobietami, które pozostały w domach, traktując dom jak pracę zawodową, i tymi, które dodatkowo pracują na etacie. Poziom frustracji tych pań musi być bardzo duży. Tylko 4 proc. Polaków bardziej poważa panią domu niż kobietę pracującą poza nim. Prawie połowa uważa, że życiowa rola pani domu nie ma żadnego prestiżu. Jest jeszcze gorzej, gdy o to samo zapytać tylko kobiety.

(...)

Magdalena Środa w poprzedniej kadencji Sejmu przy okazji ustawy o równym statusie kobiet i mężczyzn próbowała namówić posłów, żeby połowa składki na ZUS automatycznie była przekazywana na konto niepracującego współmałżonka. Po to, by kobieta pracująca w domu miała prawo do połowy mężowskiej emerytury. Posłowie z LPR, Samoobrony, nawet PO ją wyśmiali, a PiS w ogóle nie chciało rozmawiać na ten temat.

Za kadencji poprzednich rządów przeróżne środowiska kobiece starały się, żeby wliczać kobietom urlopy wychowawcze do okresów składkowych, co podobno było niemożliwe ze względu na konstrukcję systemu emerytalnego po reformie: każdy zbiera pieniądze na swoim koncie, nie miałby więc kto dopłacać do kont matek. Znamienne, że to, co się przez lata nie udało kobietom, parę lat później zdobyli górnicy jednym szturmem na Warszawę".

Szkoła przy Konstruktorskiej

W artykule prezentującym finalistów tegorocznej Nagrody Architektonicznej POLITYKI błędnie podałem inwestora nominowanej do wyróżnienia szkoły podstawowej przy ul. Konstruktorskiej w Warszawie. Otóż za tą realizacją stoi konsorcjum Echo Investment/Archicom. Za błąd serdecznie przepraszam.

PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: **polityka.pl/stypendia**

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026

Patron honorowy

Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni

eprasa.pl c085a3b354

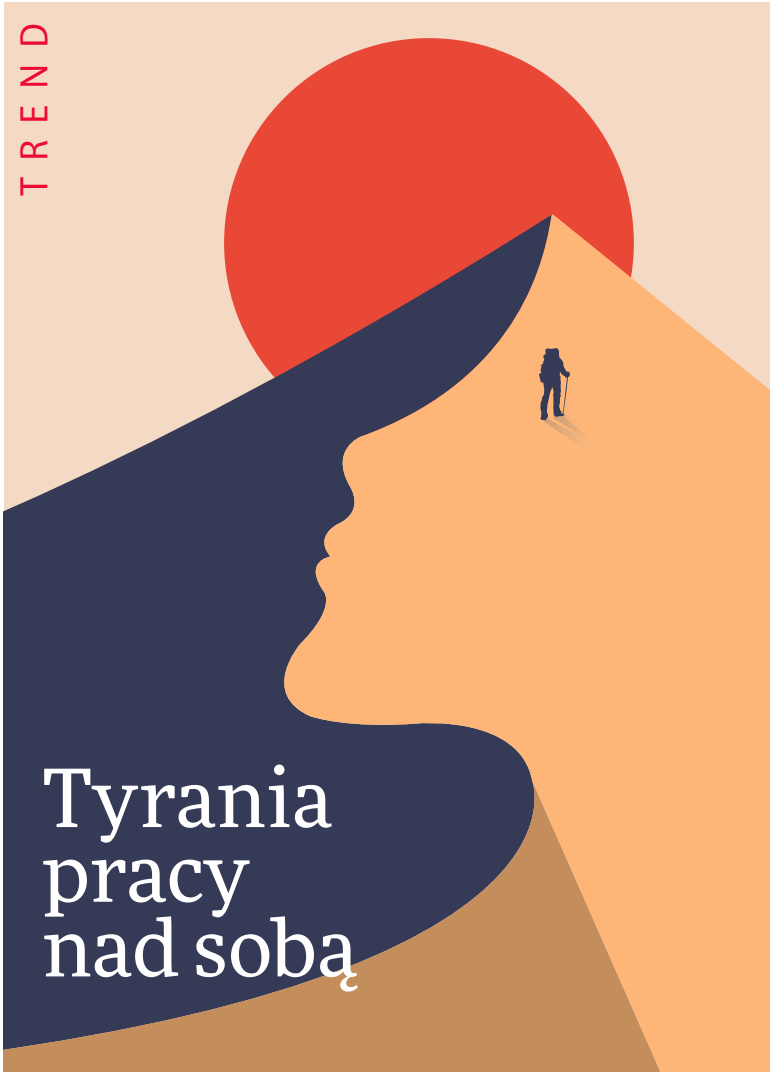

Tyrania pracy nad sobą

Zewsząd docierają wezwania do samorozwoju i rozwijania właściwego „mindsetu". Co z tego zostanie, gdy przekłujemy balonik z nadętym ego?

Grażyna Morek
– dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Stajemy się sami dla siebie najważniejszym polem do pracy, troski i niepokoju. I czujemy odpowiedzialni za wszystko, co nas spotyka. Jeśli jesteśmy nieszczęśliwi, to znaczy, że za mało się staramy. Jeśli nasze relacje są niesatysfakcjonujące, to znaczy, że nie potrafimy stawiać granic. Jeśli nie odnosimy sukcesów – widocznie nie rozwinęliśmy właściwego „mindsetu". A wystarczyłoby nad sobą popracować.

Jak twierdzą w książce „Sobą zajęci. O pułapkach samorozwoju i kultury terapeutycznej" psycholożka Kama Wojtkiewicz i jej rozmówcy, obsesja nieustannego samodoskonalenia bierze się z wpajanego nam od lat przekonania, że praca nad sobą poprawia jakość życia. Wpadamy w ten ślepy zaułek, tym bardziej że współczesny rynek samorozwoju działa według logiki podobnej do innych rynków: sprzedaje. Kursy, warsztaty, coaching, praktyki duchowe, mindfulness, biohacking... Wszystko to w założeniu ma prowadzić do większej kontroli nad życiem i w efekcie – do szczęścia. Tak się jednak nie dzieje. Kolejne procesy terapeutyczne, warsztaty rozwojowe czy koncepcje psychologiczne, owszem, pozwalają jasno nazwać problem, ale niekoniecznie go rozpracować.

Jeśli wszystko interpretujemy przez pryzmat własnych emocji i potrzeb, to jak mamy dostrzec – i docenić – złożoność relacji i życia? Widać to w języku. Łatwiej dziś kogoś „zdiagnozować": narcyz, toksyk, border, trudniej przyjąć, że relacje są niejednoznaczne, a ludzie pełni sprzeczności. Dlatego zwrot ku samodoskonaleniu i obsesji pracy nad sobą warto też rozpatrywać w kontekście rozpadu więzi i poczucia wspólnotowości – wyjaśniają w „Sobą zajętych" socjolog prof. Tomasz Sobierajski i filozof Tomasz Stawiszyński. W świecie, w którym coraz trudniej o stabilne instytucje, wspólnoty czy poczucie sensu, człowiek zostaje sam ze sobą i zaczyna traktować własną psychikę jak projekt do nieustannego ulepszania.

Paradoks polega na tym, że im więcej energii inwestujemy w analizowanie siebie, tym większe ryzyko utraty zdolności do bycia z innymi. Psychologia zna jednak mechanizm, który może temu przeciwdziałać. Chodzi o mentalizację. – *To rozumienie własnych i cudzych stanów umysłu jako przyczyn i motywów zachowania. To zdolność, która rozwija się w relacji, wymaga kontaktu z drugim człowiekiem, jego emocjami, intencjami i odrębną perspektywą* – tłumaczy Kama Wojtkiewicz.

Jednym z pojęć, które często pojawiają się w dyskursie samorozwojowym, jest samowspółczucie. W pierwotnym sensie oznacza zdolność do życzliwości wobec siebie, rozumienia własnych reakcji bez obwiniania się i niepotrzebnych ruminacji (czyli natrętnych myśli typu „jak mogłam to powiedzieć", „trzeba było zareagować inaczej"). Samowspółczucie nie zwalnia jednak z odpowiedzialności za własne zachowanie. To kluczowe, bo nietrudno zboczyć w stronę narracji, w której przeszłość staje się uniwersalnym wyjaśnieniem wszystkiego. Traumatyczne dzieciństwo czy trudne relacje z rodzicami mogą tłumaczyć wiele, jednak bez wzięcia odpowiedzialności za swoją historię samowspółczucie łatwo zamienia się w bezradność.

Ważne, by wyłapać moment, w którym rozwój osobisty jednak powinien się zatrzymać. On nie jest celem samym w sobie, ale raczej etapem przejściowym. To „rozgrzewka przed rozwojem społecznym", przygotowaniem do życia z innymi ludźmi. – *Wszystkie te narzędzia mają sens wtedy, gdy pomagają nam otworzyć się na świat i nawiązać kontakt z innymi, a nie zamknąć się w niekończącej się analizie własnego ja* – uważa Kama Wojtkiewicz. Rozwój osobisty jako cel sam w sobie dotkliwie izoluje, o czym wielu z nas przekonuje się na co dzień. ■

© SHUTTERSTOCK (2), LESZEK ZYCH, THECHOSUNILBO JNS/IMAZINS/GETTY IMAGES

eprasa.pl c085a3b354

Kudosy za Kleksikółko

TECHNO

14 mld **kudosów** zostawili w ubiegłym roku korzystający z aplikacji Strava, najpopularniejszego narzędzia do rejestrowania aktywności sportowych. Na całym świecie korzysta z niej 180 mln osób, a przycisk z kciukiem do góry – czyli ów kudos – służy do gratulowania innym ich osiągnięć. Polskim odpowiednikiem kudosa (o słowie tym pisaliśmy w POLITYCE 20/24) byłby pewnie szacun. Gdy jednak w marcu użytkownicy Stravy po latach utyskiwań doczekali się tłumaczenia aplikacji na polski, zobaczyli pochwały: „17 użytkowników udzieliło pochwały".

Kudosy to symbol Stravy, swoista maskotka jej społeczności. Dlatego zastąpienie ich pochwałami odebrano wręcz jako profanację. Oburzenie i kpiny podgrzewały inne tłumaczeniowe kurioza. Oto *heatmaps* – czyli mapy pokazujące popularność różnych tras – stały się mapami ciepła, a HR – czyli *heart rate*, częstość rytmu serca – to teraz godzina, bo komuś skojarzyło się z *hour*. A raczej czemuś, bo zgodnie podejrzewa się o to tłumaczenie sztuczną inteligencję, której wypocin nikt znający język polski nie zweryfikował. Stąd powszechne poczucie, że firma potraktowała polskich użytkowników co najmniej lekceważąco. „To jak splunięcie w twarz: pokazuje, że cię nie obchodzimy" – kwitował ktoś w serwisie Reddit. Irytację pogłębiał fakt, że język angielski można przywrócić tylko z poziomu ustawień systemowych telefonu.

Kompromitacji Stravy (Strawy?) przeciwstawiano inne świeże tłumaczenie. Otóż gdy firma Nintendo przełożyła w styczniu na polski pierwsze gry na konsolę Switch 2 – hity „Mario Kart World" oraz „Donkey Kong Bananza" – dostała same kudosy. Obok Mario pojawiły się bowiem takie postaci jak Młotoziom (oryginalnie Hammer Bro), Wstydliwy Typek (ShyGuy) czy Kul-Bill (Bullet Bill), a także Tyci Tytan, Szarżujący Sebek, Kret Krzyś, Żółwnierz, Sucholec, Kradlik, Żabomat czy Kleksikółko. „Piękne są te nazwy. Niektóre tak trudne do wymówienia, że dziecko nie ogarnie" – zauważył ktoś na Facebooku. W drugiej grze spotykamy „Tycią wyspę na moczarach" czy „Gratkę w błotku".

„Ten, kto się trochę bardziej interesuje takimi tematami, zna różnice pomiędzy tłumaczeniem a lokalizacją. I trochę bardziej rozumiem to, że zajęło im to blisko pół roku" – zauważył ktoś inny. Przy tych lingwistycznych swawolach lokalizator miał jednak świadomość, czym grozi szarganie świętości, dlatego sam Mario pozostał Mariem. Strava przechrzciłaby go pewnie na Mariana albo Mariusza.

MARIUSZ HERMA

Menty były

SŁOWO

A gdyby ktoś zapytał: „Czy były menty na koncercie"? Pewnie dużo zależy od okoliczności, bo słowo „ment" ma już potoczne znaczenie. Po pierwsze, to obraźliwe określenie policjanta. W „Słowniku potocznej polszczyzny" Janusza Anusiewicza i Jacka Skawińskiego mamy zasłyszany dawno temu przykład: „Za moich młodych lat gliniarzy się mentami nazywało". Komenda policji była w tym wariancie „mentownią". Ale to samo słowo zapisane jako „męt" (męta, męty) szło znaczeniowo w stronę ludzi z marginesu społecznego. Jak w filmowych skeczach wprowadzonej właśnie na nowo do radia „Powtórki z rozrywki", które rozpoczynały się zawsze od słów: „Para-męt pikczers prezentują..." („a momenty były?"). Co jednak zrobić, jeśli na koncercie nie było ani mętów, ani też mentów w sensie, który sugeruje stróżów prawa?

Podpowiedzią może być pokoncertowy komentarz fanki K-popu: „Wytłumaczcie mi, po co Chińczycy nagrywają calutki koncert, który i tak jest dostępny na Beyond Live (za darmo też ludzie już wstawiali)? (...) Rozumiem, jak idol podchodzi czy jest ment, ale reszta?". Albo inny komentarz: „Ej, a może masz nagrany ment Youngjae?? Bo mi wtedy bateria padła i tylko jego chyba nie nagrałam". Wreszcie: „...podczas ostatniego mentu, gdzie bardzo było widać, że nie chciała kończyć koncertu" (to o wokalistce **Sunmi** występującej w Polsce).

W tym środowiskowym języku fanów muzyki z Korei Południowej słowo „ment" najłatwiej uznać za skróconą formę od *comment* (komentarza), ale są inne możliwe znaczenia i źródła skrótu: *statement* (komunikat), *mention* (wspomnienie kogoś/czegoś) albo nawet *announcement* (oświadczenie). „Ment" opisuje więc te momenty (też ment!), gdy gwiazda muzyki – najczęściej właśnie K-popu – mówi coś, zamiast śpiewać. Dedykuje piosenkę, woła: „Kraków, czy jesteście gotowi" albo „Warszawa, na pewno do was wrócę", czy jako osoba z masowym poparciem wygłasza coś, co wzbudza entuzjazm lub wręcz przeciwnie – i często później pokazują w internecie ten urywek. To ostatnie u nas pojawia się np. w parlamencie. Też zawiera cząstkę „-ment".

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Gdybym był żulem, to posadziłbym outdoor,
Kolega by wskazał, gdzie zaparkować auto
Kaz Bałagane, Gdybym był żulem, 2026 r.
outdoor – marihuana uprawiana na wolnym powietrzu

eprasa.pl c085a3b354

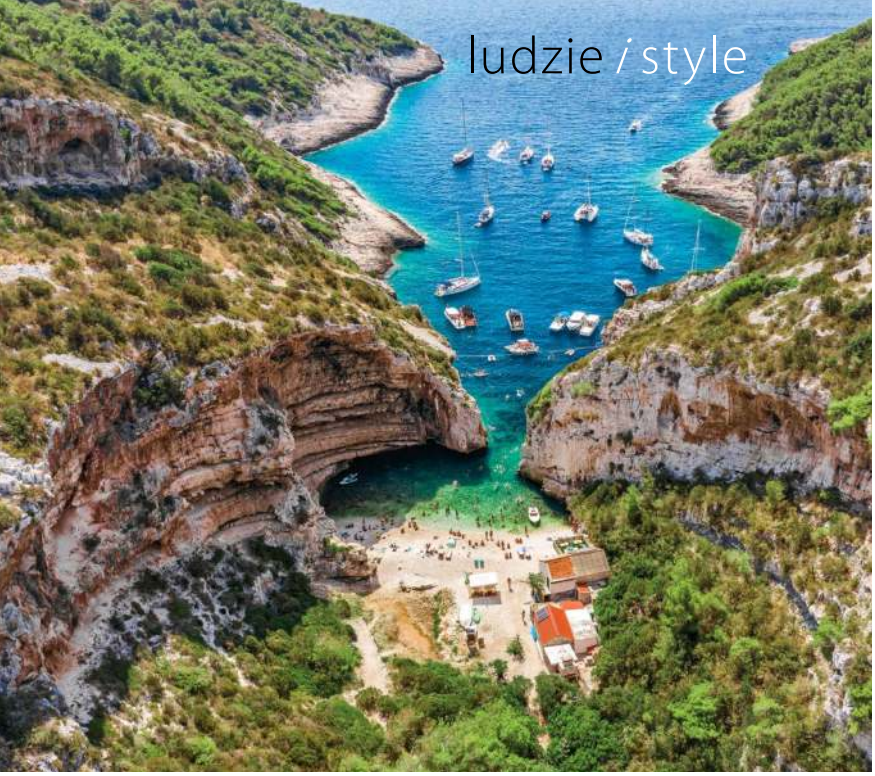

PODRÓŻE

Możliwość wyspy

Uniwersalna rada na niezapomniane wakacje w Chorwacji, bez względu na porę roku i długość urlopu? Zamknąć oczy i trafić palcem w jedną z wysp na mapie.

O tym, że ruszyły niedrogie loty z polskich miast do Zadaru, dowiaduję się ze swoich skrzynek w mediach społecznościowych. Bliżsi i dalsi (nie)znajomi zadają mi zazwyczaj pytanie – dokąd? Moja odpowiedź od dawna pozostaje ta sama: na wyspy!

Chorwackie wybrzeże Adriatyku to jedno z ulubionych miejsc odpoczynku mieszkańców całej Europy Środkowej. Cieszy mnie, że ten trend przestaje obejmować jedynie dwa tygodnie leżenia plackiem na plaży w Dalmacji, gdzieś pomiędzy Splitem a Makarską. Coraz śmielej ruszamy na południe poza wakacjami; i słusznie: nawet w maju czy październiku dobra pogoda jest niemal gwarantowana, za to ryzyko tłumów i mocno przeszarżowanych cen znacznie mniejsze.

Czas więc zacząć odkrywać także mniej oczywiste miejsca w tym niewielkim, ale różnorodnym kulturowo, gastronomicznie i krajobrazowo kraju. Zacznijmy od podstaw, nie oddalając się zanadto od wybrzeża. Jeśli mam udzielić uniwersalnej rady na niezapomniane wakacje w Chorwacji, bez względu na porę roku, długość urlopu i konkretne oczekiwania, polecam zamknąć oczy i spróbować trafić palcem w jedną z wysp na mapie.

Łatwiej zdać się na los, bo sam wybór może przyprawić o zawrót głowy. Chorwaci twierdzą, że ich kraj może poszczycić się ponad tysiącem wysp – dokładnie 1244 – ale jest w tym pewna przesada: część tych „wysp" to wystające z morza nagie skały. W rzeczywistości do dyspozycji mamy ok. 50 zamieszkanych wysp i kilkanaście takich, na których znajdują się tylko opuszczone przysiółki – latem także one ożywają dzięki turystom spragnionym prywatności i przygody.

Każda wyspa to do pewnego stopnia osobny świat i o każdej można pisać długo. Pag zachwyca kamienistym, niemal księżycowym krajobrazem: ziemia wygląda tu, jakby pociła się solą i kamieniami, a rachityczne zioła wyrastające spomiędzy skał zjadane są przez kozy i owce, co nadaje tutejszemu serowi niesamowity smak i aromat. Hvar w czerwcu i lipcu pachnie lawendą; w pozostałych miesiącach zachwyca gajami oliwnymi, winoroślą, średniowiecznymi miasteczkami i renesansowymi pałacami. Brač może się pochwalić jedną z najbardziej znanych plaż nad Adriatykiem, cyplem Zlatni Rat, ale również opuszczonym eremem wbudowanym w skałę, mieszczącym dziś muzeum ze sztuką barokową i bibliotekę.

Ostatnio szczególnych wrażeń dostarczył mi **Vis**, oddalony niemal 50 km od lądu. W czasach socjalistycznej Jugosławii mieściła się tu ogromna baza wojskowa, dlatego aż do rozpadu państwa wyspa była niedostępna dla turystów. Teraz można tu podziwiać zarówno dawną architekturę, jak i autentyczne rybackie wioski; przespacerować się wielokilometrowymi korytarzami bunkrów, a także spróbować win produkowanych ze starych odmian winorośli.

Życie na wyspach przez wieki wymagało niezwykłego uporu. Do dziś Chorwaci oskarżają wyspiarzy o wyjątkowe skąpstwo, choć jego powody są prozaiczne: mieszkańcom wysp, uzależnionym od pogody, głód nierzadko zaglądał w oczy. Z drugiej strony dobre zbiory soli albo winogron potrafiły zaowocować nagłym bogactwem. W końcu na wyspach wszystko jest trochę „bardziej", w nieustannych kontrastach: zima i lato, wiatr i słońce, morze i ląd.

Niejednoznaczna jest też kwestia izolacji i otwarcia na świat. W wymiarze praktycznym tylko Pag i Krk łączą z lądem mosty, pozostałe wyspy wymagają podróży promem, namysłu i planu. Tymczasem przez wieki, w czasach gdy Morze Śródziemne stanowiło jedno z centrów naszego świata, na wyspy błyskawicznie docierały nowe idee: to tutaj rozwijały się chorwacki humanizm i renesans, na długo zanim prądy te dotarły z Włoch w inne miejsca Europy.

Kiedy rozmawiam z wyspiarzami, szczególnie tymi młodszymi, czuję wobec ich wyboru szacunek połączony ze zdziwieniem. Z wysp od wieków emigrowano ze względu na trudne warunki życia – dlaczego więc oni zostali albo wrócili? Usłyszałam wiele różnych odpowiedzi, ale ulubionej dostarczył mi Senko Karuza. Ten chorwacki pisarz, mieszkaniec Visu, pisze: „Coś się wydarzyło, nieważne co, na wyspie wszystko jest niesamowite". Tej niesamowitości zdecydowanie warto spróbować na własną rękę. ■

Aleksandra Wojtaszek – bałkanistka, dziennikarka, tłumaczka, doktor literaturoznawstwa. Autorka monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa" oraz zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację" (Czarne 2023).

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl c085a3b354

Gorzka kawa przez „c”

Od bohatera do zera – oto kariera hiszpańskiej Cavy.

Z początkiem kwietnia hiszpańskim winiarstwem wstrząsnęła wiadomość, która tylko przez chwilę wyglądała jak prima aprilis. Produkująca blisko 3 mln butelek winiarnia Juvé y Camps ogłosiła, że jej popularne wina musujące nie będą już nosiły na etykiecie nazwy „Cava” – zamiast tego przystępuje bowiem do grupy buntowników, którzy od 2018 r. swoje bąbelki nazywają Corpinnat. Najpierw było ich sześciu, teraz jest ich już 22. I to potężny problem dla Cavy, która traci swoje najlepsze nazwiska. A przecież „Cava przez c”, jak się żartobliwie mawia w Polsce, przez lata była synonimem sukcesu, święciła rynkowe triumfy i podbijała kolejne rynki.

Historia katalońskich bąbelków rozpoczęła się w XIX w. Barcelona żywiołowo się rozwijała, centrum miasta przebudowano, powstały eleganckie aleje z luksusowymi kamienicami (projektantem kilku był Gaudí). Bogacąca się klasa średnia wydawała coraz więcej na rozrywki, w tym na wino. A żadne wino nie smakuje jak własne. Uprawiane od czasów rzymskich winnice w okręgu Penedès, na południe od Barcelony, przestawiono na produkcję win musujących; powstały wielkie, działające do dziś fabryki, takie jak Freixenet i Codorníu, a ich rozwój przyspieszył, gdy do Szampanii zawitała plaga filoksery i produkcję oryginalnego francuskiego szampana na wiele lat przerwano.

Bo katalońskie bąbelki z początku nazywały się właśnie tak – szampanem („xampany”), zanim winiarze z Francji w 1973 r. nie zastrzegli tej nazwy dla siebie. Termin, który znamy dziś – Cava – został wprowadzony w 1970 r. Po wejściu Hiszpanii do UE wielkie rynki, takie jak Niemcy i Wielka Brytania, stanęły przed Cavą otworem, a jej status jako najtańszej alternatywy dla szampana z Szampanii pozwolił na sprzedaż dziesiątków milionów butelek. Tyle że okazało się to pułapką. Aby utrzymać niskie ceny, przetwórnie wypuszczały produkt przeciętny i cięły koszty. Starzenie win w butelce na drożdżowym osadzie – kluczowy dla smaku wina etap metody szampańskiej – skrócono do niespotykanych gdzie indziej dziewięciu miesięcy. Niemałą część produkcji mocno dosładzano, sprzedając w deserowej wersji Semi Seco.

Taki produkt konkurował już nie ze szlachetną Szampanią, tylko raczej ze zlewkami, takimi jak znane w naszej części Europy Igristoje. W dodatku z powodów politycznych pozwolono na produkcję Cavy poza Katalonią, w całej Hiszpanii. Dziś, gdy dla winomanów liczy się przede wszystkim autentyczność i pochodzenie, ta decyzja ma zgubne skutki.

WINO

Czara goryczy przelała się w 2018 r. Wtedy to sześciu winiarzy ogłosiło, że porzuca apelację D.O. Cava, ustanawia własne stowarzyszenie i swoje musiaki będzie sprzedawać pod marką **Corpinnat**. Tego rodzaju secesje to w świecie wina żaden ewenement. Na początku lat 80. Italią wstrząsnął bunt czołowych winiarni, które zaczęły produkować tzw. supertoskany, czyli luksusowe, bardzo drogie wina... stołowe, bez żadnej apelacji; awantur wokół klasyfikacji czerwonych bordeaux było tyle, że niektóre châteaux zażądały w końcu, by ich w ogóle nie klasyfikować. Ale rokosz Corpinnatu uderzył w serce jednej z komercyjnie najistotniejszych kategorii wina hiszpańskiego.

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment”.

Manifest secesjonistów miał w Katalonii taką moc, jak tezy Lutra przybite gwoździami do drzwi kościoła w Wittenberdze. Tylko historyczne winnice w sercu Katalonii, uprawa ekologiczna, niski plon, ręczne winobranie, długie starzenie. Nacisk na rzemieślniczość i najwyższą jakość – zamiast zmechanizowanej masówki. Butelki od takich winiarzy jak Gramona czy Recaredo rzeczywiście grają w lidze raczej dobrych szampanów niż taniego prosecco. Ceny to odzwierciedlają – zamiast 30 zł za takie wina trzeba zapłacić trzy, pięć, a nawet dziesięć razy więcej.

Dziś władze apelacji Cava dwoją się i troją, by kontrować Corpinnat – wprowadzono geograficzne podstrefy dla najlepszych win oraz specjalną kategorię Guarda Superior dla tych, które leżakują najdłużej. Ale Corpinnat jest wciąż dwa kroki z przodu. Na 22 buntownikach się nie skończy. ■

Freixenet Cava Cordón Negro Brut, 35,99 zł (markety i sklepy monopolowe)
Joan Sardá Cava Brut Nature 2022, 59,99 zł (elcatador.pl)
Mas Candí Corpinnat Segunyola Brut Nature 2021, 119 zł (eclatador.pl)
Recaredo Corpinnat Terrers Brut Nature 2019, 169 zł (elcatador.pl)
Gramona Corpinnat Brut Imperial 2019, 192 zł (mielzynski.pl)

eprasa.pl c085a3b354

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Znów poród w karetce

Nowa Polka przyszła na świat w Żołyni – w karetce pogotowia. „To był horror, nie poród", przyznaje matka dziecka. W całej Polsce zamykają się oddziały ginekologiczno-położnicze, więc kobietom zdarza się rodzić w karetkach, na SOR-ach i korytarzach. **„Zamknięte porodówki zawsze można otworzyć. Ale zrujnowane zaufanie potencjalnych matek do państwa i systemu odbudowuje się znacznie trudniej", pisze na polityka.pl Martyna Bunda.**

Tak pękają sojusze

Ameryka pcha Azję Południową i Wschodnią w objęcia Chin. Wojna z Iranem wahnęła nastrojami w całym regionie, a Trump nie budzi tu zaufania. „Nie ma się co dziwić – pisze Jędrzej Winiecki na polityka.pl. – Miliony obywateli państw azjatyckich pracują w arabskich petromonarchiach, które nagle znalazły się na linii frontu". Tylko czy sojusz z Chinami się opłaci? Pewne jest jedynie to, że globalny układ sił znów się mocno przetasował.

Kiedy partner ma dziecko

W podkaście psychologicznym POLITYKI przyglądamy się patchworkom, związkom, których jest w Polsce coraz więcej. A jeśli partner i moje dziecko się nie polubią? O tym, na co zwracać uwagę, rozmawiamy z dr Magdaleną Śniegulską z Uniwersytetu SWPS, psychoterapeutką, autorką książki „Dzieci w rodzinach patchworkowych". Na początek dobrze wiedzieć, że to projekt, który nie zakończy się po miesiącu.

Zgon „ulubieńca partii"

Jakim Bierut był przywódcą i człowiekiem? I jak tak naprawdę zginął? To temat kolejnego odcinka naszego podkastu historycznego. Rozmówcą Marcina Zaremby jest prof. Piotr Osęka z Instytutu Studiów Politycznych PAN. „Towarzysze radzieccy mordowali z otwartą przyłbicą, nie tak jak obecny dyktator na Kremlu" – mówi. – Ale czy to „Moskwa wykończyła nam Bieruta"? Nowe odcinki co wtorek m.in. na polityka.pl i YouTube.

100 godzin na rowerze

Radek Gołębiewski, nazywany Radzillą, wystartował w Atlas Mountain Race. „Kto nie był, niech uwierzy na słowo, że to rowerowy hardcore na maksa", wyjaśnia Juliusz Ćwieluch, gospodarz podkastu „Rowery, nie bajki", który gości Radzillę w naszym studiu. 48-latek z Polski na metę wjechał jako trzeci, po stu godzinach wyścigu w górach i bez snu. Nie polecamy naśladować bez przygotowania. Ale słuchać (i oglądać) już tak.

© PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, PEDRO PARDO/AFP/EAST NEWS, LESZEK ZYCH (3)

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl c085a3b354

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
Rehabilitacja ortopedyczna:
- *stawów rzepkowo-udowych*
- *stawów barkowych*
- *kręgosłupa*
- *stawów kolanowych*
- *kontuzji sportowych*
- *po zwichnięciach stawów*
- *urazów mięśni*
- *więzadeł*
- *po złamaniach*

Fizykoterapia
Masaż leczniczy
Diagnostyka funkcjonalna
Rehabilitacja w uroginekologii
Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl c085a3b354

CO JEST W KOSZYKU Z ZAKUPAMI PRZECIĘTNEGO POLAKA I ILE KOSZTUJE?

I DLACZEGO JEDNO KÓŁKO ZAWSZE SIĘ ZACINA?

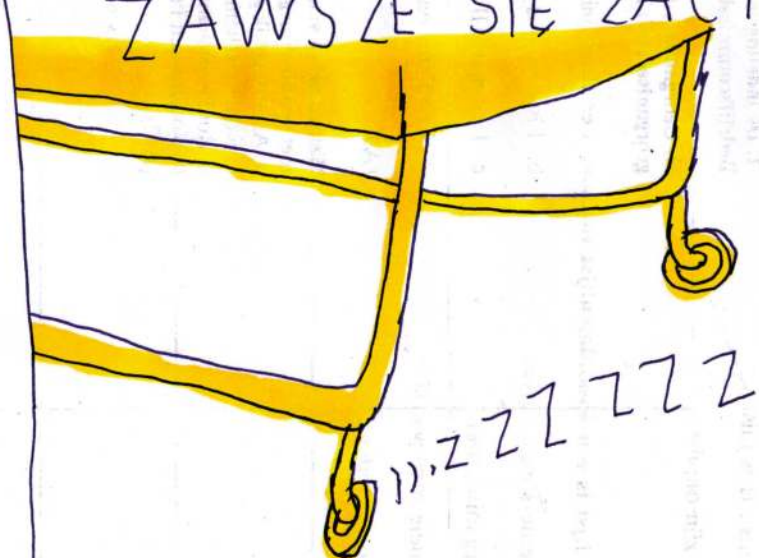

JANEK KOZA DLA tokfm

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl c085a3b354